REPORTAŻ

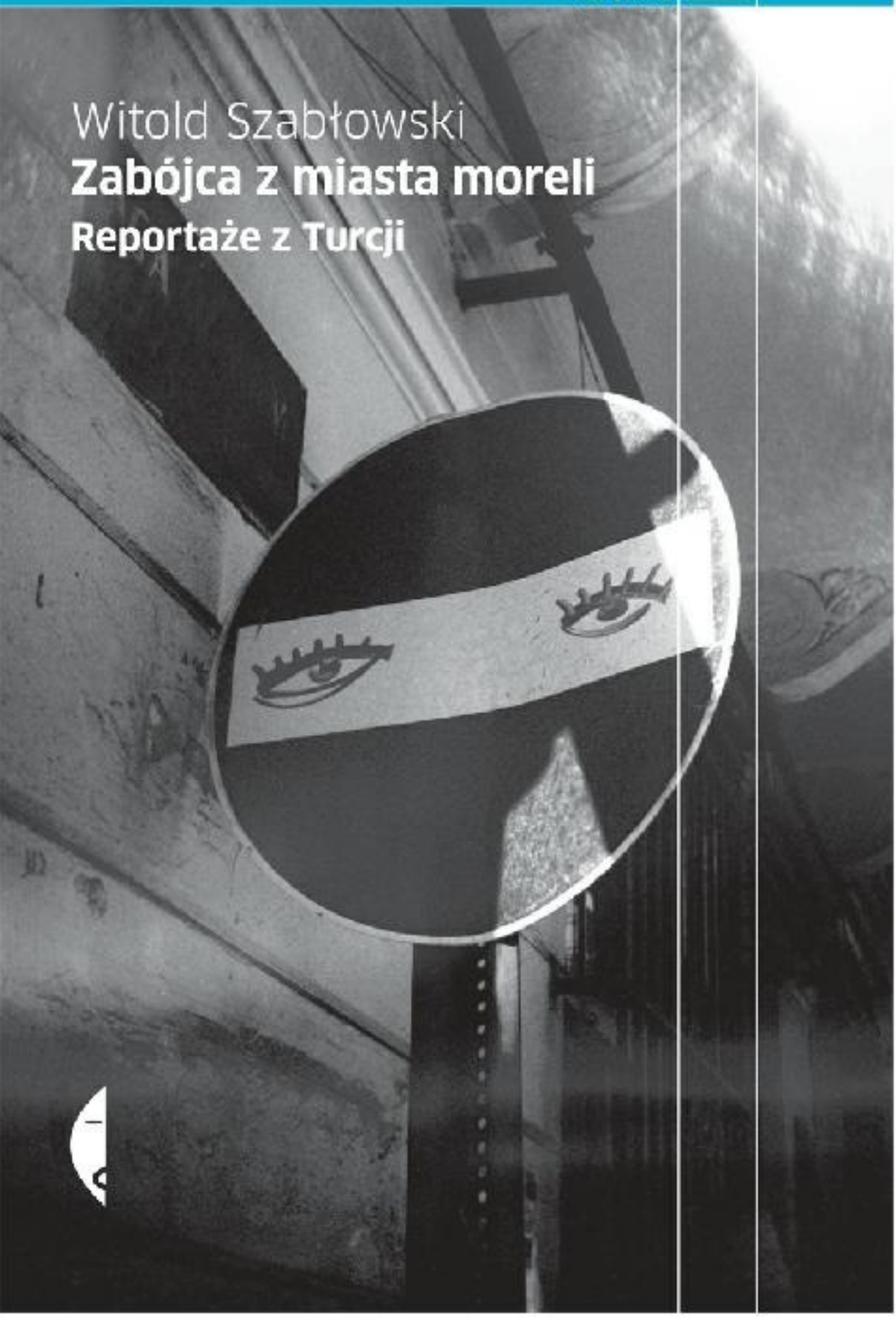

Witold Szabłowski

Zabójca z miasta moreli

Reportaże z Turcji

Witold Szabłowski

Zabójca z miasta moreli

Reportaże z Turcji

WOŁOWIEC 2010

Spis treści

Podziękowania
Liter y
Zamiast wstępu
Nazım
Atatürk
Celaleddi n
Hikme t
Lekar z
Refi k
Stali n
Gota
Borzęcki
Gala
Münevver
Wier a
Joyc e
Münevver
Pamu k
Meme d
Wier a
Meme d
Wier a
Marzenie Sinana
Imamowie i prezerwatywy
Jak w Tayfunie budzi się zwierzę
Jak się wypala włosy
Jak się zrywa gruszki u sąsiada
Jak leczyć niedobre fik-fik
Jak zrobić w Turcji Paradę Równości
Jak aktorzy udawali seks
Jak nałożyć gumkę na bakłażan
Jak poderwać Turczynkę
Jak się mierzy linijką
Pod Araratem
Wąsata republika

Jak Erdoğan wystraszył cały świat
Jak Erdoğan dokonuje cudów
Jak Erdoğan walił w pysk
Jak Erdoğan zaskoczył świętego męża
Jak Erdoğan poszedł siedzieć
Jak Turcja jest europeizowana przez Erdoğana
Jaki wpływ na Erdoğana ma Atatürk
Jak Erdoğan walczy o chustę
Jak przyjaciel Erdoğana zmienia poglądy
Jak wielkie szczęście ma Erdoğan
Jak Erdoğan zdejmuje marynarkę
To z miłości, siostro
Pani Atatürkowa
Czarna dziewczyna
Historia Salihy Ermez
Historia Ayşe Türkükçü:
Epilo g
Czyściec Stambułu
Promocj a
Most
Yusu f
Mahmu d
Rozbite k
Surferz y
Mecze t
Kaçakçı
Rybac y
Pogranicznic y
Atrakcj e
Ikar
Ponton y
Co o was myślę
Karpie Abrahama
Zabójca z miasta moreli
Bajbajbus z
Kontrahent z Mosulu
Podeszwa boli najbardziej
Irak jest dumny
Nasze banki są lepsze niż wasze banki

Buty jak pistacje
Wasz król nam buty wiązał
Nasza owca ma się dobrze
Bajbajbusz symbolem walki
Pamuk szkaluje naród
Prezydent butem w prezydenta
Husajn miał świetny gust
Unia rada Turcję zgnieść
Kolejny kryzys was zabije
Mieszanka turecka
Obama i morele
To jest właśnie Turcja
Przypis y
Metryczka książki

Podziękowania

Aylin Aras, Jadwiga Dąbrowska, Redakcja „Dużego Formatu”, Serhat Güneş, Agnieszka Koecher-Hensel, Izabela Meyza, Zubeyde Öztürk, Beata Uzunkaya, Magdalena Wojcieszak-Çopuroğlu
Sevgili arkadaşlar, sizler olmasaydınız bu kitap olamazdı.
Çok teşekkür ederim

Adana: Industrialny moloch, słynny na całą Turcję ze smacznych kebabów. Tu urodziła się Saliha Ermez, była prostytutka, która walczyła o miejsce w tureckim parlamencie.

Ankara: Stolica Turcji. Tu, w specjalnie wybudowanym mauzoleum, pochowany jest Atatürk.

Ardahan: Raz do roku zjeżdżają się tu czciciele Atatürka. Patrzą na cień góry, który przypomina im profil Ojca Turków. Gdy go zobaczą, tańczą, śmieją się i płaczą.

Ayvalık: Przemytnik Ahmed Baba z plaż wokół tego miasteczka wypuszcza imigrantów na ostatni odcinek podróży do Europy. Pół wieku temu w tym porcie zaczęła się dramatyczna ucieczka Münevver Borzęckiej do Polski.

Diyarbakır: Stolica tureckich Kurdów. Mur, który okala miasto, jest podobno drugim – po chińskim – najbardziej wartym uwagi na świecie. „Miejsce przeklęte”, mówią niektórzy, bo wokół Diyarbakıru dokonuje się najwięcej honorowych zabójstw.

Edirne: Dawna stolica Osmanów. Tu architekt Sinan wybudował swój najdoskonalszy meczet – wielopoziomową bombonierkę Selimiye. Tu również leży głowa Kara Mustafy, ścięta za porażkę tureckich wojsk pod Wiedniem.

Gaziantep: Tu urodziła się Ayşe Türkükçü, którą mąż Hasan sprzedał do domu publicznego.

Izmir: Miasto Sabbataja Cwi, żydowskiego mesjasza, który postanowił zmienić wyznanie na islam.

Konya: Wieki temu żył tutaj i tworzył mędrzec Mevlana, święty Franciszek świata islamu. Dziś to turecka Częstochowa. Pielgrzymki przyjeżdżają z całego świata, a mieszkańcy Konyi uchodzą za największych konserwatystów. Tu odbyła się promocja pierwszego tureckiego filmu erotycznego.

Malatya: Miasto promowało się plakatami z Barackiem Obamą, który w czasie wizyty w Stambule skubnął sobie ze straganu morelę. – To na pewno była nasza morela – mówi mer. Sady wokół Malatyi to morelowe zagłębie całej Europy. Pod morelową Malatyą, w wiosce Hekimhan, urodził się Mehmet Ali Ağca.

Mardin: Słynie ze starożytnej pięknej fortecy. Pod tym miasteczkiem, w wiosce Yalım, mieszkańcy ukamienowali swoją sąsiadkę.

Rize: Tu urodził się premier Erdoğan i tu mieszkała jego rodzina, zanim ojciec nie zdecydował o przeprowadzce do Stambułu.

Şanlıurfa: Muzułmanie wierzą, że tu urodził się patriarcha Abraham (nazywają go Ibrahimem). Miejscowy mesjasz naciągnął mnie na paczkę papierosów i ryż z kurczakiem.

Stambuł: Miasto poety Hikmeta, premiera Erdoğana i niesamowitych kontrastów. Turyści z całego świata robią tu zdjęcia, a imigranci próbują zarobić na dalszy ciąg podróży do Europy. To tutaj można pokonać most, łączący Europę z Azją.

Litery

Tureckie **c** czyta się jak polskie **dż**. I tak nazwisko osmańskiego generała Mustafy Celaleddina należy czytać „dżelaleddin”. Imię męskie Cemal czytamy jako „dżemal”, a żeńskie Hatice jako „hatidże”.
Literka **ğ** wydłuża poprzedzającą ją samogłoskę. I tak nazwisko Ali Ağcy, zamachowca, który strzelał do Jana Pawła II, w Turcji wymawia się „ali aadża”.
Ş i **ç** to polskie **sz** i **cz**. Nazwy miast Şile i Çanakkale brzmią więc „szile” i „czanakkale”.
Literka **ı** to polskie **y**. Duże **I** pisane bez kropeczki podobnie, bo z kropeczką wygląda tak: **İ**. Imię Nazım brzmi zatem „nazym”.
Ö i **ü** czyta się jak w niemieckim – robiąc lekki dzióbek. **J** czyta się jak **ż**.

Kawę pijało wielu polskich posłów i żołnierzy, którzy mieli styczność z Turkami. Generalnie jednak uważano ją za wynalazek pogański, by nie powiedzieć: szatański. Była czarna, gorzka, niedobra. Dopiero kiedy przyszła do nas z Paryża i Amsterdamu, jej picie zaczęto uważać za światową elegancję.

Jarosław Dumanowski, znawca historii kuchni i żywienia w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”

Gwiazda B-612 była widziana raz tylko, w 1909 roku, przez tureckiego astronoma, który swoje odkrycie ogłosił na Międzynarodowym Kongresie Astronomów. Nikt jednak nie chciał mu uwierzyć, ponieważ miał bardzo dziwne ubranie.

Na szczęście turecki dyktator kazał zmienić swojemu ludowi ubiór na europejski. Astronom ogłosił po raz wtóry swoje odkrycie w roku 1920 – i tym razem był ubrany w elegancki frak. Cały świat mu uwierzył.

Antoine de Saint-Exupery, *Mały Książę*

Czuję się tak, jakbym ciągle stał na moście łączącym oba brzegi Bosforu, nie należąc ani do azjatyckiej, ani do europejskiej części, i obie je opisywał.

Oficjalna strona internetowa Orhana Pamuka

Zamiast wstępu

Żółto-biały prom stęka, sapie, wypluwa w niebo chmurę dymu i rusza.

Płyniemy z Europy do Azji. Podróż zajmuje około kwadransa. Biznesmeni razem z żebrakami, kobiety w czadorach z kobietami w mini, niewierzący z imamami, prostytutki z derwiszami, święci z nieświętymi. Cała Turcja na jednym promie.

– Kapitanowie tych kolosów to współcześni Charonowie – mówi Tayfun, zaprzyjaźniony poeta ze Stambułu. – Dlaczego? Bo podróż przez cieśninę Bosfor jest piękna i niepokojąca. Jak śmierć.

W rzeczywistości Charonowie to chłodni profesjonaliści. Inaczej się nie da. Bosfor jest bardzo wąski, w niektórych miejscach ma zaledwie kilkaset metrów, a mijają się tu tysiące okrętów i statków. Manewrować po takich wodach, a na koniec wprowadzić wielki prom równo, co do centymetra, do niewielkiej przystani – tu nie ma miejsca na romantyzm ani grecką mitologię.

No, chyba że jest się pasażerem. Wtedy – proszę bardzo. Kiedy zapada zmrok i tysiące muezzinów zaczynają głosić, że Allach jest wielki, wtedy rozmowy milkną, a ludzie wpadają w nastrój melancholijny i metafizyczny. Wykorzystuję to często i pytam przygodnych Turków: Jak wam się żyje z tą cieśniną? Czy codzienna podróż między kontynentami kogoś tu zajmuje?

Wzruszają ramionami. Nie rozumieją, o co pytam. Cieśnina to cieśnina.

Tylko poety Tayfuna wcale to pytanie nie dziwi.

– Ja też mam taką cieśninę w sobie – mówi i rzuca wielki kawał precla w stronę goniących prom mew. – Każdy Turek tysiąc razy na dzień krąży między tradycją a nowoczesnością. Kapeluszem a czarczafem. Meczetem a dyskoteką. Unią Europejską a niechęcią do Unii Europejskiej.

Trafia w sedno. Cała Turcja jest rozdarta przez niewidzialną cieśninę. Rano moje koleżanki piją ze swoimi chłopakami espresso, jedzą croissanty i rozmawiają o światowej literaturze. A po południu zakładają chusty i idą do babci na kawę po turecku.

Koledzy chwytają piwo i bawią się na dyskotece. Ale jak popiją – śpiewają piosenki sprzed dwustu lat. Zgrywają chojraków, którym nie straszny ani Allach, ani Mahomet, ale w ramazanie grzecznie poszczą. A jak syn im trochę podrośnie, biegną obrzezać.

Sam na konserwatywnym wschodzie widziałem imamów, którzy wieszają przy meczetach flagi Unii Europejskiej. A sklepy z ubraniami dla konserwatywnych Turczynek miewają w ofercie seksowną bieliznę. – Jak kobieta cały dzień zakrywa twarz – tłumaczą sprzedawcy – to tym bardziej chce się wieczorem podobać mężowi.

Graniczność ma swoje plusy. Turcy są kreatywni, szybko uczą się języków, w mig zjednują sobie ludzi z każdej szerokości geograficznej. Choć mają najgorsze położenie, jakie można sobie wyobrazić – graniczą z niespokojnymi Syrią, Iranem i Irakiem; są jednocześnie częścią Bliskiego Wschodu, Kaukazu i Bałkanów – umieją się dogadać niemal ze wszystkimi.

Ale ta graniczność ma swoją cenę. Zachód uważa ich za fanatyków. Wschód – za sługusów Zachodu. Al-Kaida przeprowadza nad Bosforem zamachy, a Unia Europejska od pół wieku nie chce Turcji przyjąć. Bo za duża i zbyt obca kulturowo.

Nasz prom dopłynął na środek cieśniny. Z daleka patrzymy na dwa mosty, które spinają brzegi Bosforu. Poeta Tayfun patrzy to na europejski, to na azjatycki brzeg. Wreszcie wzdycha:

– Każdy Turek jest takim mostem.

Nazım

Najwybitniejszy turecki poeta ma na nazwisko Borzęcki i pomieszkuje w polskim sejmie.

Tuwim, choć po turecku nie rozumie ani słowa, jego wierszy słucha jak urzeczony. Broniewski wyciąga go na wódkę. A pani Halina spod Ostrołęki pisze w liście, że chce z nim zamieszkać i mieć dzieci.

Nic dziwnego. Nazım Hikmet Borzęcki jest żywą legendą. W obronie komunizmu spędził kilkanaście lat w więzieniu. Na jego spotkania autorskie przychodzą tłumy, a każdy tomik wierszy jest wielkim wydarzeniem.

Turek wciąż podkreśla, że Polacy są gościnni, a polskie krajobrazy piękne. Przyznaje jednak, że ciężko mu żyć poza Stambułem. Tęskni. Ale wszystkie mosty zostawił spalone.

Atatürk

1.

Żeby opowiedzieć o tym wielkim poecie, musimy trochę cofnąć się w czasie. Najpierw do I wojny światowej. Sypiące się imperium osmańskie bierze w niej udział po stronie Niemiec.

– Sułtan przegrywa wojnę. Sąsiedzi i wielkie mocarstwa kroją nasze państwo jak kucharze kebab nabity na ruszt – opowiada Süleyman Akçay, historyk ze Stambułu. – Przerażony władca podpisuje akt kapitulacji. Wybrzeże Morza Egejskiego oddaje Grekom, a wschód pozwala podzielić między mocarstwa ententy oraz Ormian i Kurdów.

Akçay opowiada z takim zaangażowaniem, jakby sam uczestniczył w tych ważnych wydarzeniach. Gestykuluje, zmienia głos na grubszy, robi pauzy. Trudno uwierzyć, że mówi o historii sprzed prawie stu lat.

Tak zachowują się Turcy, gdy rozmowa schodzi na Atatürka.

– Z podziałem kraju nie godzą się młodzi oficerowie. Pod przywództwem charyzmatycznego Mustafy Kemala rozpoczynają walkę – mówi Akçay – Dzięki jego geniuszowi wygrywają wojnę z Grecją i zabierają władzę sułtanowi. Mustafa Kemal zostaje pierwszym prezydentem.

Tak zaczyna się historia, którą tureckie dzieci potrafią opowiedzieć obudzone w środku nocy. Jako prezydent Kemal stawia sobie poprzeczkę niezwykle wysoko. Chce w ciągu dekady zmienić zacofanego molocha w nowoczesny kraj, a ubranego w tradycyjną czapeczkę z frędzelkiem Turka w Nowego Turka – pełnoprawnego obywatela Europy. Rozmach tego projektu do dziś inspiruje wielu światowych przywódców (choćby byłego szacha Iranu Mohammada Rezę Pahlawiego,

pierwszego prezydenta Tunezji Habiba Burgibę, byłego prezydenta Pakistanu Perweza Muszarrafa, a ostatnio prezydenta Gruzji Micheila Saakaszwilego).

– Reformuje jak nikt inny – mówi Akçay – Zamiast kalendarza islamskiego wprowadza europejski. Zamiast szariatu – nowoczesny kodeks karny Zamiast rządów duchownych – sekularyzm. Kobietom daje prawa wyborcze dużo wcześniej niż niejeden kraj w Europie. Zmienia alfabet z arabskiego na łaciński. Nazwiska – na bardziej tureckie. Swoje też zmienia i od 1934 roku nazywa się Atatürk – Ojciec Turków.

2.

Reformy Atatürka przeorują życie Turcji wzdłuż, wszerz i w poprzek.

– To właściwie nie były reformy – mówi jeden z moich tureckich przyjaciół. – To było stwarzanie kraju na nowo. Do tej pory byliśmy centrum światowego islamu. Opiekowaliśmy się Mekką i Medyną. A nagle staliśmy się krajem wojującym z religią.

Skąd ta zmiana? To pytanie w latach dwudziestych i trzydziestych ubiegłego stulecia zadaje sobie cały świat. Emisariusze tureckiego rządu jeżdżą więc i tłumaczą dyplomatom, o co chodzi w reformach. „Jedność islamu jest mitem, któremu nowy żywot może nadać tylko odrodzony naród turecki” – mówi wysłannik Turcji w poselstwie polskim w Berlinie. – „Nie będziemy już uchodzić za kraj muezzinów i haremów. Dzięki temu padnie sztuczny mur, który odgradzał Turków od życia nowoczesnego” [1].

Jego słowa potwierdzają czyny Atatürka. Nie waha się wysłać żołnierzy i każe strzelać do mężczyzn, którzy nie chcą zdjąć z głów tradycyjnych fezów. „Cywilizowany, międzynarodowy ubiór jest godny i właściwy dla naszego narodu i będziemy go nosić. Obuwie na nogach, spodnie, koszule i krawaty, marynarki i kamizelki oraz – naturalnie do kompletu – nakrycie głowy z rondem. Chciałbym, żeby to było jasne. To nakrycie głowy nazywa się kapelusz” – mówi Ojciec Turków, wprowadzając tak zwaną ustawę kapeluszową.

Przy innej okazji krytykuje muzułmański czarczaf: „Widziałem kobiety, które kładły na głowę kawałek materiału, ręcznik lub coś w tym rodzaju, by zakryć twarz [...]. Jaki jest sens i znaczenie takiego zachowania? Czy matki i córki mogą przyjąć tak dziwne obyczaje, tak barbarzyńską postawę? Jest to widowisko, które czyni cały naród przedmiotem pośmiewiska”.

Süleyman Akçay, historyk ze Stambułu, ma wielki szacunek dla tych słów:

– Jaką on miał odwagę! Przecież nawet jego matka zasłaniała głowę! No, ale ona tych reform nie dożyła.

Celaleddin

1.

Żeby opowiedzieć o poecie, który pomieszkiwał w polskim sejmie, musimy cofnąć

się w czasie jeszcze bardziej. Jest rok 1876. Dzielny generał Mustafa Celaleddin zostaje postrzelony w czasie walk z Czarnogórcami. Kula trafia w brzuch. Generał umiera.

Żal osmańskim wojakom dzielnego dowódcy. Takiego, co na wroga ruszał w pierwszym szeregu, z samą tylko szablą.

Zabito pod nim trzy konie, sześć razy był ranny. Pierwszy raz, gdy nie był jeszcze muzułmaninem i nie nosił długiej brody ani turbanu. To było w poprzednim życiu. Celaleddin nazywał się Konstanty Borzęcki i był klerykiem seminarium duchownego we Włocławku.

Pochodził ze zubożałej szlachty i chciał zostać malarzem. Miał talent, dwa lata studiował w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Ale rodziny nie było stać na takie fanaberie. Konstanty musiał rzucić malowanie i uczyć się na księdza.

W 1848 roku młody Borzęcki ucieka jednak z seminarium duchownego i przyłącza się do powstania wielkopolskiego. Gdy powstanie upada, wyjeżdża – za pośrednictwem Hotelu Lambert – do Turcji. Krewnym nic nie mówi. Jego biograf Jerzy S. Łątka w książce *Pasza z Lechistanu* podejrzewa, że szlachecka rodzina miała mu za złe porzucenie seminarium.

Nad Bosforem były powstaniec, jak tysiące innych Polaków, przechodzi na islam i zaczyna karierę w osmańskiej armii.

2.

Borzęcki żołnierzem jest świetnym. Ale zapamiętany został jako publicysta. Już na emigracji sam sobie zadaje pytanie: Turcja to Europa czy Azja? I odpowiada na nie w książce *Dawni i nowi Turcy*.

Bernard Lewis, wybitny znawca Turcji i jej niekończącej się przemiany w nowoczesne państwo, wymienia ją jako jedną z jaskółek reform Atatürka. Pół wieku przed Ojcem Turków Borzęcki dowodzi, że Turcy są narodem europejskim w taki sam sposób, jak Francuzi czy Polacy. Swoją koncepcję nazywa turoarionizmem. I namawia do zmiany alfabetu z arabskiego na łaciński.

Pięćdziesiąt lat później Atatürk robi w książce Borzęckiego kilkaset podkreśleń. Przy rozdziale o języku pisze: „Wykonać!”.

I wykonuje. Zmiana alfabetu jest jedną z jego wielkich reform.

Jerzy S. Łątka nazywa Borzęckiego Praojcem Turków.

„Ten Polak wart jest pomnika ze szczerego złota” – mówi o Celaleddinie-Borzęckim sam Atatürk.

Hikmet

1.

Pół wieku po śmierci Celadeddina Ojciec Turków kończy wojnę z Grecją i zaczyna reformy. W tym samym czasie grupa obdartusów wędruje ze Stambułu do Ankary – nowej stolicy. To młodzi poeci. Wśród nich najzdolniejszy: Nazım Hikmet. Jego

ojciec był generałem. Dziadek – ostatnim tureckim gubernatorem Salonik, miasta, w którym na świat przyszedł Atatürk. Pradziadek zaś to właśnie Mustafa Celaleddin-Borzęcki.

Hikmet z kolegami chcą wspomóc swoim talentem nowy rząd. Atatürkowi podoba się ich entuzjazm.

– Namawia, by wiersze pisali „po coś", a nie dla samego pisania – mówi Rabya Çiçek, która pisze doktorat o przedwojennych latach Hikmeta. – W domyśle: by wspomagali jego reformy.

Hikmet jest Atatürkiem zachwycony. Ale niedługo później w Rosji wybucha gorączka proletariacka. Poeta wyjeżdża na studia do Moskwy. Podziwia sztuki Meyerholda, zaprzyjaźnia się z Majakowskim, zakochuje w ideach Lenina.

Rabya Çiçek: – Po latach wspominał, że to marsz ze Stambułu do Ankary zrobił z niego komunistę. To wtedy młody, rozpieszczony chłopak z bogatej rodziny pierwszy raz zetknął się z biedą, pierwszy raz zobaczył ludzi, którzy nie mają pieniędzy na jedzenie. Zaczęła w nim kiełkować myśl, że to dla tych ludzi powinno się zmieniać świat. Z Moskwy wrócił jako stuprocentowy komunista: by rozpocząć nad Bosforem rewolucję proletariacką.

2.

W latach trzydziestych turecki rząd staje się coraz bardziej autorytarny. Relacje z ZSRR nie są jeszcze postawione na ostrzu noża. Ale radzieccy towarzysze mają plany ekspansji, między innymi w kierunku Turcji. Nad Bosforem nie może się to podobać.

Hikmet, jako prawdziwy, wojujący komunista, za swoje poglądy co chwila ląduje w więzieniu. Atatürk pamięta jednak, że jest on wnukiem Celaleddina-Borzęckiego. Dopóki żyje, poeta za każdym razem szybko wychodzi na wolność.

Sławę przynoszą mu poetyckie listy, których narratorem jest młody Etiopczyk, a odbiorczynią jego żona Taranta Babu.

Życie to piękna rzecz,
Taranta Babu!
To piękna, piękna rzecz
Rozumieć jak mądrą księgę
odczuwać jak miłosną pieśń
dziwić się jak dziecko i żyć
żyć, żyć! [2]

– On też kochał życie tak, że był gotowy za nie umrzeć – powie mi po latach jego dobra znajoma.

3.

Dla tureckiej poezji Hikmet jest Rejem, Kochanowskim i Mickiewiczem. Takie porównanie wymyśliła jego tłumaczka i przyjaciółka, Małgorzata Łabęcka-Koecherowa.

Rejem – bo jak Rej po polsku, tak Hikmet jako jeden z pierwszych pisze wiersze po turecku. Do tego czasu nad Bosforem tworzono niezrozumiałą, rozdętą poezję dywanową. Język turecki uważany był za język chłopstwa i niezbyt poważany.

Kochanowskim – bo doprowadza turecki do perfekcji. Co ciekawe, Hikmet czytania i pisania uczył się jeszcze w alfabecie arabskim. Ale poezję tworzył już w łacińskim.

Mickiewiczem – bo pochyla się nad zwykłymi ludźmi, a w dodatku sporo w nim z ducha romantyzmu.

Profesor Tadeusz Majda, turkolog: – On ma niesamowite wyczucie słowa. To jest pewnie nie do przełożenia na język polski, bo on świetnie stawia jedno słowo za drugim, bawi się ich wieloznacznością, podobieństwem fonetycznym.

Lekarz

1.

Ojciec Turków umiera w roku 1938. Kilka miesięcy później Hikmet zostaje oskarżony o namawianie żołnierzy do buntu. Dowód? U jednego z kadetów pod łóżkiem znaleziono tomik jego wierszy. Wyrok? Dwadzieścia osiem lat więzienia.

2.

Hikmet siedzi w więzieniu, a przez świat przetacza się walec II wojny światowej. Gdy tylko opada powojenny kurz, Europa zamiera w cieniu żelaznej kurtyny.

Atmosferę tych lat świetnie oddaje dowcip:

– Tato, czy będzieIII wojna?

– Nie, synku, ale o pokój będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi.

W myśl tej zasady, Stalin powołuje do życia Komitet Obrońców Pokoju, zwany złośliwie cyrkiem pana Stalina. Komitet ów przypomina sobie o więzionym tureckim komuniście i wzywa Turcję do jego uwolnienia. Walczą o to lewicujący artyści: Picasso, Neruda i Sartre. Z nimi – tysiące ludzi na całym świecie.

Turcja w II wojnie światowej zachowała neutralność. W zimnej wojnie opowiada się jednak po stronie Zachodu. Jest jedynym członkiem NATO, który bezpośrednio graniczy z ZSRR. To rodzi olbrzymie napięcie. Rosjanie przez całe lata próbują destabilizować sytuację nad Bosforem. Finansują lewicowych ekstremistów, partię komunistyczną, a także walczących o niepodległość Kurdów. Nic, co kojarzy się z Moskwą, nie jest w Turcji dobrze widziane. Najgorzej zaś widziany jest komunizm.

W roku 1950, po dwunastu latach od uwięzienia poety, Turcy jednak miękną. Hikmet wychodzi na wolność. Ale kilka miesięcy później dostaje wezwanie do wojska. Ma służyć na wschodzie kraju, gdzie temperatury przekraczają 40 stopni Celsjusza.

Poeta od lat choruje na serce. Każdy wysiłek jest dla niego groźny.

– Muszę napisać, że pan jest zdrowy. Ale pana serce tej służby nie wytrzyma –

mówi mu lekarz.

Refik

Hikmet nie ma wyjścia. Musi uciekać.

Jego przyjaciel Refik Erduran pożycza od znajomego małą motorówkę. Chce nią wywieźć poetę do Bułgarii i tam prosić dla niego o azyl.

Z Refikiem spotykam się w stambulskiej kawiarni. Jest ciut po osiemdziesiątce, ale krzepy można mu pozazdrościć.

– Nazım bał się, że nie umiem prowadzić łodzi – mówi. – Ale ja się wszystkiego nauczyłem. Mój kuzyn był komandorem tureckiej floty. Powiedziałem, że sprawdzam scenariusz filmu o przemytnikach kursujących między Turcją a Bułgarią. Wszystko mi zdradził: gdzie są posterunki, jak je ominąć i jak nie dać się zastrzelić bułgarskim pogranicznikom.

Mimo to Nazım boi się płynąć. Dziesięć lat później w wierszu *Autobiografia* pisze: „W 1951 płynąłem z młodym przyjacielem w paszczę śmierci".

– To chwyt poetycki – śmieje się Refik. – Był piękny, lipcowy dzień. Na niebie ani jednej chmurki.

Panowie skracają sobie czas, paląc papierosy. Nagle na horyzoncie widzą mały punkcik, który okazuje się rumuńskim statkiem.

Erduran: – Nazım zaczął krzyczeć, że nazywa się Hikmet i prosi o azyl. Odpowiedziały nam bluzgi, bo cały ten wielki statek musieli zatrzymać ze względu na nas. Dopiero po chwili załapali, o co chodzi.

Jednak zamiast godnie przywitać wielkiego komunistę, kapitan zamyka go w izolatce.

– Ironia losu była taka, że na ścianie wisiał tam plakat z jego zdjęciem i podpisem: „Uwolnić Nazıma Hikmeta!" – mówi Janina Małachowska, przyjaciółka pisarza.

Kilka godzin Erduran i Hikmet czekają na decyzję. Kapitan dzwoni do Bukaresztu, Bukareszt – do Moskwy. Stamtąd wreszcie przychodzą instrukcje.

Nazım Hikmet trafia do Rumunii, a stamtąd do ZSRR, gdzie czeka go entuzjastyczne powitanie. Refik Erduran wraca małą motorówką do Stambułu. O swojej przygodzie przez ponad ćwierć wieku nie mówi nawet żonie.

Stalin

1.

Hikmeta w Moskwie wszyscy hołubią. Na lotnisku witają go przedstawiciele władz i najznamienitsi radzieccy artyści.

Ale nikt nie ma odwagi zawieźć go do Stalina.

Turek słynie z niewyparzonego języka, a Moskwa stalinowska znacznie różni się od tej, którą pamięta ze studiów. Teatry grają sztuki pupili Józefa Wissarionowicza.

Cały kraj pełen jest jego pomników.

Hikmet, który kilkanaście lat spędził w więzieniu, nie ma o stalinizmie pojęcia. Dziwi się, że Meyerhold i Majakowski nie żyją. Pierwszy, wybitny reżyser i reformator teatru, został rozstrzelany w czasie stalinowskich czystek. Drugi, fenomenalny poeta, zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, choć w wersji oficjalnej popełnił samobójstwo.

Hikmet dziwi się jeszcze bardziej, słysząc, że zmarło wielu jego kolegów ze studiów, zaledwie pięćdziesięciolatków. Zapytany przez radzieckich towarzyszy, kogo z żyjących chciałby spotkać, chce widzieć Nikołaja Ekka[3], reżysera i reformatora filmu.

Wprawia to władze w sporą konsternację. Ekk jest na indeksie, filmów nie kręci, za to rozpił się strasznie i – jak wspomina poeta Jewgienij Jewtuszenko – śmierdzi od niego jak od starego psa.

Towarzysze doprowadzają go jednak do stanu, w którym można go pokazać gościowi z zagranicy, piłują paznokcie, wpychają w rękę wiązankę kwiatów i wiozą do Hikmeta.

– Co teraz robisz dla kina, drogi przyjacielu? – pyta Nazım.

– Z jakiegoś powodu ostatnio bardziej się skupiłem na cyrku – odpowiada Ekk.

2.

Hikmet cierpliwie czeka, aż Stalin znajdzie dla niego czas. Dwa dni przed wyznaczoną datą bierze udział w wydanym na swoją cześć przyjęciu. Jest już w ZSRR wystarczająco długo, by stało się widoczne, że źle znosi tutejszą atmosferę. Na kilometr wyczuwa wazeliniarstwo i nieszczerość. Całe życie poświęcił walce o komunizm. Ale nie tak go sobie wyobrażał.

Na spotkaniu z cierpliwością słucha hołdów, jakie mu składają inni literaci, aż sam zabiera głos[4]: „Bracia. Przeszedłem lata więzienia, marząc o moskiewskich teatrach... Moskwa to była uliczna rewolucja, która zmieniła się w sceniczną rewolucję. A co widzę dziś? Pozbawioną smaku sztukę, która nazwała się socrealizmem. Widzę niesamowitą ilość lizusostwa. Jak lizusostwo może być rewolucyjne? Za kilka dni spotkam się z towarzyszem Stalinem. Zamierzam mu powiedzieć szczerze, jak komunista komuniście, że te niekończące się portrety i pomniki powinny być usunięte”.

Słysząc te słowa, kilka osób ze strachu chyłkiem wymyka się z przyjęcia. Gospodarz, żeby załagodzić złe wrażenie, mówi, że Stalin pewnie też nie lubi niektórych ze swoich pomników i szybko wznosi za niego toast.

3.

Dzień później Hikmet odbiera telefon z Kremla. Towarzysz Stalin przekazuje ustami swoich dworzan, że jest strasznie zajęty i musi odwołać spotkanie.

4.

Poeta nigdy nie spotkał się ze Stalinem. Ale to nie znaczy, że Stalin o nim

zapomniał.

Generalissimus umiera w roku 1953. Dwa lata później Hikmet zaprasza do podmoskiewskiej daczy Jewgienija Jewtuszenkę i drugiego młodego poetę. – Wyłączył telefon i zamknął drzwi – opowiada Jewtuszenko. – Ale historia te drzwi wyważyła i wdarła się do mieszkania. Przybrała postać trochę podpitego, starszego mężczyzny, który padł przed Hikmetem na kolana.

– Nazımie, wybacz mi! – krzyczał i płakał. – Muszę ci coś wyznać!

Nazım podniósł go z kolan i powiedział:

– Nic nie musisz.

Mężczyzna jednak czuł, że musi.

Gdy Hikmet wylądował w Moskwie, przydzielono mu go jako kierowcę. Poeta momentalnie skraca dystans. Zaprzyjaźniają się. Bywają u siebie w domach, pijają razem wódeczkę.

Niecały rok później kierowca trafia na Łubiankę. Przesłuchuje go sam Beria.

– Wiesz, kogo wozisz? – pyta.

– Wielkiego poetę... Przyjaciela ZSRR – przerażony kierowca próbuje odgadnąć intencje przesłuchującego.

– Nie jest żadnym przyjacielem! – wrzeszczy Beria. – Chce zabić towarzysza Stalina. Ale to my zabijemy jego! A konkretnie ty – i Beria wskazuje palcem na kierowcę.

Kierowcy nie przekonują tortury ani groźby. Dopiero gdy na Łubiankę trafia jego żona, godzi się na współpracę. Od tego momentu dniem i nocą czeka na sygnał od ludzi Berii.

Cztery razy dostaje telefon, że ma Hikmeta zabić. Cztery razy ten rozkaz jest odwoływany.

– Nazım – mówi Jewtuszenko – wysłuchał tej historii z kamienną twarzą. Na koniec powiedział:

– Naprawdę nie ma o czym mówić. Lepiej nalejcie wódki[5].

Gota

Hikmet czuł, że póki na Kremlu rezyduje Stalin, lepiej trzymać się od Moskwy jak najdalej. Zostaje wielkim propagatorem Komitetu Obrońców Pokoju. Jeździ po świecie, uświetnia kongresy, przecina wstęgi. W Warszawie pierwszy raz zjawia się już kilka miesięcy po ucieczce z Turcji.

Polscy obrońcy pokoju na jego tłumaczkę wybierają turkolożkę Małgorzatę Łabęcką-Koecherową, zwaną Gotą, która pisała o Hikmecie pracę magisterską. Dziewięćdziesięciotrzyletnia dziś Gota wspomina, że w pracy z poetą musiała od początku jasno ustalić zasady gry.

– On strasznie lubił kobiety. Powiedziałam mu: ty jesteś mój *abi*. Po turecku to znaczy starszy brat, taki odpowiedzialny za całą rodzinę. Bardzo mu się to

spodobało i nasze relacje stały się jasne – opowiada. I dodaje: – On był jak dziecko. Szalenie dobry i jednocześnie naiwny. Jakby pan go spotkał na ulicy i poprosił o pieniądze, wszystko by oddał.

Jewtuszenko zapamiętał Hikmeta podobnie. Kiedyś Turek zadzwonił do niego z pytaniem, czy nie potrzebuje pieniędzy.

– Nie potrzebowałem – mówi Jewtuszenko. – Sprawiłem tym Nazımowi przykrość. „Jesteś pewien? – dopytywał. – Szkoda... Dostałem dziś przekaz i to jest dla mnie stanowczo za dużo".

Gota: – Zarabiał dużo, ale był szczęśliwy, jeśli udawało mu się tych pieniędzy możliwie szybko pozbyć. Rozdawał każdemu, kto go poprosił. Tak dobrego człowieka nie widziałam nigdy.

Borzęcki

1.

Stalin nie spieszy się, by dać poecie obywatelstwo ZSRR. Tureckie obywatelstwo zaś stracił przez ucieczkę.

To poważne utrudnienie, bo Hikmet chce jeździć po świecie.

Jego warszawscy przyjaciele wiedzą o pradziadku Polaku. Razem z Gotą starają się, by na tej podstawie dostał paszport z orzełkiem.

Bierut, któremu dobrze rozmawiało się z Hikmetem, nie ma nic przeciwko. Czy konsultuje to z Kremlem? Trudno powiedzieć, pewnie tak. Faktem jest, że w roku 1952 prawnuk generała Celaleddina dostaje obywatelstwo i dokument na nazwisko Nazım Hikmet Borzęcki.

Kto podpisał decyzję? Musiała to być Rada Państwa. Podpis złożył zapewne sam Bierut. Ale w Archiwum Akt Nowych nie ma ani śladu po tej decyzji.

Paszport PRL ze zdjęciem lekko uśmiechniętego poety przechowuje za to muzeum Hikmeta w Stambule. Poeta próbował podpisać się jako Borzęcki, ale po krzywych literach widać, że nie przywykł do tego nazwiska.

Dokument najbardziej przydaje się w roku 1956, gdy w Polsce panuje tak zwana odwilż, a do władzy dochodzi Władysław Gomułka. Polacy wierzą, że wreszcie zaczyna się budowa polskiej wersji socjalizmu. Entuzjazm udziela się i Hikmetowi. Jest zachwycony Gomułką. Spędza nad Wisłą ponad rok. Jego biografowie zgodnie piszą, że były to początki takiego komunizmu, o jaki mu chodziło.

Andrzej Mandalian: – Chwalił atmosferę w Polsce. W ZSRR dominowała wtedy straszna grafomania, a myśmy cenili wolność twórcy. Bardzo mu się to podobało.

Czy czuł się choć trochę Polakiem? W 1958 roku, na spotkaniu z czytelnikami w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, mówi: „Mam polski nos, włosy, które były jasne, nim posiwiały, i sporo polskiego chyba romantyzmu".

Rok później w wywiadzie dla „Orki" dodaje: „Mając do wyboru różne kraje, wybrałem kraj mojego dziada".

Ale przyjaciołom mówi, że był to wybór przymusowy.

2.

W czasie odwilży Hikmet zostaje członkiem Związku Literatów Polskich. Pani archiwistka ma z nim problem – ankiety personalnej nie wypełnił osobiście. Również teczka z dokumentami, artykułami i korespondencją jest wyjątkowo szczupła. Inni, nawet nie najlepsi poeci, mają teczki grube. Poeci wybitni mają ich po kilka, w dodatku opasłych.

Teczka Hikmeta to dwa listy od miłośników, decyzja o przyjęciu w poczet członków ZLP (Zaskakująca – mówi mi pani archiwistka – bo powinno się żyć i tworzyć w Polsce) i jedno zdjęcie. Hikmet ma na nim koszulę z ludowym wzorem i dyskutuje z Wiktorem Woroszylskim. Za ich plecami papierosa zapala Marcel Reich-Ranicki, Żyd uratowany z getta, przyszły papież niemieckiej krytyki literackiej.

3.

Nie tylko teczka Hikmeta jest szczupła. Podobnie jest z ludzką pamięcią.

Julia Hartwig: – Wysoki, postawny, bardzo miły. Jadał w stołówce w Związku Literatów. Więcej panu nie pomogę, bo nie pamiętam.

Andrzej Mandalian: – Tuwim się nim zachwycał. Był bardzo wrażliwy na dźwiękomowę, a Hikmet pięknie recytował po turecku. Niestety, ja również nie pamiętam nic więcej.

Gota wspomina, że Nazım przyjaźnił się z Broniewskim. Poeta z Płocka tęgo wtedy pił. Przyjaciele bali się, że będzie Hikmeta zawałowca namawiał na wódkę.

Niestety, poza kilkoma przetłumaczonymi z rosyjskiego wierszami, nigdzie nie znajduję śladów tej przyjaźni.

Podobnie z dziennikami i zapiskami innych polskich literatów. Nie wspomina o nim ani Ważyk, ani Słonimski, ani Iwaszkiewicz. Ostatni dobrze znał Hikmeta. Spolszczył kilka jego wierszy i udzielał się w gronie obrońców pokoju. Dzwonię do jego córki Marii:

– Jak nazwisko? Hikmet? Nie, nie przypominam sobie.

Nasi literaci mają z Hikmetem wyraźny problem. A nawet dwa problemy. Pierwszy? Oni mają już do komunizmu dystans. On – najmniejszego. I wojnę, i większą część stalinizmu spędził w tureckim więzieniu, marząc o komunistycznej Moskwie. Wielu rzeczy nie wie. Wielu wiedzieć nie chce. Choć na własne oczy widział, co nawyczyniał Stalin, nie nabrał nawet odrobiny dystansu.

Drugi problem stanowią jego wiersze. Propaganda mówi, że to jeden z najwybitniejszych poetów globu. Ten poeta jest ich kolegą ze Związku, jada z nimi obiady w stołówce. Ale jego wiersze wcale im się nie wydają tak wybitne.

Julian Przyboś zauważa, że „poeta posługuje się wierszem zbyt archaicznym, żeby znaleźć w Polsce naśladowców". Julia Hartwig pisze zaś w recenzji jednego z tomików, że Hikmet jest źle tłumaczony. Postuluje, żeby z tureckiego tłumaczyć

go ciągiem, jak prozę.

Gota, która w tym czasie ma już na tłumaczenie Hikmeta monopol, zgryźliwie jej wypomina, że tłumacząc wiersze towarzysza Mao, nie robiła tego prozą.

Żeby jednak oswoić nowego kolegę, polscy literaci porównują go do Mickiewicza. Po pierwsze, bo Mickiewicz zmarł w Stambule. Po drugie, bo jak wieszcz za Polską, tak Hikmet pięknie tęsknił za Turcją:

Ojczyzno moja, ojczyzno!
Nie mam już czapki tureckiej roboty,
nie mam obuwia, które nosiłem był w kraju;
już dawno ostatnią podarłem koszulę
z płótna tkanego w Şile.

Porównanie brzmi ciekawie. Ale sam Turek je burzy. Zapytany przez dziennikarzy, co myśli o Mickiewiczu, mówi, że nic. Żadnego z jego dzieł nie czytał.

Gala

Hikmet od młodych lat ciężko choruje na serce. W 1953 roku przechodzi poważny zawał. Ledwo go odratowano.

Ale jak prawdziwy turecki macho nie marnuje czasu na reperowanie zdrowia. W sanatorium bierze pod rękę młodziutką lekarkę. Idą na kawę.

Od tego dnia będą pić kawę codziennie. Doktor Galina Kolesnikowa zostaje partnerką, lekarką i przyjaciółką Hikmeta. Razem jeżdżą do Polski, Czechosłowacji, NRD i na Węgry. W Warszawie pomieszkują w sejmie. Janina Małachowska, przyjaciółka poety: – Pracowałam tam w kancelarii. Hikmet się skarżył, że mają z Galą mało miejsca w hotelu. Jego nazwisko otwierało wiele drzwi, więc załatwiłam im pokój gościnny. Spotykaliśmy się prawie codziennie w sejmowej restauracji. Kelnerka, pani Marysia, mówiła: „Hikmet, nie Hikmet, ale jaki piękny kawał chłopa!”.

Gala jest w niego wpatrzona jak w ikonę. Hikmet traktuje te hołdy jako coś całkowicie naturalnego. Złości to Gotę. Podpuszcza Galę, żeby wzbudziła w poecie choć odrobinę zazdrości.

– Nie łaź za nim. Idź na kawę z jakimś panem i opowiadaj, jak było miło – mówi. Gala słucha jak urzeczona.

Kilka tygodni później, razem z Gotą i Małachowską, odwozi Hikmeta do kolejnego sanatorium. Poeta bierze Galinę za rękę. A ona z rozpędu:

– Nazım, Gota mówi, żebym poszła z kimś na kawę. Ale ja nie chcę. Bo ja cię tak kocham, że cię mogę nawet w dupę pocałować!

Münevver

Dziś Hikmet byłby ulubieńcem prasy brukowej.

Trzy z jego czterech żon rzuciły dla niego poprzednich mężów. Jego romansów nie policzyłby nawet najlepszy kalkulator.

Największym echem odbiło się jednak małżeństwo Hikmeta z Münevver Andaç, córką jego wuja.

Profesor Tadeusz Majda, turkolog, był z nią zaprzyjaźniony: – Bardzo piękna, elegancka kobieta. Niesamowity intelekt i ładny, niski głos, typowy dla kobiet z tureckiej arystokracji.

Münevver odwiedza Nazıma, gdy ten siedzi jeszcze w więzieniu. Gdy wychodzi na wolność – zabiera córkę Renan i ucieka od męża. Niedługo później zachodzi w drugą ciążę. Z Hikmetem. Pobierają się.

Ucieczka Nazıma jest w jej życiu jak rewolucja październikowa. Tureckie władze są wściekłe, a jedynym sposobem, by dopiec Hikmetowi, są szykany wobec bliskich. Münevver jest wzywana na niekończące się przesłuchania. Jej dom jest pod obserwacją. Przyjaciele boją się z nią spotykać. Nikt nie chce dać pracy.

Przez pierwsze lata Nazım pisze do Münevver bardzo czułe, tęskne listy. Najpiękniejsze wiersze mówią o jego tęsknocie do niej i ich synka. Galina wie, że jej szczęście u boku poety będzie trwało, dopóki nie zjawi się Münevver.

Później jednak kontakt Hikmeta z rodziną zaczyna słabnąć. W końcu niemal całkiem się urywa.

Wiera

1.

Z ostatnią miłością Hikmeta było tak.

Jego przyjaciel Ekber Babajew przedstawia go dwóm pracownicom Mosfilmu. Chcą się poradzić w sprawie albańskich strojów ludowych, a przy okazji poznać wybitnego Turka.

– Ta blondynka jest niezła, ale ma płaskie cycki – mówi Hikmet do Babajewa. Rozmawiają po tatarsku. Żadna z pań nie powinna się zorientować, o czym mowa.

Tyle że blondynka z małym biustem w czasie wojny ukrywała się w tatarskiej wiosce. Zna ten język wystarczająco, by narobić Hikmetowi wielkiego wstydu.

Nazywa się Wiera Tuljakowa.

2.

Pierwszy raz Hikmet zjawia się u Wiery w sprawie poprawek do scenariusza. Drugi – już z kwiatami – w sprawie wspólnego wyjścia na kawę.

Wiera ma męża. Hikmetowi nigdy to nie przeszkadzało. Córka Stalina, Swietłana Alliłujewa, nazywała go nawet romantycznym komunistą.

Przeszkadza to jednak Wierze.

Hikmet chodzi za nią kilka lat. Kusi wspólną pracą nad scenariuszami, wyjazdami za granicę. Wysyła kwiaty. Po kilkuletnim kryzysie formy znów pisze wiersze.

Wiera łamie się, gdy Hikmet jest w Warszawie. Dzwoni, chce go widzieć. Poeta

pakuje się, odwołuje wszystkie spotkania i tego samego dnia wieczorem wsiada w pociąg do Moskwy.

Kilka dni później ucieka od Galiny przez okno, w samych tylko skarpetkach.

– Nie miał odwagi powiedzieć mi prawdy – mówi mi przez telefon Galina. – Całe miesiące płakałam dzień i noc.

Nazım i Wiera jadą do Paryża. W tym czasie wściekła Galina przechodzi przez mieszkanie Hikmeta jak trąba powietrzna. Zostawia wielki bałagan i karteczkę: „Do diabła z wami dwojgiem".

3.

Przyjaciele Hikmeta nie polubili Wiery.

– Było w niej coś, co nas odpychało – mówi Janina Małachowska. – Galina była w porządku, bardzo przyjacielska. Kupowała nawet ciuchy na bazarze dla Münevver i jej dzieci, bo wiedziała, że im się tam nie przelewa. Wiera natomiast była bardzo wyniosła.

Inni wspominają, że razem z Wierą pękł umiejętnie budowany mit Nazıma jako cierpiącego Odysa, którego zły los oddzielił od jego Penelopy.

Zwłaszcza gdy Penelopa cudem zjawiła się w warszawskim hotelu Bristol. A było to tak.

Joyce

Na początku 1961 roku Hikmet uświetnia konferencję Komitetu Obrońców Pokoju w Sztokholmie. Tam wpada mu w oko włoska pisarka i tłumaczka Joyce Salvadori Lussu, legenda ruchu oporu przeciw faszyzmowi.

Piją kawę, rozmawiają. Hikmet czyta jej swoje wiersze; namawia, by tłumaczyła je na włoski.

Na Lussu największe wrażenie robi jednak historia jego żony.

Postanawia działać. Leci do Stambułu i odwiedza Münevver. Notuje, że ściany jej skromnego mieszkania z góry na dół oblepione są zdjęciami Nazıma. Razem z Münevver obmyślają ucieczkę. Joyce o pomoc prosi swojego przyjaciela, milionera Carlo Giulliniego.

– Raz w życiu zrób coś dla innych! – mówi mu. Giullini ze śmiechem się zgadza. Płynie swoim jachtem do Turcji, a Joyce sprowadza Münevver z dziećmi do portu w miasteczku Ayvalık.

Wypływają wieczorem w stronę greckiej wyspy Lesbos. W połowie drogi trafiają na sztorm. Wiatr drze żagle. Ciska łódką. Fala zalewa pokład. Wszyscy wpadają do wody. Śmierć jest tuż-tuż.

Wyławiają ich greccy rybacy. Münevver zgłasza się do urzędu imigracyjnego. Podaje się za Polkę o nazwisku Borzęcki. Mówi, że jej dokumenty zatonęły. Strona polska – dzięki obrońcom pokoju – potwierdza tę wersję.

Kilka dni później Münevver wysyła do Joyce telegram z Warszawy: „U nas

wszystko w porządku”. To tylko część prawdy.

Münevver

1.

Nazım nie czeka na swoją rodzinę na lotnisku. Münevver na Okęciu wita Gota. Wiezie ją do hotelu Bristol przy Krakowskim Przedmieściu.

Poeta zjawia się dzień później, na śniadaniu. Przylatuje prosto z Hawany, gdzie wręczał Fidelowi Castro nagrodę – a jakże – obrońców pokoju.

Münevver po raz pierwszy dowiaduje się, że jej mąż jest z inną kobietą.

2.

Później Nazım i Münevver rozmawiają wyłącznie o poezji.

3.

Hikmet chce, by Münevver zamieszkała w Lipsku w NRD. Może jej załatwić pracę w tureckiej rozgłośni radiowej.

Münevver woli zostać w Warszawie. Razem z dziećmi przyjmuje nazwisko Borzęcki. Obrońcy pokoju załatwiają jej mieszkanie na Starówce.

Młody asystent – dziś profesor – Instytutu Turkologii Uniwersytetu Warszawskiego Tadeusz Majda z zaskoczeniem dowiaduje się, że po raz pierwszy w swojej historii Instytut będzie miał lektorkę z Turcji.

Potem z jeszcze większym zaskoczeniem odkrywa, że lektorka jest żoną słynnego Nazıma Hikmeta.

Münevver przez osiem lat wykłada na Uniwersytecie Warszawskim. Z Tadeuszem Majdą wydaje skrypt do nauki języka tureckiego, a z Gotą i Stanisławą Płaskowicką-Rymkiewicz – *Historię literatury tureckiej*.

Do dziś dla młodych turkologów to lektura obowiązkowa.

4.

Najlepsze intencje Joyce Salvadori Lussu nie zostały docenione.

Nazım jeszcze z Warszawy pisze do niej w liście, że zasłużyła na niebo, nawet „jeśli papież by się z tym nie zgodził”. Potem przytacza bajkę o kurdyjskim pasterzu, który trafił w progi bogacza. Bogacz ugościł go hojnie i Kurd wie, że przez całe życie nie będzie w stanie mu się odpłacić. Nie daje mu to spokoju, więc postanawia poderżnąć dobroczyńcy gardło.

„Czuję się jak ten Kurd” – kończy swój list Hikmet.

List Münevver do Joyce jest jeszcze bardziej gorzki: „Nazım jest dziś paszą z dwoma żonami. A ja jestem taka głupia…”.

Joyce po latach wspominała: „Historia o ukochanej żonie i synu, którą łamał nam serca, upadła jak kamień na dno studni”.

Pamuk

Münevver wyjeżdża z Polski w czasie kampanii antysemickiej z 1968 roku. Nikt jej

nie wygania, choć ma po matce sporą domieszkę krwi żydowskiej. Jest jednak zniesmaczona atmosferą, jaka zapanowała nad Wisłą.

W Paryżu tłumaczy literaturę turecką, w tym prawie całego Hikmeta, na francuski. Jej przekłady uchodzą za genialne. To, że Hikmet zdobył nad Sekwaną całkiem spory rozgłos, zawdzięcza głównie byłej żonie.

Na początku lat osiemdziesiątych jako pierwsza poznaje się na talencie młodego Orhana Pamuka. Tłumaczy go i otwiera mu drzwi na Zachód.

– Nie trzeba znać francuskiego, żeby czuć, jak genialne są to tłumaczenia – mówi noblista o Münevver.

Memed

1.

Mój kraj – przeciwległy brzeg
Wołam cię wołam z Warny
Memed Memed
Czy słyszysz głos Memed
Wciąż płynie to Morze Czarne
O wściekła tęsknoto, tęsknoto szalona
Synku – wołam – czy słyszysz jak z Warny cię wołam
Memed Memed

Pisze Hikmet w czasie pobytu w Bułgarii.

Ma tylko jedno dziecko. To syn jego i Münevver – Memed Hikmet. Kiedy poeta uciekał z ojczyzny, Memed był ledwie oseskiem.

Nad łóżkiem w moskiewskim domu Hikmeta wiszą dwa wielkie zdjęcia uśmiechniętego Memeda w bluzce w paski.

Hikmet potrafi całymi godzinami leżeć na łóżku i wpatrywać się w syna.

2.

O spotkaniu w warszawskim hotelu Bristol Memed Hikmet opowiada w wywiadzie zamieszczonym przez dziennik „Milliyet” w latach siedemdziesiątych. Jest to jedyny wywiad, jakiego udzielił.

W czasie ich pierwszego spotkania Nazım recytuje wiersze i opowiada kilka anegdotek z Kuby. Memeda o nic nie pyta. Niemal nie zwraca na niego uwagi. Dla chłopca, który wychował się w kulcie ojca, musi to być szok.

Później Memed ma wrażenie, że ojciec flirtuje z kobietą siedzącą kilka stolików dalej i „ma satysfakcję, że mimo podeszłego wieku jest jeszcze atrakcyjny” (Hikmet był wtedy ciut po pięćdziesiątce).

3.

Gdy Hikmet rozmawia z Münevver, Memeda i Renan przejmują córki Goty: Barbara i Agnieszka.

Agnieszka Koecher-Hensel: – Zabierałyśmy go na spacery. A to do Łazienek, a to

na Starówkę. Pamiętam, jak nie mógł wymówić słowa „liść”. Ja mu: „liść”, a on: „lyszcz”.

Münevver ma w Polsce dużo pracy, więc Memed trafia do internatu dla dzieci dyplomatów. Języka uczy się błyskawicznie – i tego bardziej, i tego mniej literackiego. Nie zawsze potrafi odróżnić pierwszy od drugiego.

Agnieszka Koecher-Hensel: – Po roku edukacji w internacie pojechaliśmy na wakacje do mojej ciotki do Krynicy Morskiej. Memed z zapałem opowiadał o jakimś seansie spirytystycznym, w którym brał udział i w którym udało się wywołać ducha.

– Memo, duchów nie ma! – mówi ciotka.

– Ciekawe, co by ciocia mówiła, jakby to cioci filiżanka zapierdalała!

Wiera

1.

Gdy Hikmet zakochuje się w Wierze, zaprzyjaźniony lekarz ostrzega: „Jeśli sobie pozwolisz na ten romans, nie pociągniesz dłużej niż trzy lata”.

Hikmet tylko się uśmiecha.

W 1960 roku dostaje wyczekiwany radziecki paszport. Wreszcie może wziąć z Wieroczką ślub. Kiedy ruszają do urzędu, kierowca pyta: „Towarzyszu Hikmet, tyle lat spędziliście w więzieniu, a teraz chcecie popaść w kolejną niewolę?”.

Hikmet znowu tylko się uśmiecha.

2.

Nazım Hikmet Borzęcki zmarł 3 czerwca 1963 roku. Dokładnie trzy lata i dwa miesiące po ślubie z Wierą. Od jego ucieczki minęło dwanaście lat. Do śmierci nie postawił stopy na ziemi tureckiej.

Memed

1.

Moje dziecko,
Memedzie
powierzam ciebie Komunistycznej Partii Tureckiej.
Spokojny
Odchodzę.
To życie, które we mnie dogasa,
trwać będzie w tobie jeszcze kawał czasu.

Komunistycznej Partii Turcji Nazım powierza nie tylko syna, lecz także czwartą część praw autorskich do swoich dzieł. Trzy czwarte dostali Münevver i Memed. Wierze przypada w udziale podmoskiewska dacza.

Na pogrzebie Memed dzielnie znosi długie godziny przemówień. Dopiero gdy tuż przed zamknięciem trumny kazano mu ojca pocałować, wybucha

spazmatycznym płaczem.

Przez pięć kolejnych lat regularnie bierze z matką udział w wieczorach wspomnieniowych o ojcu – a to w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, a to w Domu Literatów.

W 1968 roku wyjeżdżają razem do Paryża. Memed zostaje malarzem.
Na początku lat osiemdziesiątych odwiedza ich Barbara Łabęcka, starsza córka Goty.

– Münevver żyła skromnie. Ja jestem małomówna, ona też niezbyt wylewna, więc dość ciężko się nam rozmawiało. Dopiero jak przyszedł Memed, odetchnęłam. Jechaliśmy potem metrem i on dopytywał: „Dobrze pamiętam polski? Nie straciłem mokotowskiego akcentu?". Nie miałam pojęcia, co to jest mokotowski akcent, ale nie chciałam mu robić przykrości, więc przytakiwałam.

2.

W roku 1996 umiera Münevver Borzęcka.

W 2002 roku Memed Hikmet Borzęcki składa podanie o przywrócenie obywatelstwa tureckiego. Zostaje rozpatrzone pozytywnie. Dziś dzieli życie między Stambuł i Paryż. Jest skłócony z dużą częścią rodziny. Nie rozumieją, dlaczego nie chce opowiadać o swoim wielkim ojcu.

Bardzo chciałem spotkać się z Memedem. Odnalazłem jego tureckich i paryskich znajomych. Znalazłem dwóch kolegów z Polski, którzy twierdzą, że do dzisiaj są z nim w kontakcie. Dotarłem do Renan, jego przyrodniej siostry, która razem z nim spędziła pierwsze lata w Polsce, a dziś mieszka w Stambule.

Wszystko na nic. Koledzy o skontaktowaniu mnie z Memedem nawet nie chcieli słyszeć. Wspominki co chwila opatrywali zdaniami: „to nie do druku, to też nie do druku". Po kilku dniach – być może po kontakcie z Memedem – zabraniają mi jednak cytowania naszych rozmów.

Renan najpierw zaprosiła na kolację. Ale tuż przed nią przeprosiła i zaproszenie wycofała.

Za każdym razem, gdy choć o krok zbliżałem się do Memeda, rozbijałem się o szczelny mur, którym oddzielił się od dziennikarzy. Jakby sama myśl, że będzie musiał mówić o ojcu, sprawiała mu wielki ból. Jakby za dużo było w jego młodych latach tych dętych akademii, capstrzyków, spotkań w KMPiK i zakochanych w wielkim ojcu wielbicieli. Jakby chciał się całkowicie odciąć od tego, że jest synem Nazıma Hikmeta, wielkiego poety, komunisty, człowieka, który nie bał się ani więzienia, ani Stalina; który rozdawał pieniądze na lewo i prawo, ale który zupełnie nie sprawdził się ani jako mąż, ani jako ojciec.

Wiera

Tydzień po śmierci Hikmeta w jego marynarce znaleziono wiersz *Do Wiery*:

Powiedziała chodź

powiedziała zostań
powiedziała śmiej się
powiedziała umrzyj
Przyszedłem
zostałem
śmiałem się
umarłem.

Dziesięć lat później turecki rząd zdejmuje go z indeksu. Jego wiersze zaczynają być wydawane nad Bosforem. Zaczyna się hikmetomania – wielka moda na jego poezję, która trwa do dziś.

W 2008 roku, w setną rocznicę urodzin poety, słynny turecki kompozytor pisze ku jego czci oratorium. Niemal każda książka, która zawiera w tytule jego nazwisko, sprzedaje się w wielotysięcznych nakładach. Podobnie płyty z muzyką pisaną do jego wierszy. Na Facebooku działa kilkadziesiąt jego fanklubów. W Stambule powstało małe muzeum. Kilkanaście niezależnych komitetów walczy o zgodę na wybudowanie pomnika.

Na początku roku 2009, czterdzieści sześć lat po śmierci Hikmeta, turecki rząd go rehabilituje i zwraca mu obywatelstwo. Kolejne kilkanaście komitetów walczy o sprowadzenie jego szczątków do Turcji. Mają poważny argument: Nazım tęsknił za ojczyzną, a w wierszu pisał, że chce być tam pochowany.

Ale ich działania skazane są na niepowodzenie. Decyzję musi poprzeć najbliższa rodzina. Tymczasem jedyny syn poety, ustami adwokata, powiedział, że ojciec powinien zostać w Moskwie.

Marzenie Sinana

Nie lubię wynajmować przewodników.

Zwykle mówią niewiele więcej, niż sam mogę wyczytać w przewodniku *Lonely Planet*. Powiesz takiemu: „Zaprowadź mnie w jakieś nietypowe miejsce”, to prowadzi do pierwszego z brzegu meczetu i każe się dziwić, że taki nietypowy.

Kandydat na przewodnika musi mnie naprawdę czymś zaskoczyć, żeby chciało mi się tracić czas i pieniądze.

Ten w Edirne, dawnej stolicy Osmanów, wyglądał jak ubogi nauczyciel, który chce dorobić do pensji. Oprowadzał po perle osmańskiej architektury: cudnej, wielopoziomowej bombonierce – Selimiye Camii. Miał wymięte spodnie, niemodny sweter i rogowe okulary. Wyglądał na nudziarza, ale zaskoczył mnie od razu. Bo zamiast powiedzieć: „Opowiem ci o największym meczecie w Turcji”, powiedział: „Opowiem ci o największym marzeniu architekta Sinana”.

Zamieniłem się w słuch.

1.

– Taki architekt, jak Sinan, rodzi się raz na tysiąc lat. Nazywają go tureckim Michałem Aniołem, ale Michał Anioł mógłby mu buty wiązać. Miał szczęście, że się urodził na Zachodzie, a Sinan nad Bosforem. Turkowi do dziś trudno się przebić za granicą – mówi z żalem przewodnik w wymiętych spodniach. Na dowód pokazuje mi przecudną, wyłożoną kaflami lożę sułtana. – Ojciec Sinana żył z robienia nagrobków. Był chrześcijaninem. Dlatego jako młody chłopak Sinan trafił do korpusu janczarów, fantastycznych żołnierzy, rekrutujących się spośród synów niewiernych.

W Stambule szybko się okazało, że jest nad wyraz zdolny. Został dowódcą niższego stopnia, później wyższego. Ale jeszcze szybciej okazało się, że najlepiej idzie mu budowanie.

Podobno już wtedy był ambitny jak cholera. Ta ambicja zżerała go od środka jak robak.

Jego pierwszym poważnym dziełem był Haseki Hürrem – hamam dla żony Sulejmana Wspaniałego. Ta żona nazywała się Hürrem, ale wy mówicie na nią Roksolana. Była branką z Polski, prawdopodobnie córką ukraińskiego popa. Była też nad wyraz piękna. Sulejman kochał się w niej po uszy.

Hamam stoi w Stambule między Hagią Sophią a Błękitnym Meczetem. Dziś sprzedają w nim dywany. Spodobał się sułtanowi, więc Sinan dostawał kolejne zlecenia. A to most, a to meczet, a to grobowiec jakiegoś ważnego generała.

Przez swoje długie życie budował meczety, medresy, szkoły koraniczne, szpitale, karawanseraje, akwedukty, pałace i łaźnie. Dla Sulejmana Wspaniałego wybudował

kompleks meczetowy Süleymaniye, do dziś górujący nad Stambułem. Wszyscy go podziwiali.

Ale on nie był z siebie zadowolony. Nie mógł być, bo drążył go robak ambicji. A nad jego Stambułem górował wielki wrzód.

2.

– Nie ma na świecie drugiego takiego budynku jak Hagia Sophia – mówi mój przewodnik w rogowych okularach i prowadzi mnie do ogrodu, w którym muzułmanie mogą odpoczywać po *namazie*, czyli modlitwie. – Kościół Mądrości Bożej przez prawie tysiąc lat był najwyższą świątynią na świecie. Zdeklasowała go dopiero katedra w Sewilli z początków xvi wieku, notabene wybudowana w miejscu dawnego meczetu – opowiada. – Kopuła w najwyższym miejscu ma pięćdziesiąt pięć metrów. Powstała zaledwie w pięć lat! I tempo, i efekty pracy Bizantyjczyków do dziś robią wrażenie.

Mehmed Zdobywca, który w 1453 roku zdobył Konstantynopol i triumfalnie do niego wjechał, nie zdecydował się jej zburzyć. Kazał tylko dobudować cztery minarety, mozaiki przykryć tynkiem, a świątynię przerobić na meczet.

W ten sposób zostawił w samym centrum swojej nowej stolicy ropiejący wrzód.

Wszyscy niewierni, choć na widok bogactw sułtana i jego kraju opadały im szczęki, na koniec mówili: „Ale Hagii Sophii nie przeskoczyliście". I cokolwiek zrobiłby sułtan, jakichkolwiek podbojów by dokonał, niewierni i tak zawsze mówili: „Hagii Sophii nie przeskoczyliście".

Mieli rację. A nam, Turkom, nigdy na niczym tak nie zależało, jak na podziwie niewiernych. Sami nie umiemy doceniać tego, co mamy i co sobą reprezentujemy. Dopiero podziw w waszych zachodnich oczach sprawia, że czujemy się wartościowi.

Dlatego wrzód z roku na rok ropiał coraz bardziej.

3.

– Sinana wrzód w postaci Hagii Sophii palił i piekł dużo bardziej niż innych – przewodnik o wyglądzie nauczyciela na dorobku pokazuje mi miejsce do ablucji. – To on był najwybitniejszym architektem sułtanów. To on powinien podnieść rękawicę, rzuconą przez dawne pokolenia, i wybudować coś większego i piękniejszego.

Biografowie mówią, że Sinan dożył późnej starości – a żył prawie sto lat – wyłącznie dzięki Hagii Sophii. To ona dawała mu siłę, żeby rano wstać i pracować do późna w nocy. Była jego obsesją.

Ale żaden z jego budynków nawet nie zbliżył się do wymarzonej wysokości.

Możliwość, by ją przeskoczyć, nadarzyła się, gdy Sinan miał ponad siedemdziesiąt lat. Selim II, syn Roksolany i Sulejmana Wspaniałego, zlecił mu wybudowanie meczetu w dawnej stolicy państwa Edirne. Podobno sułtan zdrzemnął się w trakcie podróży i mniej więcej na wysokości dzisiejszego stadionu klubu

Fenerbahçe przyśnił mu się prorok Mahomet. Najpierw wypomniał sułtanowi, że choć ślubował, to nie wyrwał Cypru z rąk niewiernych. W ramach przeprosin kazał mu wybudować meczet.

Sinan od początku był przekonany, że właśnie ten meczet przyćmi Hagię Sophię. Wreszcie pokaże niewiernym, gdzie ich miejsce! Wreszcie cały świat będzie podziwiał kunszt osmańskiego architekta i chwalił imię Allacha!

Staruszek raźno wziął się do roboty i chętnie wszystkim opowiadał, że wrzód stojący naprzeciw pałacu sułtana lada moment przestanie ropieć.

4.

– Zaledwie sześć lat później, w 1574 roku, Selim zaprosił elitę Stambułu na otwarcie Selimiye – przewodnik w niemodnym swetrze prowadzi mnie pod kopułę, którą setki lat temu podziwiała stambulska śmietanka. – Apetyty były wielkie. Ale elita kręciła głowami, uśmiechała się pogardliwie i szeptała, że sułtan i jego nadworny architekt poupadali na głowy. Meczet nie wydał się elicie ani o centymetr większy od Hagii Sophii. Więcej: wydał im się dużo mniejszy.

Sinan usłyszał te szepty i się obraził. On jeden był pewien, że świątynia, którą postawił, prześcignęła zachodnich inżynierów. Kilka miesięcy po jej wybudowaniu spokojnie zmarł.

I wiesz co? – tu mój przewodnik zniża głos i zagląda mi głęboko w oczy. – To Sinan miał rację. W latach siedemdziesiątych przyjechali tu Amerykanie i zmierzyli wszystko bardzo dokładnie laserem. Okazało się, że kopuła Selimiye jest większa od kopuły Hagii Sophii. Dokładnie o dwa centymetry.

5.

Przewodnik ściska mi rękę i chowa zarobione pieniądze w kieszeń koszuli. Całą sumę, choć mógłbym się targować, bo trochę ubarwił życie Sinana. Nie umówiliśmy się jednak na rozmowę o historii, ale o marzeniach.

O Selimiye rozmawiam więc raz jeszcze z Hacim Muratem Öçanoğlu, architektem ze Stambułu.

– Sinan rzeczywiście mógł być przekonany, że zbudował najwyższą na świecie świątynię. Do dziś wielu Turków w to wierzy. Ale nie mają racji. Kopuła jest mniejsza od kopuły Hagii Sophii o jakieś dwanaście metrów, tyle że stoi wyżej i optycznie może się wydawać zbliżona. Tylko średnica kopuły jest ciut większa, dokładnie o pół metra.

Nieprawdą jest też, że Sinan umarł zaraz po skończeniu tej budowli. To sułtan zmarł kilka miesięcy później. Architekt żył jeszcze czternaście lat. Pracował, pisał wspomnienia. Nigdy nie przyjął do wiadomości, że Hagia Sophia go pokonała.

Imamowie i prezerwatywy

Tayfun i Özge od roku mieszkają razem w Stambule. Śpią w jednym łóżku. Co ich wyróżnia?

– Absolutne zero seksu – uśmiecha się smutno Tayfun. On jest muzykiem i poetą, ona graficzką. Prowadzą rockandrollowy tryb życia: imprezy, goście, alkohol. Nie wyglądają na radykałów. A jednak Özge potwierdza.

– Muszę być twarda. On jest Kurdem – mówi i patrzy na narzeczonego spode łba.

Jak w Tayfunie budzi się zwierzę

Tayfun ma minę zbitego psa. Czy to jego wina, że się urodził na konserwatywnym wschodzie?

– Kochanie...

– Tayfun, wiem, co powiesz! Że jesteś inni niż tamci troglodyci. Że zmywasz naczynia, odkurzasz.

– Żaden mężczyzna w mojej rodzinie tego nie robi! A ja tak. Bo cię kocham. Nie jestem taki jak oni!

– Wszystkim wam chodzi o jedno! – krzyczy Özge i ciska w niego paczką papierosów.

– Przecież ty też tego chcesz, orzeszku!

– Jaaaaaaaaa?

Özge bierze głęboki wdech. Tayfun trafił w dziesiątkę. Tak, ona też by chciała. Też widzi, że to nienormalne. Przecież wszystkie jej koleżanki to robią. Przecież są dorośli.

Czasem zaczynają się całować przed spaniem. Jest dobrze. Ale ona widzi, że w nim zaraz obudzi się zwierzę. Co to znaczy? Że nie będzie słuchać. Ona powie: „Przestań". A on: „Kwiatuszku, orzeszku, chmurko, zróbmy to, chociaż raz". Ona powie: „Zabierz te ręce". A on: „Jakie ręce?".

– Patrzysz, czy on się nie podnieca? To chore! – mówię, a Tayfun radośnie klepie mnie po plecach.

– Zwykła ostrożność – kręci głową Özge.

– Ale dlaczego nie możecie iść dalej?

– A zapytaj Turka, czy ożeni się z dziewczyną, która nie jest dziewicą.

Tym razem to Özge trafia w sedno. Przeciętny Turek, choć myślenie o seksie zajmuje mu sporą część dnia, o żonie niedziewicy nawet nie chce słyszeć. Dlatego decyzję o pójściu na całość dziewczyny często odkładają do ślubu. Według badań dla osiemdziesięciu procent pierwszym mężczyzną jest własny mąż.

Ale to tylko statystyka. Gabinety ginekologiczne zarabiają fortunę na dyskretnym

zszywaniu resztek błony dziewiczej.

– Też bym tak mogła – mówi Özge. – Ale Stambuł, choć ma piętnaście milionów mieszkańców, jest jak wielka wieś. Koleżanka się zaszyła i następnego dnia wszyscy jej znajomi wiedzieli. Okazało się, że rejestratorka w tej prywatnej klinice była cioteczną siostrą jej byłego chłopaka.

Dlatego Özge musi podejmować bardziej radykalne kroki. Jeśli w Tayfunie budzi się zwierzę, wstaje, zapala światło, włącza telewizor. Jeśli on się złości, ona wychodzi do drugiego pokoju. Czeka, aż mu przejdzie. Jeśli nie przechodzi, śpi na sofie.

Czasem zwierzę nie chce odejść. Wtedy Tayfun idzie na kilka dni spać do kolegów.

– Po co to wszystko? – pytam. – Islam wam nie pozwala?

– Tym się nie przejmuję. Ale on jest ze wschodu. Tam kobieta bez cnoty nie jest nic warta. Jeśli się z nim prześpię, przestanie mnie szanować.

– Jesteście razem dwa lata. Gdyby chodziło tylko o seks, już by odszedł.

– Nie zrozumiesz tego. Nie jesteś Turkiem.

Jak się wypala włosy

Özge może mieć rację. Opowiada mi o koleżankach, które przetrzymały chłopaków rok, dwa, pięć. W każdej z tych historii dziewczyna wreszcie ulega. I w każdej – na samym końcu – chłopak odchodzi. Przesadza? A może ma dziwne koleżanki? A może te koleżanki miewają dziwnych facetów? Ciężko ocenić.

W 2005 roku dziennik „Hürriyet” publikuje wielki raport na temat seksu Turków, zwany tureckim raportem Kinseya. Oto najciekawsze wyimki:

– czterdzieści procent mężczyzn nie wie, co to jest menopauza;

– co trzecia kobieta w ogóle nie myśli o seksie;

– pary (przed ślubem) uprawiają seks średnio 8,2 minuty w miesiącu, poprzedza to 11 minut gry wstępnej;

– połowa kobiet nie umie zdefiniować ani opisać orgazmu.

Komediopisarz Metin Üstündağ tak komentuje wyniki: – U nas większość myśli, że klitoris (łechtaczka) to stolica Singapuru.

Ale jeśli odjąć religijny wschód, Turcja wypadłaby dwa razy bardziej nowocześnie!

– To ci jaskiniowcy zaniżają nam wyniki! – złoszczą się stambułczycy.

Proszę więc jednego przedstawiciela zacofanego wschodu i jednego jaśnie oświeconego stambułczyka, by opowiedzieli o swoim seksie.

Metin ma dwadzieścia jeden lat i jest z Konyi, zagłębia konserwatyzmu. Studiuje ekonomię.

Serdar ma lat dwadzieścia pięć, pochodzi z bogatej rodziny. Studiuje na prywatnym uniwersytecie. Spotykamy się w apartamencie, który wynajmuje

z kolegami.

Metin: – Kiedy skończyłem siedemnaście lat, brat zabrał mnie do burdelu. Teraz chodzę tam co miesiąc z kolegami z akademika. Myjemy się, golimy...

– Wypalacie włosy? – dopytuje Serdar.

– Wypalamy.

Tureccy chłopcy mają hopla na punkcie zbyt bujnego owłosienia. Klatę się przystrzyga albo depiluje. Włosy w nosie i uszach wypala zapalniczką. Po co? Bo kobiety nie lubią zbyt bujnego owłosienia.

– Co dalej? – dopytuję.

– Potem rezerwujemy dwie panie i bawimy się do rana.

– Dwie?

– Nie stać nas na więcej. One siedzą w pokoiku, a my po kolei wchodzimy. Czekamy, palimy nargile, pijemy *rakı* – anyżkową wódkę – i gadamy. Jak ktoś siedzi za długo, to łup! walimy w drzwi.

– Wielu tam chodzi?

– Tam, skąd jestem, tak. Mnóstwo moich kolegów jest długo kawalerami, bo nie stać ich na żonę. Żaden ojciec nie da córki komuś, kto mało zarabia. A potrzeby... No, wiadomo, każdy ma.

Serdar: – W Stambule jest łatwiej. Ja inicjację miałem jako szesnastolatek z córką sąsiadów. Potem po każdej imprezie się coś trafiało. Wschód jest strasznie zamknięty. A u nas totalny hedonizm. Myślę, że to największy seksualny problem Turcji. Mało jest ludzi, którzy sypiają ze sobą po prostu dlatego, że się kochają.

Jak się zrywa gruszki u sąsiada

Według badań dziennika „Hürriyet”, co trzeci Turek zaczyna życie płciowe z prostytutką. Tylko dla jednej czwartej pierwszą kobietą jest własna żona.

– Ale – podkreśla Serdar – weź pod uwagę, że żadne badania w tej kwestii nie są w Turcji wiarygodne. Kobiety zawsze będą mówić mniej, niż było. Mężczyźni więcej. A najwięcej opowiadają ci, co nigdy się nawet nie całowali.

Co drugi mężczyzna deklaruje, że zdradza żonę i partnerkę. Ale tu dane się zgadzają, bo aż osiemdziesiąt jeden procent tureckich rozwódek jako powód rozejścia podaje zdradę męża.

Najsłynniejsza rubryka prasowa o seksie też zaczęła się od zdrady. Jej autorką jest Güzin Abla – Ciotka Güzin, czyli Fatma Güzin Sayar, dziennikarka ze Stambułu. O jej porady seksualne od lat zabijały się największe dzienniki.

W 1938 roku jako szesnastolatka Ciotka Güzin bierze ślub z komandorem tureckiej marynarki. Jest zakochana po uszy. Jednak szybko okazuje się, że komandor zdradza ją na lewo i prawo. Ciotka decyduje się na rozwód i obiecuje sobie, że już nigdy nie zwiąże się z żadnym mężczyzną.

Przysięgę łamie raz. Pod koniec lat pięćdziesiątych wychodzi za kolegę z redakcji. Kiedy okazuje się, że i on ją zdradza, wystawia jego walizki przed drzwi i postanawia, że resztę życia poświęci uczeniu Turków pięknej miłości. Tak powstaje rubryka *Ciotka Güzin radzi* w magazynie „Son Havadis".

Güzin Abla próbuje godzić dwa światy. Konserwatystom tłumaczy, że seks nie jest zły. Liberałom – że hedonizm donikąd nie prowadzi. I że najważniejsza jest miłość. Promuje dziewictwo, wierność i uczciwość małżeńską. Ale tych już pożenionych zachęca do łóżkowych eksperymentów.

„Droga Güzin Ablo – pisze jedna z czytelniczek pod koniec lat sześćdziesiątych. – Nie wiem, co robić! Znalazłam w biurku męża list od innej kobiety. On ma romans! Güzin Ablo, pomóż! Zrozpaczona Fatma".

„Droga Fatmo – odpowiada Güzin Abla. – Mężczyźni są jak dzieci. Traktujesz go poważnie – pójdzie do cudzego ogrodu i będzie zrywał gruszki. Spróbuj nim potrząsnąć. Zagroź, że odejdziesz. Jeśli kocha, zrobi wszystko, by cię zatrzymać".

Młodzi Turcy śmieją się z jej staroświeckich poglądów. „Idź do Güzin Abli", mówią, gdy ktoś zanudza w towarzystwie swoimi problemami.

Mimo to porady Ciotki przez całe lata są czytane przez miliony. W niej zaś największe emocje budzą zawsze listy kobiet zdradzanych przez mężów. „Tureccy mężczyźni są genetycznie zaprogramowani na zdradę – mówi w jednym z wywiadów. – Bo rzadko który z chłopca staje się mężczyzną".

Jak leczyć niedobre fik-fik

Powodów, dla których chłopiec nie może stać się mężczyzną, jest wiele. Jednym ze szczególnie popularnych w Turcji jest coś, co fatalnie brzmi po polsku: syndrom obrzezańca. Co to takiego? Odpowiedź na to pytanie zna doktor Mustafa Güneş, seksuolog. Dzień w dzień pod jego gabinetem ustawia się spora kolejka pacjentów.

– Jestem doktor seksolog – przedstawia się z uśmiechem doktor Güneş, a jego czarny wąs błyszczy w jarzeniowym świetle. Bierze do ręki podłużny balonik, który w jego gabinecie może się kojarzyć tylko z jednym. Łamanym angielskim (bo doktor upiera się, że zna ten język i chce w nim rozmawiać) tłumaczy mi, czym jest ów syndrom. – Ty patrzy! – mówi i dmucha w balonik, aż zrobi się długi i gruby. – To jest dobry sprzęt. To może fik-fik – i doktor pociera balonikiem o spód otwartej dłoni. – Ale czasem człowiek worry-worry. Ma zmartwienie. Co wtedy?

– Wtedy gorzej? – próbuję zgadnąć.

– Duuużo gorzej! – przekonuje doktor i upuszcza z balonika trochę powietrza. Balonik już nie jest sztywny. – Ale dalej może fik-fik – zastrzega doktor i znów trze balonikiem o dłoń. – Ale może być jeszcze gorzej. Czasem człowiek ma wielkie worry-worry. Nowa praca. Nowe mieszkanie. Z żoną koniec. No, masz kilka miesięcy worry-worry. Co wtedy?

– Bardzo źle? – zgaduję.

– Big worry-worry! – cieszy się doktor i upuszcza z balonika kolejną porcję powietrza. Balonik jest już prawie pusty. – Ale jeszcze może fik-fik – zastrzega seksuolog.

– Ale gdzie tu obrzezanie? – dopytuję.

– Pomyśl chwilę... U nas nie ucina się tej skórki niemowlakom. U nas to jest dla dużych chłopców. – I doktor patrzy wyczekująco, czy sam zgadnę.

Ma rację. Obrzezanie to dla małych Turków coś jak Pierwsza Komunia dla Polaków. Rytuał inicjacyjny. Biedni robią to w szpitalu, w ramach ubezpieczenia. Bogaci – u słynnego rzezaka przy dźwiękach specjalnej muzyki. Rzezak Fehmi, który jest popularny wśród tureckich polityków i celebrytów, urządza nawet specjalne seanse. Setka chłopców w trakcie widowiska typu światło-dźwięk bezpowrotnie żegna się z napletkiem. Później, w strojach małych paziów i z berłami w rękach, idą nakarmić kaczki, zjeść loda w McDonaldzie i pokłonić się staremu Eyüpowi – wojownikowi, który walczył z Bizancjum i którego grób jest dziś najświętszym miejscem w Stambule.

Tylko co ma wspólnego seks z obrzezaniem?

– Wyobraź sobie, że masz siedem lat. O tym, że masz penis i nie jesteś dziewczynką, dowiedziałeś się całkiem niedawno. A od roku wiesz, że ci coś z tym zrobią. Że utną kawałek, będą operować. Że będzie bolało. Samo to już worry-worry, prawda?

– Prawda.

– A chłopcy w szkole mówią, że cały ci trzeba obciąć. A jakiś głupi wujek potwierdza, że to prawda. Wtedy masz ogromne worry-worry! – doktor wypuszcza z balonika ostatnią partię powietrza i energicznie trzęsie nim na lewo i prawo. – A jak jesteś dorosły i chcesz fik-fik, to się zaczyna problem. Jak myślisz o penisie, to się boisz. I jako mężczyzna jesteś finish.

Jak się to leczy? To długa praca. Doktor z seksuologa zamienia się w psychologa. Wraca z pacjentami do źródeł ich strachu. Prosi, by mówili o penisie jak o kimś bliskim, jak o swoim kumplu.

Doktor Güneş ubolewa, że nad syndromem obrzezańca panuje zmowa milczenia. Nawet co piąty mężczyzna w Turcji może mieć z tego powodu problemy ze wzwodem. A nie mówi się o tym w ogóle.

– Mówi się tak: *sünnet* (obrzezanie) jest super. Nie ma bakterii, jest większa potencja. Dzieciom się robi wielkie święto: paź, szarfa, złote cekiny. A potem taki paź dorasta i nie może fik-fik. Ale o tym się nie mówi!

– Dlaczego?

– U nas każdy musi być macho. Moi klienci przychodzą w tajemnicy przed żonami, narzeczonymi. Prawie wszyscy w ciemnych okularach, nawet zimą. Turek prędzej umrze, niż powie, że jego sprzęt nie jest sprawny. Pójdzie na bazar i kupi viagrę. Gorszy od impotencji jest chyba tylko homoseksualizm.

Jak zrobić w Turcji Paradę Równości

„Droga Güzin Ablo, mam wielki problem. W ogóle nie ciągnie mnie do kobiet. Myślałem, że to zwykła oziębłość, ale to coś więcej. Ostatnio bardzo się podnieciłem, gdy byłem z kolegą na basenie. Obawiam się najgorszego. Co robić? Błagam, pomóż! Metin”.

„Drogi Metinie, bardzo ci współczuję. Choroba, na którą cierpisz, nazywa się homoseksualizm. Na szczęście można się z niej wyleczyć. Güzin Abla”.

Chyba jedynym miejscem, gdzie imię Ciotki Güzin nie wywołuje życzliwego uśmiechu aprobaty, jest Lambda Stambuł – stowarzyszenie gejów, lesbijek i mniejszości seksualnych. Üstüngel, pracownik Lambdy, słysząc o Ciotce, strasznie się obrusza.

– Narobiła dużo zła. Latami pracujemy nad tolerancją, a ona w każdym wywiadzie powtarza: „Leczcie się, geje. Leczcie się, lesbijki”. Szlag mnie trafia!

Stambulska Lambda działa bardzo prężnie. Co roku z innymi organizacjami robi wielką paradę połączoną z trzydniową konferencją. Rozmawiają między innymi o sztuce gejów i lesbijek i o sytuacji mniejszości w krajach arabskich. Na paradę przychodzą tysiące ludzi. Ponad połowa to heteroseksualiści.

– Liberałowie są bardzo otwarci, jest nawet moda na kumpla geja – mówi Üstüngel. – Gorzej z konserwatystami.

– Na przykład?

– Moi rodzice mieszkają na wsi. Syn gej to by dla nich była megaporażka! Mam więc na ich potrzeby narzeczoną, zaprzyjaźnioną lesbijkę, która ze mną jeździ do rodziców. Ja z nią jeżdżę do jej matki. Myśleliśmy nawet, żeby wziąć ślub, ale to by już była przeginka. Na razie walczymy o legalizację związków partnerskich. Ale sam nie wiem, co bym zrobił, gdyby była taka możliwość...

– Dlaczego?

– W Stambule wszyscy przyjaciele wiedzą, że jestem homo. Jednak cały czas mam z tyłu głowy rodziców.

– A sąsiedzi?

– Dwa razy z moim chłopakiem musieliśmy się przeprowadzać, bo ludzie zaczynali się dziwnie patrzeć. Strasznie buraczane to nasze społeczeństwo.

Jak aktorzy udawali seks

Wiosną 1922 roku zacny obywatel Stambułu, pan Besim Ömer Pasza, udał się na posterunek policji w dzielnicy Kadıköy i złożył oficjalny donos. Zauważył mianowicie, że nocą w kinie Odeon zbierają się podejrzane typy.

Dzięki szybkiej akcji policji po raz pierwszy w Turcji zatrzymano na gorącym uczynku zwyrodnialców, którzy oglądali filmy erotyczne. Sprawa była głośna. Prasa pisała: „Oni psują nasze dzieci! Domagamy się wysokich kar!”.

Ten epizod uznawany jest za początek przemysłu erotycznego nad Bosforem. Jego rozkwit nadszedł pół wieku później. Już w 1960 roku Turków poruszył pocałunek – a właściwie delikatne muśnięcie ust – dwóch lesbijek w filmie *İki Gemi Yanyana* (Dwa statki obok siebie).

Ale za start rewolucji uznaje się premierę pierwszego filmu erotycznego *Parçala Behçet* (Rozszarp mnie, Behçecie). Premiera była wielkim, wyreżyserowanym skandalem. Przyszło na nią aż siedem tysięcy szczęśliwców. Pokaz odbył się w Konyi, ostoi islamskich konserwatystów. Twardogłowi muzułmanie urządzali

przed kinami protesty, policja je tłumiła. Liberałowie ostentacyjnie chodzili na film po kilka razy. A producenci zaczęli robić dziesiątki erotyków. I zarabiać miliony lir.

W tym czasie turecka kinematografia była jedną ze światowych potęg. Turcy kręcili kopie filmów z Hollywood. Rekordy popularności biły filmy o Supermanie czy Batmanie. Ponieważ jednak wszystkie były robione tanim kosztem, dziś dla tureckiej młodzieży są głównie powodem do żartów. Nadbosforska wersja *Gwiezdnych wojen – Dünyayı Kurtaran Adam* (Człowiek, który ocalił świat) – zasłużyła nawet na miano najgorszego filmu wszech czasów.

Boom na erotyki skończył się w roku 1978. Przyciśnięte przez prasę brukową wytwórnie przyznały wtedy, że aktorzy tak naprawdę tylko udają, że uprawiają seks. Z dnia na dzień Turcy przestali chodzić do kin.

Nie było wyjścia. Filmowcy musieli iść na całość. W 1979 roku powstała pierwsza w pełni legalna turecka produkcja porno – *Öyle Bir Kadın Ki* (Cóż to za kobieta). Film pokazywano w kinach i na wschodzie, i na zachodzie Turcji.

Seksuolog Mustafa Güneş: – To bardzo ważny film. Po pierwsze, był wentylem bezpieczeństwa. Tłumiony popęd seksualny to pożywka dla ekstremistów. A to były czasy, gdy u nas panowało wielkie napięcie polityczne, były setki terrorystów, zamachów.

Film spowodował nad Bosforem erupcję pornografii. Napięcie polityczne zaowocowało zaś strzałami Ali Ağcy do dziennikarza Abdi İpekçiego i wojskowym zamachem stanu w roku 1980. Gdy wojskowi przejęli władzę, produkcja pornografii została wstrzymana.

– A jaki jest drugi argument? – pytam doktora Güneşa.

– Edukacja seksualna. Młodzi chłopcy nie mieli kogo zapytać, co się robi sam na sam z kobietą. A w filmie wszystko było pokazane. Zrobił więcej, niż dziś robią wolontariusze, którzy jeżdżą z bananami po wioskach.

Jak nałożyć gumkę na bakłażan

Z jakimi bananami? Odpowiedź znajduję w meczecie w Küçükköy, w niewielkiej wiosce na skraju świata.

Jest koniec lipca. Mały, zasuszony imam Mustafa Ertürk wychodzi na ambonę. Wokół – w kucki i po turecku – siedzą mężczyźni z długimi brodami.

Imam zaczyna kazanie: – Allach raduje się każdym nowym muzułmaninem. Cieszy się, kiedy słyszy głos dziecka. Ale kiedy matka nie ma pieniędzy, żeby dać dziecku łyżkę jogurtu, nie jest dobrze.

Mężczyźni patrzą po sobie. Przecież to wiedzą, po co imam przypomina, że na wsi często nie ma co włożyć do garnka?

Imam też na nich patrzy i gładzi się ręką po brodzie. W jego wiosce mało jest dobrze odżywionych dzieci. Rząd, który walczy z przeludnieniem wschodu, kazał mu namówić mężczyzn do stosowania prezerwatyw.

– Dziś w naszej wiosce są mili panowie z organizacji Mavi z miasta Batman – kończy imam. – Oni wam opowiedzą, co zrobić, żeby spać z żoną i nie mieć dzieci.

Aytekin, wolontariusz, czeka na mężczyzn pod meczetem. Podchodzą zaciekawieni. Sadza ich wokół siebie, wyjmuje banana i krok po kroku wyjaśnia, jak używać prezerwatyw.

– Wiem, że to prymitywne – tłumaczy mi później. – Ale żeby dotrzeć do tych ludzi, trzeba przyciągnąć ich uwagę. Pokazuję banana i mówię: „To jest wasz *patlıcan*, bakłażan". Tak na wsiach mówią na męski narząd. „To, co z niego wylatuje, to mali Kurdowie. Jeśli mały Kurd wejdzie do brzucha waszej żony, będziecie mieli dziecko".

– Dokładnie tak pan mówi?

– Chłopcze, oni nie mają żadnej edukacji w tej dziedzinie! Jak im zacznę opowiadać o jajeczku i plemniku, to się popukają w głowy. Muszę mówić obrazowo. Nakładam na banana prezerwatywę i mówię: tu możecie złapać małych Kurdów. I jeszcze ich podpuszczam: ale tylko prawdziwy mężczyzna potrafi łapać dobrze!

– Łapią?

– Niedawno facet, który ma dwunastkę dzieci, powiedział: „Będę polecał ten wynalazek swoim synom". Ale zazwyczaj się krzywią. Gumka wydaje im się niemęska. „Jestem Turkiem, nie będę tego zakładał", słyszę.

Jak poderwać Turczynkę

Cahit to prawdziwy stambulski *çapkın*, czyli casanova. Chwali się, że dwa razy w tygodniu ma nową kochankę. Miałby więcej, ale musi pracować.

Cahit ubiera się wyłącznie w markowych sklepach. Ma buty z czubem, jaśniutkie dżinsy i koszulę rozpiętą na wysokości splotu słonecznego. Na szyi – katolicki różaniec. Uważa, że to świetny gadżet, żeby zacząć rozmowę.

Spotykamy się w modnej kawiarni Ary Gülera, słynnego fotografika.

– Tu bywają fajne, wysublimowane orzeszki – tłumaczy Cahit i już po chwili całkiem o mnie zapomina. – Nie bolą cię nogi po całym dniu pracy? Robię świetny masaż... – mówi do kelnerki. Ta wygląda na zniesmaczoną. Mimo to, gdy wraca z piwem, Cahit chce jej wcisnąć swój numer telefonu. Nie udaje się. – Trudno. Turczynki to straszne hipokrytki – wyjaśnia. – Mają cholerny temperament. Uwielbiają seks. Ale żadna się do tego nie przyzna.

Do stolika obok przysiadają się dwie licealistki. Dwa razy starszy od nich Cahit puszcza oczko. Potem uparcie się im przygląda. Dziewczyny wychodzą.

– Tylko udają takie niedostępne. Trzeba znaleźć odpowiedni klucz. Jednej musisz dać się wygadać. Do drugiej musisz mówić ostro, jak ojciec. Do jeszcze innej: spokojnie, jak psycholog. Ja mam swój patent na rozmowę. Jaki? Gadam o islamie. Że to świństwo zabraniać ludziom seksu przed ślubem. Że seks jest cudowny. Niby

rozmawiamy o religii, a orzeszek zaczyna myśleć o seksie.

Wychodzimy z kawiarni. Cahit po raz ostatni próbuje wcisnąć kelnerce swój numer. Nic z tego.

– Pewnie myślisz, że jestem męczący. Ale tu podstawowa zasada brzmi: bądź bezczelny. Inaczej stracisz całą noc i kilkaset lir. Od razu puszczaj oko, od razu zagaduj, od razu mów o seksie. Liczba dziewczyn, z którymi nawet David Beckham nic by nie wskórał, jest tu najwyższa w Europie. Nie chcesz być prawiczkiem, wal z grubej rury.

Po chwili Cahit się zamyśla.

– Wiesz, ale mój ślub to będzie wielka miłość. Zakocham się i przez dwa lata będę czekał, aż ona się zgodzi iść ze mną do łóżka. Będę naciskał, a ona będzie mówić „nie". Będę groził, a ona i tak się nie zgodzi. Chcę być jej pierwszym i ostatnim.

– Cahit, ale... dlaczego?

– Nie zrozumiesz tego. Nie jesteś Turkiem.

Jak się mierzy linijką

Güzin Abla zmarła w 2006 roku w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Tureckich dziennikarzy jej śmierć zainspirowała do przyjrzenia się tureckiej obyczajowości pół wieku temu i dziś. „Mało się zmieniło – konkludował dziennikarz jednego z najpoczytniejszych dzienników. – Kobiety jak śmierci boją się seksu przed ślubem; mężowie zdradzają żony; ojcowie się boją, że syn zostanie gejem, a co drugi facet w stresie mierzy sobie penis linijką i kupuje viagrę na bazarze. Skoro nic się nie zmieniło, to co nam dała Güzin Abla? Nie zmieniła nas jako społeczeństwa. Ale zmieniła setki tysięcy pojedynczych ludzkich historii'!

Doktor Mustafa Güneş również jest wielkim fanem Ciotki: – To była big woman! Mówiła: nie seks jest najważniejszy, ale miłość.

Problem w tym, że Güzin Abla była sama.

– Potrzebna nam wielka, narodowa edukacja seksualna – mówi doktor Güneş. – Potrzebna Güzin Abla w każdej tureckiej szkole. Nie, żeby namawiać do fik-fik. Żeby tłumaczyć: miłość przede wszystkim. Jak można w europejskim kraju nie uczyć młodzieży o seksie?! Przecież wiadomo, że i tak to robią!

Milczymy chwilę. Popijamy herbatkę. Po chwili doktor ni to pyta, ni wzdycha:

– Polska to pewnie jest sto lat przed nami?

Pod Araratem

1.

– Wszyscy nas nienawidzą. – Mustafa moczy wąs w piwie Efez i włóczy wzrokiem po otaczających nas twarzach. Złapał doła, chyba nie powinien był zaczynać trzeciego kufla. Tak to niestety bywa, jak Turek chce oszukać Allacha i wypić za jego plecami trochę alkoholu. Kiwam więc ze zrozumieniem głową i razem z nim rozglądam się po sali.

W kącie bawi się grupka Belgów. Właśnie wrócili z wyprawy na Ararat. Zajęło im to prawie cztery dni, teraz więc robią sobie pożegnalne zdjęcia, dokazują, a twarze mają opalone jak indiańscy zwiadowcy.

W drugim kącie, pod mapą okolicy, pięciu poszarzałych mężczyzn w szarawarach z krokiem w kolanach rozpija butelkę anyżkowej rakı. Jeden ma na głowie uroczą czapeczkę z pomponikiem.

– Kurdowie – szepcze Mustafa, choć to najbardziej oczywista rzecz na świecie. Jesteśmy w regionie gdzie to oni, dwudziestopięciomilionowy naród bez własnego państwa, są większością. – Oni nas nienawidzą najbardziej. Zobacz, co tu nawieszali.

Za barem wisi, jak w całej Turcji, portret Atatürka. I to jest w porządku. Ale na ścianach kłuje w oczy flaga kurdyjskiej partyzantki PKK. Obok portret jej lidera Abdullaha Öcalana, który od dobrych kilku lat siedzi w tureckim więzieniu.

– Tak nie może być! Rozpieprzę im ten bar! – zapala się Mustafa. Trochę zbyt głośno. Kurdowie spod mapy podnoszą głowy i wyczekująco nas obserwują. Mustafa jest tu jedynym Turkiem. A panowie w szarawarach wyglądają, jakby w kieszeniach mieli noże, granaty i kałasznikowy. Jeśli mój przyjaciel za bardzo się nakręci, oberwiemy obaj. W najlepszym wypadku skończy się na pokancerowanych gębach. W najgorszym – wyjedziemy stąd w plastikowych workach. Były już takie przypadki.

2.

Knajpka stoi niemal na zboczu Araratu, na obrzeżach miasta Doğubeyazıt.

To naprawdę złe miejsce, żeby zacząć burdę. Schodzą się tu granice Turcji, Iranu, Armenii i Azerbejdżanu. Można spotkać turystów, przemytników, handlarzy ludźmi, prostytutki, podobno nawet szpiegów. Na zboczach Araratu nieraz zbierali się kurdyjscy partyzanci, by wszczynać antytureckie rebelie. Okoliczne miasteczka otoczone są więc garnizonami, a na rogatkach miast stoją żołnierze.

Ale można tu spotkać również szaleńców, którzy przekopują okolicę, by znaleźć Arkę Noego. Podobno po potopie osiadła gdzieś tutaj. Kurd stojący za barem opowiada o Japończyku, którego niedawno zagryzła wataha dzikich psów. Miał wojskowe mapy, bardzo czuły wykrywacz metalu i Biblię po japońsku

z zakreślonym rozdziałem o potopie.

– Wysiadł z samochodu, zrobił może z dziesięć kroków i się na niego rzuciły. Jeden przegryzł mu tętnicę – mówi barman i wraca do polewania alkoholu.

3.

– Witold, a Polska Turków szanuje? – pyta nagle Mustafa, więc korzystam z okazji, by odwrócić jego uwagę od Kurdów, ich flag i ich przywódców.

Opowiadam mu historię o sułtanie, który w czasie zaborów zawsze pytał, czy poseł z Lechistanu już przybył. O Piłsudskim, który darzył Atatürka szacunkiem i przyjaźnią. O polskiej wsi nad Bosforem, która jeszcze niedawno słynęła z jedynej w Turcji przydomowej hodowli świń. Krótko mówiąc, drogi Mustafo, Polska szanuje Turków jak mało kto.

Mustafa jest szczęśliwy. Kiwa z zadowoleniem głową i mówi, że w takim razie musimy się napić za polsko-turecką przyjaźń.

Później każe sobie opowiadać o mojej podróży. Co tu dużo mówić? Skończyłem studia, spakowałem plecak i ruszyłem z N., koleżanką z roku, stopem z Warszawy do Jerozolimy. Przejechaliśmy całą Turcję, Syrię i Jordanię. Później – pół Izraela. Kłócimy się niemal bez przerwy i każde chętnie by ruszyło w swoją stronę. Ale za dalekośmy zajechali i nie mamy kasy na powrót. Podróżujemy więc

w symbiozie: dzięki N. łatwiej złapać stopa, a dzięki mnie jest w miarę bezpiecznie.

Mustafa pyta, czy nie stać nas na pociąg albo samolot. Tłumaczę, że to też, ale że przede wszystkim liczy się przygoda, adrenalina i ludzie, których codziennie spotykamy. Choćby on. Jechał swoją ciężarówką, zatrzymał się, zabrał nas i dowiózł aż tutaj. Teraz siedzimy, pijemy piwo, jest miło. Gdzie indziej spotkałbym kierowcę ciężarówki? A od takich jak on dowiaduję się o Turcji dużo więcej niż przez dwa semestry na stambulskim Uniwersytecie Marmara.

Mustafa kiwa ze zrozumieniem głową.

– Tu masz rację. Od kierowcy zawsze się dużo dowiesz. Nikt nie ma tyle czasu na myślenie, co zawodowy szofer. I wiesz, co ja wymyśliłem?

Skąd miałbym wiedzieć?

– Że wszyscy nas nienawidzą i opluwają. I Wschód, i Zachód. Wiesz, dlaczego tak jest?

Nie wiem.

– Bo jesteśmy najlepsi. Naj-lep-si! – mówi Mustafa i znowu chce pić za przyjaźń polsko-turecką. – Wy też jesteście nieźli – kiwa z uznaniem głową. – Niemcy są w porządku. I Anglicy. Ale my jesteśmy naj-lep-si. Dlatego ci ajatollahowie nas nienawidzą. – I Mustafa pokazuje ręką mniej więcej tam, gdzie jest granica z Iranem. – Boją się nas. Zazdroszczą. I ci kłamcy też. – Mustafa wygraża w stronę Armenii. – Tylko Azerowie mówią, że nas kochają. Ale oni też nas nienawidzą. Bo Azer to takie pół Turka. Gorsza wersja.

Próbuję Mustafę uciszać. Ale to tak, jakbym chciał zatrzymać konia, który właśnie rozpędza się do galopu.

– Arabowie? – Mustafa prycha z wyższością. – Od kiedy przestaliśmy tam rządzić, ciągle się tłuką. Gdyby nie ropa, dalej by jeździli na wielbłądach. Amerykanie? Jak my byliśmy światowym mocarstwem, radziliśmy sobie dużo lepiej. Kurdowie? Trzęsą portkami na sam widok Turka. Zresztą, nie ma czegoś takiego jak Kurdowie! Nie ma takiego narodu!!

Panowie spod mapy zastygają ze szklankami w rękach. Ja zamieram. Nawet Belgowie, choć właśnie pokazywali sobie w cyfrówkach zdjęcia ze szczytu, wyczuwają, że dzieje się coś ważnego i milkną. Na szczęście milknie też Mustafa.

Młodszy z Kurdów wstaje, patrzy w naszą stronę i odzywa się, każde słowo cztery razy obracając w ustach.

– Czy każdy Turek ma takie kompleksy jak ty? – pyta, patrzy na nas chwilę, wreszcie siada.

Mustafa rozgląda się niepewnie po barze. Też zrozumiał, że burda to nie jest najlepszy pomysł. Po chwili jednak nachyla się w moją stronę i mówi cichutko, tak żeby nikt nie usłyszał:

– A nie mówiłem ci, że się nas boją?

Wąsata republika

Tłum na stadionie w Stambule oszalał. Lekarze co chwila wynoszą jakąś babcię albo dziadka, którzy nie wytrzymali upału. Cud, że nikt nie umarł.

Jest 15 lipca 2007 roku, ostatni weekend przed przyspieszonymi wyborami do parlamentu. Mieszkańcy miasta czekają od rana, żeby być jak najbliżej sceny. Obwieszeni flagami jego partii, z jego zdjęciami przyklejonymi do czoła, z balonikami z jego podobizną w dłoni, naklejkami na plecach, czapeczkami, gwizdkami, emblematami i całym tym zestawem, jaki można na siebie założyć, żeby poprzeć ukochanego polityka.

Wreszcie jest. Recep Tayyip Erdoğan, premier Turcji, wchodzi na scenę i lekko macha rękami. Ludzie rzucają mu pod nogi kwiaty. Ledwo powie dwa słowa, przerywają brawami.

Nad głową premiera powiewa ogromny transparent z jego twarzą. Co przyciąga wzrok? Krótko przystrzyżony wąs wielkości samochodu małolitrażowego.

Jak Erdoğan wystraszył cały świat

W Turcji polityków rozpoznaje się po wąsach.

Najdłuższe mają nacjonaliści. Nieco krótsze – socjaliści. Najkrótsze – islamiści.

Wąsiska nacjonalistów są przycięte nad ustami, wypielęgnowane. Końcówki zwisają w dół brody. Tworzą podkówkę, która biegnie tam, gdzie kończy się twarz, a zaczyna szyja. Ich partia po turecku nazywa się MHP – Nacjonalistyczna Partia Działania. Jej przeciętny wyborca marzy o silnej Turcji i jest przeciw integracji z Unią. Na wczasy jeździ tylko do tureckich kurortów i pomstuje, że tak dużo w nich cudzoziemców.

Socjaliści mają pod nosem pierzynkę zachodzącą na zęby. Jeśli jej nie pielęgnować, włazi do ust. Wyborcy ich lubią. Największą partię socjalistyczną założył sam Atatürk. Ta partia po turecku nazywa się CHP – Republikańska Partia Ludowa. Jej statystyczny wyborca nie chodzi do meczetu, pije alkohol i jeździ czasem na Zachód, a czasem do tureckich kurortów.

Najbardziej o swoje wąsy dbają jednak islamiści. Mają ich dokładnie tyle, ile przestrzeni na wąsy przewidziała natura. Przycinają je tak, by miały nie więcej niż pięć milimetrów długości.

Islamiści przez ostatnie pół wieku przegrywali wszystkie możliwe wybory. Turcy się bali, że wprowadzą rządy szariatu – prawa religijnego opartego na Koranie. Że oddalą Turcję od Europy, a zbliżą do Iranu. Przeciętny wyborca Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (po turecku AKP) powinien mieć wąsy na pięć milimetrów, a jego żona powinna nosić na głowie chustę. Powinien nienawidzić

Europy, alkohol omijać szerokim łukiem i chłostać za cudzołóstwo.

Właśnie dlatego świat zamarł, gdy wybory w Turcji wygrali dżentelmeni z pięciomilimetrowymi wąsami. Ich lider to właśnie Recep Tayyip Erdoğan.

Jak Erdoğan dokonuje cudów

Premier Erdoğan jest ekspertem od cudów i spraw niemożliwych. Ma na to specjalny dyplom z podpisem i pieczątką. I mnóstwo dowodów. Weźmy ostatni.

W 2007 roku, dwa miesiące przed wyborami, ulice największych miast Turcji paraliżują przeciwnicy rządu. Ludzie w Ankarze, Izmirze i Stambule palą kukły Erdoğana. Mówią, że mają dość rządów islamistów. Krzyczą: „Precz z szariatem!". Na transparentach piszą: „Turcja wolna od religii".

Protestujący nie chcą, by jeden z pięciomilimetrowych wąsaczy został ich prezydentem. W kwietniu premier Erdoğan ogłosił bowiem, że kandydatem AKP na prezydenta jest minister spraw zagranicznych Abdullah Gül.

W Turcji prezydenta wybiera parlament. AKP miała w nim większość. Wydawało się, że Gül jest skazany na sukces. Jednak opozycja nie przyszła na głosowanie, a Trybunał Konstytucyjny uznał, że bez kworum wybory nie są ważne.

AKP postanowiła zmienić konstytucję i wybierać prezydenta w wyborach powszechnych. Wtedy zaczęły się demonstracje.

Dwumilionowa manifestacja na każdym polityku musi zrobić wrażenie. Zwłaszcza że w tym samym czasie sztab generalny wysyła premierowi znaki ostrzegawcze: jeżeli Gül się nie wycofa, wszystko może się zdarzyć. Trzeba je traktować poważnie. W minionym stuleciu tureccy wojskowi przeprowadzili aż cztery zamachy stanu.

Ogłoszono więc, że 22 lipca odbędą się przyspieszone wybory do parlamentu.

Opozycja pręży muskuły. Masowe protesty mają być wiatrem w jej skrzydła. Porażka wąsaczy wydaje się nieunikniona.

Mimo to w wyborach islamiści odnoszą kolejny z serii wielkich sukcesów. Jak to możliwe? Cud! Najpierw Erdoğan w niecały rok stworzył partię, która wygrała wybory i samodzielnie sformowała rząd. Potem ten rząd rozpoczął negocjacje członkowskie z Unią Europejską, których Turcja nie mogła zacząć od pół wieku. Poprawił stosunki z sąsiadami i nie wplątał się w wojnę w Iraku. Mało? Polepszył się los Kurdów i tureckich kobiet. Gospodarka chodzi jak dobrze nakręcony zegarek. I tylko fani Atatürka ciągle nie wierzą, że wąsacze chcą dobrze.

Jak Erdoğan walił w pysk

Mały chłopiec wisi wyciągnięty jak struna i wije się z bólu. Ręce ma przywiązane do sufitu. Ojciec patrzy na niego ze złością. „Będziesz jeszcze przeklinał?"

„Od tamtej pory nie przekląłem ani razu" – wspomina dziś Tayyip Recep Erdoğan. Często podkreśla, że ciężka ojcowska ręka miała na niego ogromny

wpływ.

Dzieciństwo spędził w Kasımpaşy, dzielnicy stambulskich robotników słynącej z kieszonkowców i ulicznych gangów. Jego ojciec przyjechał tam znad Morza Czarnego w poszukiwaniu lepszego życia. Żyli biednie. Mały Tayyip, jak wielu jego rówieśników, dorabiał po szkole, sprzedając sezamki i lemoniadę.

Mężczyźni z Kasımpaşy są porywczy, śmiertelnie dumni i łatwo ich doprowadzić do wrzenia. To tam Erdoğan nauczył się walić pięścią w stół, gdy coś mu się nie podoba.

Ali Rıza Sivritepe, jego kolega z dzieciństwa, tak wspomina premiera w tureckiej prasie: „Nawet w puszczaniu latawca i grze w kulki musiał być najlepszy. Jego latawiec musiał latać najwyżej. Kiedy przegrywał, od razu psuł mu się humor".

Sivritepe dodaje, że Erdoğan nigdy nie był w żadnym gangu.

– Ale przywalić umiał – śmieje się Hasan Özlam, kolega Erdoğana z podwórka. Spotykam go, gdy popija herbatkę niedaleko starego meczetu w Kasımpaşy. – Nie zastanawiał się, tylko walił w pysk, na odlew. O, tak! – i Hasan pokazuje mi na sobie, jak przyszły premier mu kiedyś przyłożył. Dwa szybkie ciosy i Hasan, choć był starszy, leżał na ziemi. – Zawsze walił pierwszy – podkreśla. – Nawet przez ułamek sekundy się nie zastanawiał. To się nie zmieniło!

Kasımpaşa też niewiele się zmieniła, od kiedy mały Tayyip puszczał tam latawce. Mężczyźni siedzą w zarezerwowanych wyłącznie dla nich herbaciarniach, popijają herbatę i grają w *tavlę* – ukochaną grę planszową Turków, u nas zwaną tryktrakiem. Kobiety w chustach na głowie i luźnych szarawarach robią pranie.

– Erdoğan? Kochamy go! To nasz anioł! – mówią.

– Nigdy się nie wywyższał. Nawet jako mer Stambułu strzygł się wyłącznie u mnie – chwali się fryzjer Ali.

– U mnie kupował baklawę – mówi właściciel małej cukierni.

– Pomagał żonie nosić zakupy – zauważa jego żona.

– On jest premierem, ja jestem nikim – dodaje Hasan Özlam. – Mógłby się odwrócić plecami. Ale on pokazuje palcem na takich jak ja i mówi: „Jestem jednym z nich! Jestem starym kumplem Hasana!”.

– To jest tajemnica jego sukcesu – mówi Mustafa Akyol, dziennikarz „Hürriyet Daily News’! specjalista do spraw islamu i jego wpływu na politykę, a prywatnie praktykujący muzułmanin. – Przeciętny Turek może popatrzeć na Erdoğana

i powiedzieć: „On żyje tak jak ja! Rodzina jest dla niego najważniejsza. Kocha swój kraj. Szanuje tradycję. Zagłosuję na niego!”.

Jak Erdoğan zaskoczył świętego męża

Wąsaczy było czterech.

Najbardziej religijny nazywał się Bülent Arınç. On też miał największe poparcie w partyjnych dołach. Najpierw został szefem parlamentu, później wicepremierem. Zasłynął, gdy przytaszczył na konferencję prasową wielką reklamę rajstop z wyeksponowanymi seksownymi nogami, by pokazać, „jakich obrazków powinno się w Turcji zakazać”. Z zakazu nic nie wyszło, a rajstopy miały bezpłatną reklamę.

Abdullah Gül był typem wykształciucha. Skończył studia na Zachodzie i lubił używać wyrazów, których inni nie znają.

Najpierw został premierem, potem szefem MSZ. Po wygraniu kolejnych wyborów do parlamentu Erdoğan mógł go wreszcie zrobić prezydentem.

Cem Tenekeciler od początku był najbardziej tajemniczy. Szybko wycofał się z życia partyjnego i dziś nikt nie wie, co się z nim dzieje.

Recep Tayyip Erdoğan nie był ani najmądrzejszy, ani najbardziej religijny. Miał za to niesamowite zdolności organizacyjne i charyzmę, której pozostałym brakowało.

W roku 2001 wszyscy czterej założyli AKP – Partię Sprawiedliwości i Rozwoju, której symbolem jest świecąca żółto żarówka. Miała ich odróżniać od bezradnych, skorumpowanych i skompromitowanych partii establishmentu.

Nie byłoby jednak ani wąsaczy, ani rządu islamistów, gdyby nie święty mąż znad Morza Czarnego – Necmettin Erbakan. Wąsacze poznali się w jego partii Refah (Partia Dobrobytu). Erbakan był świetnym inżynierem i wynalazcą. „Czekała mnie kariera w tej dziedzinie. Ale Allach kazał mi się zająć polityką” – tłumaczył w jednym z wywiadów.

Współpracownicy mówili o nim *hodża* – święty mąż, nauczyciel. Marzyli, że dzięki niemu Turcja wróci do islamskich korzeni. Że osiemdziesiąt lat spychania religii na margines skończy się jak senna mara.

Partia Dobrobytu w latach dziewięćdziesiątych zdobywa popularność głównie dzięki biedocie, której rozdaje paczki z żywnością i węglem oraz pomaga w szukaniu pracy.

W tamtych czasach Erdoğan też patrzy na hodżę jak na świętego. Pracuje w Stambulskim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej i jest twardogłowym muzułmaninem. Nie podaje ręki kobietom, pomstuje na lokale sprzedające alkohol, Unię Europejską nazywa z pogardą „klubem chrześcijan”. Powtarza za swoim mistrzem, że „z tramwaju o nazwie demokracja wysiądziemy na najbliższym możliwym przystanku”. Ale o wielkiej, politycznej karierze nie myśli.

Aż do dnia, gdy szef wzywa go na dywanik i każe zgolić muzułmańskie,

pięciomilimetrowe wąsy.

– W świeckim państwie nie przystoi, żeby urzędnik miał coś takiego na twarzy – mówi.

– Prędzej umrę – odpowiada Erdoğan i rezygnuje z pracy.

To poniżenie to w jego życiu prawdziwy przełom. Od tego momentu robi niezwykle szybką karierę polityczną. Hodża uważa go za najzdolniejszego ucznia. Erdoğan odwdzięcza mu się, wygrywając wybory na mera Stambułu – najbogatszego miasta Turcji. By zwyciężyć, prowadzi kampanię w dyskotekach i domach publicznych. Na potrzeby polityki uczy się nawet podawać rękę kobietom, choć islam tego zakazuje i przyszły premier modli się później o wybaczenie.

Gdy wygrywa, hodża płacze z radości.

Ale nowemu merowi i innym wąsaczom program hodży coraz mniej się podoba. Uważają, że trzeba zmienić kurs. Grupę pochlebców skupionych wokół Erbakana nazywają Politbiurem. Sami siebie zwą reformatorami. Erdoğan jako jedyny w partii ostentacyjnie przestaje całować dłoń hodży na powitanie (całowanie dłoni i przykładanie jej do czoła to w Turcji oznaka szacunku dla starszych).

W 1996 roku hodża zostaje premierem. W kilka miesięcy całkowicie zamraża stosunki z Zachodem i odbywa entuzjastyczny marsz po krajach arabskich. Obiecuje stworzenie unii islamskiej: od Maroka po Kazachstan. Ślubuje wyzwolić Jerozolimę. Z pokorą słucha Kaddafiego, który go publicznie łaja, za to, że Turcja nie jest wystarczająco muzułmańska. Erbakan zagalopowuje się jednak podczas wizyty w Egipcie, gdy obiecuje wprowadzenie nad Bosforem szariatu. Od tego momentu Turcy liczą dni do upadku gabinetu.

W 1997 roku armia po raz czwarty w powojennej Turcji bierze sprawy kraju w swoje ręce. Czwarty zamach jest najszybszy z dotychczasowych. Ulicami Ankary przejeżdżają czołgi, a jeden z generałów dzwoni do premiera Erbakana i sugeruje mu dymisję. Większość Turków nawet nie wie, że coś się dzieje. Erbakan bez szemrania oddaje władzę.

Ten zamach stanu to kluczowy moment w życiu Erdoğana. Jego znajomy tak opowiada mi o tamtych dniach:

– On nienawidzi przegrywać. A zrozumiał, że walka o szariat i państwo islamskie skazuje go na porażkę. Zrozumiał, że musi iść na ustępstwa. To był początek jego wielkiej przemiany.

Po interwencji wojska hodża dostaje pięcioletni zakaz udzielania się w polityce, a Partia Dobrobytu zostaje zdelegalizowana.

Ludzie z Politbiura natychmiast zakładają Partię Cnoty[6]. Sąd delegalizuje i ją. Kiedy po kilku miesiącach hodża powołuje do życia Partię Szczęścia, Erdoğana już przy nim nie ma. Odszedł, by wraz z wąsaczami założyć Partię Sprawiedliwości I Rozwoju – AKP.

– Zdrajcy – mówi Erbakan. – Oni nic nie znaczą. Zmieciemy ich w wyborach.

Po roku AKP wygrywa wybory do parlamentu i samodzielnie tworzy rząd. Hodża nie przebija się przez dziesięcioprocentowy próg wyborczy.

Jak Erdoğan poszedł siedzieć

Szczęk zamykających się więziennych drzwi. Ten dźwięk będzie towarzyszył Erdoğanowi długo. „To było w roku 1999. Punkt zwrotny w moim życiu" – powie później dziennikarce „New York Timesa". – „W więzieniu człowiek bardzo szybko dojrzewa".

Jak tam trafił? Na wiecu w Siirit, rodzinnym mieście swojej żony, Erdoğan sparafrazował wiersz osmańskiego poety. „Meczety to nasze koszary, kopuły to nasze hełmy, minarety to nasze bagnety, wierni to nasi żołnierze" – powiedział. Za te słowa stanął przed sądem, który skazuje go na dziesięć miesięcy więzienia za podżeganie do wojny religijnej. Odsiaduje cztery.

Ural Aküzüm, analityk polityki tureckiej z organizacji pozarządowej ARI Hareketi: – Skoro są żołnierze, to jest wojna. Jeśli wojna, to z kim? Z tureckim rządem! Erdoğan powiedział swoim ludziom, że są na wojnie z Turcją. Tak wtedy myślał, nie ma się czego wypierać.

Sam Erdoğan tak tłumaczy się w prasie z niefortunnej recytacji: „Ten wiersz był w podręcznikach, zaakceptowany przez ministra edukacji. Zmieniłem tylko kilka słów. Chciałem skupić uwagę, uduchowić ludzi".

Metin Kaya, profesor z Uniwersytetu Marmara: – Bzdura. Wtedy jeszcze mówił, co myśli naprawdę. On nienawidzi republiki, demokracji i wolności. Dobrze, że go zamknęli. Szkoda, że na tak krótko.

Cuneyd Zapsu, biznesmen i przyjaciel Erdoğana, tak interpretuje tamten wyrok: – Został skazany, bo rządzące partie i wojskowi zdali sobie sprawę z jego siły. Nie chodziło o religię, tylko o to, żeby ludzie spoza establishmentu nie zdobywali zbyt dużych wpływów.

W 1999 roku tysiące zwolenników odprowadzają Erdoğana do więzienia. Tysiące czekają na niego po wyjściu.

Mustafa Akyol, dziennikarz „Turkish Daily News": – Wyszedł zmieniony. Myślałem, że to jego koniec jako polityka. A to był dopiero początek. On w więzieniu zrozumiał, że wzywając do wojny, nic w polityce nie osiągnie. W więzieniu stał się demokratą.

Profesor Kaya: – Bzdura. Jeśli dziś udaje demokratę, to wyłącznie po to, by znów nie trafić do więzienia. Wszystko to *tahkiye*, stara islamska szkoła oszukiwania i mydlenia oczu. Muzułmanin dla dobra swojej rodziny i religii może kłamać, ile wlezie. Podobno nawet Koran mu na to pozwala. Erdoğan kłamie, by wprowadzić w Turcji szariat.

Jak Turcja jest europeizowana przez Erdoğana

Gdy w 2002 AKP po raz pierwszy wygrywa wybory, profesor Kaya jest przerażony. Charakterystyczny wąs Erdoğana pojawia się w czołówkach serwisów informacyjnych na całym świecie. „Czy to koniec tureckiej demokracji?" – pytają dziennikarze.

Erdoğan wszystkim cierpliwie tłumaczy, że nie.

– Zmieniłem się – mówi. – Umiem już oddzielać życie prywatne od publicznego. Jako osoba prywatna jestem oczywiście muzułmaninem. Ale moja partia jest partią świecką o programie liberalnym. Turecką odmianą chadecji. Zgodnie z tą logiką Erdoğan jako premier podaje już rękę kobietom bez poczucia, że grzeszy. Ale prywatnie, choćby swojej żonie, nie poda ręki nigdy w życiu.

Z powodu pobytu w więzieniu Erdoğan nie może stanąć na czele rządu. Premierem zostaje więc wykształciuch Abdullah Gül. Ale to Erdoğan pociąga za sznurki. Choć formalnie nie pełni żadnej funkcji, niedługo po wyborach George Bush zaprasza go do Białego Domu.

– Obaj wierzymy w opatrzność. Dlatego będziemy świetnymi partnerami – mówi Bush.

Bardzo się myli.

Kilka miesięcy później turecki parlament głosami opozycji i części posłów partii rządzącej nie pozwala USA użyć swoich baz do ataku na Irak. Pierwszy raz od kilkudziesięciu lat Turcja odmawia czegoś Amerykanom. Są w szoku.

Niedługo później AKP zmienia prawo i Erdoğan może stanąć na czele rządu. Niemal od progu zadziwia wszystkich – zaczyna prowadzić najbardziej proeuropejską politykę w historii. Zaprasza do Ankary kolejnych unijnych polityków i o wejście do Unii walczy jak lew. Ural Aküzüm: – Sam nie rozumiem, jak to możliwe, że on tak ostro się do tego wziął. Taki paradoks jest możliwy tylko w Turcji: twardogłowy muzułmanin pcha swój kraj do „chrześcijańskiego klubu".

Fehmi Koru, dziennikarz, przyjaciel Erdoğana: – On zobaczył, że muzułmanie mają tam dużo więcej swobód niż w Turcji. Dlatego chce tamte prawa przenieść do nas.

Erdoğan szefem negocjatorów mianował byłego sprzedawcę dywanów.

– Moja rodzina od trzystu lat targuje się z Niemcami, Francuzami i Anglikami. Wierzcie mi, że wiem, jak to robić! – chwalił się świeżo powołany szef.

Murat Erdemli: – On na negocjacje z Unią patrzy jak na biznes.

I zaczyna reformy. Kurdom pozwala na używanie ich języka i otwieranie szkół (jeszcze niedawno za mówienie po kurdyjsku, choćby na bazarze, groziło więzienie).

W sprawie Cypru, okupowanego od trzydziestu lat przez turecką armię, akceptuje – wbrew protureckim władzom wyspy – tak zwany plan Annana. Mówi on, że Cypr może wejść do Unii zjednoczony. Konfliktu nie udaje się rozwiązać z powodu sprzeciwu cypryjskich Greków.

Zwołuje pierwszą otwartą konferencję w sprawie rzezi Ormian z początków XX wieku. Mogą na niej zabierać głos historycy nazywający te wydarzenia ludobójstwem. Mniej więcej w tym samym czasie przed stambulskim sądem staje jednak Orhan Pamuk, który w jednym z wywiadów napomknął o „wymordowaniu tysięcy Ormian".

– To pokazuje różnicę między islamistami a kemalistami – mówi anonimowo jeden z tureckich dziennikarzy. – Ci drudzy trzymają Atatürka w słoju z formaliną i próbują z nim uzgadniać wszystkie ruchy polityczne. To prawie jak seans spirytystyczny: dopasować słowa Ojca Turków do epoki internetu i telefonów komórkowych. Skoro Atatürk nie wspomniał o mordowaniu Ormian, to żadnego mordowania nie było. Dlatego Pamuk trafił przed sąd. A Erdoğan? Widzi, że ta sprawa szkodzi Turcji od osiemdziesięciu lat. I próbuje coś robić.

W 2009 roku Erdoğan wysyła prezydenta Güla do Erywania na mecz piłkarski Turcja-Armenia. W sierpniu tego roku oba kraje podpisują umowę o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. I choć od tamtej pory jednak na linii Ankara-Erywań panuje stagnacja, Erdoğanowi udaje się polepszyć stosunki ze wszystkimi sąsiadami. I staje się przez moment jedynym politykiem, który może rozmawiać z prezydentami Syrii i Iranu z jednej, a prezydentami Stanów Zjednoczonych i Izraela z drugiej strony. (Stosunki z tym ostatnim krajem ochładzają się jednak, gdy w maju 2010 roku dziewięciu Turków ginie z rąk izraelskich komandosów na pokładzie statku z pomocą humanitarną dla Strefy Gazy).

Jednak mimo reform Erdoğana, wiele krajów Unii otwarcie mówi, że na Turcję we wspólnocie nie zgodzą się nigdy. W odpowiedzi Erdoğan straszy, że odrzucona Turcja może się związać z Rosją. Albo z islamskimi sąsiadami. Przy okazji próbuje dowieść Europie czegoś, co dla Turków jest zupełnie oczywiste: że Turcja to część Europy.

– W XIX wieku, gdy mieliśmy wielkie problemy, nazywali nas „chorym człowiekiem Europy". Nikt nie mówił o „chorym człowieku Azji!" – przypomina na międzynarodowej konferencji.

– Profesor Huntington mylił się, mówiąc o walce cywilizacji. Turcja jest żywym dowodem, że islam i demokrację da się pogodzić. Musicie nam tylko pomóc! – przekonuje przy innej okazji.

Jego ministrowie dodają, że Turcja w Unii to bezpieczeństwo dla całej Europy. A ekonomicznie też nie jest tak daleko, jak mogłoby się wydawać. Może sporo ją dzieli od Niemiec, ale od nowo przyjętej Bułgarii – nie.

Ale profesor Kaya z Uniwersytetu Marmara wie swoje: – To też *takkiye*, mydlenie oczu. Dlaczego się uśmiechasz? Zanim Erdoğan został premierem, poparcie dla naszego wejścia do Unii wynosiło osiemdziesiąt procent. Dziś około czterdziestu. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Erdoğan wie, że Unia nas nie chce. Im bardziej naciska na Brukselę, tym bardziej Bruksela daje to do zrozumienia. A Turcy są dumni. Nie chcecie nas? To nie! Odwrócimy się plecami i przestaniemy się dobijać. A jak się odwrócimy plecami do Europy, to do kogo będziemy frontem?

– Do Iranu...

– Ot, co. A wtedy i my, i Europa będziemy mieli wielki problem. Całe te negocjacje z Unią prowadzą prosto do szariatu.

– Sekularyści już całkiem się pogubili – komentuje Mustafa Akyol z „Turkish Daily News". – Teraz jeśli popierasz wejście Turcji do Unii, to znaczy, że jesteś islamistą. Dziś grupą najmocniej popierającą wejście Turcji do Unii nie jest nasza elita, ale kobiety w chustach i faceci z wąsami.

Jaki wpływ na Erdoğana ma Atatürk

Główni wrogowie premiera Erdoğana to kemaliści. Stoją na straży dziedzictwa Atatürka i zwalczają wszystko, co się z nim kłóci.

Najpierw nie akceptowali istnienia partii islamskich. Dziś, gdy AKP nie odwołuje się w swoim programie do islamu, kemalistom przeszkadza, że żona premiera nosi chustę.

Mustafa Akyol: – Ideologia kemalistów nie zmieniła się od osiemdziesięciu lat. Świat się zmienia, islam się zmienia, a kemaliści stoją w miejscu.

Profesor Kaya: – Nieprawda! Zagrożenie, że Turcja stanie się drugim Iranem, wciąż jest aktualne. Dlatego na straży naszego systemu stoi armia.

Mustafa Akyol: – U nas demokracją nazywa się rządy wojskowych. Sekularyzm w wersji ekstremalnej jest dużo bardziej niebezpieczny niż tureccy islamiści.

– Dlaczego?

– Bo w Turcji, jeśli jesteś religijny, nie zrobisz kariery. Tak nie może być! Erdoğan wykonał wielką pracę nad sobą. Zrozumiał demokrację i ją zaakceptował. A kemaliści na to: ale przecież on ma muzułmańskie wąsy!

– Wierzysz w tę zmianę?

– Jest bardzo turecka. Doskonale obrazuje nasze rozdarcie między religią a nowoczesnym państwem.

Jak Erdoğan walczy o chustę

Jest rok 1978. Erdoğan przemawia na spotkaniu młodzieży muzułmańskiej. Jest wtedy szefem młodzieżówki islamskiej partii Ocalenie Narodowe.

W czasie wystąpienia dostrzega dwoje wpatrzonych w niego oczu. Odszukuje je w przerwie. Ich właścicielką jest dwudziestotrzyletnia Emine, dziewczyna o arabskich korzeniach. Rozmawiają, ale ona ledwo może sklecić sensowne zdanie. Młodzieniec z wąsem wydaje jej się mężczyzną marzeń.

Marzenie się spełnia. Pół roku później Emine i Tayyip są już zaręczeni. Od tego momentu aż do dziś Emine Hanım (pani Emine) jest szyją, która kręci Erdoğanem.

– Nie bierze udziału w życiu publicznym, ale jest mistrzynią w kierowaniu mężem – mówi jeden z tureckich dziennikarzy. – Nie ogranicza się do kuchni. Podobno zresztą nie bardzo potrafi gotować. Potrafi za to ochrzanić Tayyipa, jeśli coś robi nie po jej myśli.

W jednym z rzadko udzielanych wywiadów Emine Erdoğan powiedziała, że Turcy powinni się wstydzić. Dlaczego? Bo tak mało kobiet reprezentuje ich w parlamencie. To, że AKP wystawia do parlamentu najwięcej kobiet ze wszystkich tureckich partii, to głównie jej zasługa.

Mimo to Turcy uważają ją za zacofaną. Bo nosi chustę. Podobnie żony pozostałych wąsaczy. Swoje córki Erdoğan wysłał na studia do Stanów Zjednoczonych.

– Tam mogą chodzić w chustach – tłumaczył.

Chusta to jeden z frontów, na jakim Erdoğan toczy wojnę z kemalistami. W Turcji zakazana jest we wszystkich szkołach i na uczelniach. Erdoğan dowodzi, że to sprzeczne z demokracją. I że zamyka możliwość studiowania dziewczynom z biednych rodzin, bo te najczęściej są religijne.

Mustafa Akyol: – Moją znajomą, która studiowała w Stambule, portier pytał, czy przyszła sprzątać. Kobieta w chuście może być służącą albo żoną ciecia. Ale studentką? To się nie mieści w głowie. Nawet w reklamach proszku do prania kobieta w chuście jest zawsze idiotką, która wyhoduje w pralce kamień albo pierze w „zwykłym proszku". Dopiero nowoczesna pani bez chusty wyjaśnia jej, że trzeba używać calgonu lub prać w omo.

Innym frontem wojny kemalistów z Erdoğanem są szkoły religijne, *imam hatip*. Mają normalny program dla liceów, ale rozszerzoną wiedzę o islamie.

– Ich absolwenci mają bardzo utrudniony dostęp na wyższe uczelnie. To niesprawiedliwe – mówi Erdoğan. Kemaliści odpowiadają, że w szkołach tych neguje się teorię ewolucji i głosi wyższość mężczyzny nad kobietą. I że AKP chce sobie wychować kadry młodych islamistów.

Jednak najcięższym dowodem świadczącym przeciw Erdoğanowi była próba zmiany kodeksu karnego. Erdoğan chciał, by w Turcji karano za cudzołóstwo – więzieniem albo mandatem. Wycofał się dopiero pod naciskiem Brukseli.

Jak przyjaciel Erdoğana zmienia poglądy

Żeby lepiej zrozumieć wojnę Erdoğana z kemalistami, spotykam się z Fehmi Koru,

dziennikarzem „Yeni Şafak”, dziennika znanego z sympatii do islamu. Koru, niewysoki, korpulentny jegomość, jest dziś jednym z najważniejszych ludzi w Turcji. Ważniejszym niż cała gazeta, w której pracuje. Dlaczego? Bo premier Erdoğan bardzo się liczy z jego zdaniem. Przyjaźnią się od lat i Koru ma na Erdoğana wielki wpływ.

– Jeśli porozmawiasz z Koru, nie tylko zrozumiesz, co Erdoğan mówi dziś, lecz dowiesz się też, co powie za rok, dwa i pięć lat – śmieją się tureccy dziennikarze.

Koru nie lubi tracić czasu, więc pytam wprost: – Czy premier Erdoğan ma jakiś ukryty cel? Czy chce wprowadzić szariat?

Koru się uśmiecha: – Z jego zdolnościami, gdyby chciał, to już by wprowadził. Owszem, był kiedyś islamistą. Ale się zmienił. Ja też się zmieniam, pan się zmienia. Tylko głupi nie zmienia poglądów. Kiedyś był bardzo radykalny. Życie go nauczyło, że tak nie wolno.

– Dlaczego Turcy nie wierzą w tę zmianę?

– Większość wierzy. Dlatego AKP ma tak duże poparcie, około czterdziestu procent. A ci, co mówią, że nie wierzą, prowadzą tak naprawdę grę polityczną. Straszenie Turków islamistami jest dziś nieuprawnione. AKP to normalna partia demokratyczna.

– Dlaczego w takim razie tak mu zależy na wprowadzeniu chust na uniwersytety?

– Bo ten zakaz ma się nijak do demokracji. Ludzie powinni mieć wolność wyznawania religii.

– A karanie za zdradę małżeńską?

– To element gry politycznej. Najtwardszy elektorat Erdoğana to muzułmanie, konserwatyści. Musi od czasu do czasu zrobić coś po ich myśli.

Erdoğanowi udaje się w ten sposób godzić wodę z ogniem. Przez Europę jest postrzegany jako sprawny reformator i wielki zwolennik wejścia Turcji do Unii. A kraje islamskie coraz częściej widzą w nim swojego rzecznika i mediatora na Zachodzie. Turcja miała nawet negocjować, na jakich zasadach mogą nawiązać stosunki Syria i Izrael. Zanim to jednak nastąpiło, popsuły się tradycyjnie dobre relacje Ankary z Tel Awiwem. Poszło o wspomniany już konwój z pomocą dla Strefy Gazy i dziewięciu Turków zastrzelonych przez izraelskich komandosów.

Metin Kaya: – Erdoğan, pozwalając temu konwojowi wypłynąć, kreuje się na lidera państw muzułmańskich. A przecież powinniśmy trzymać z Zachodem!

Mustafa Akyol: – On się upomniał o mieszkańców Gazy, bo ich los naprawdę leży mu na sercu. To wcale nie musi oznaczać zerwania z Zachodem. Prezydent Obama, jak odwiedził Turcję, mówił, że jesteśmy wzorem, jak kraj islamski powinien sobie układać relacje z chrześcijańskimi.

Jak wielkie szczęście ma Erdoğan

Erdoğan ma opinię dziecka szczęścia.

Ural Aküzüm, politolog z organizacji pozarządowej ARI Hareketi: – Musi mieć dobre dojście do Allacha. Może to przez ten dyplom na dokonywanie cudów?

– Jaki dyplom?

– Erdoğan skończył liceum *imam hatip*. Ich dyplomy nazywają w Turcji uprawnieniami do robienia cudów. Że niby uczą tylko modlitw i teologii. Że bez cudu pracy po takiej szkole nie znajdziesz. To nieprawda, większość tych szkół ma niezły poziom. Ale Erdoğan rzeczywiście sprawia wrażenie człowieka, który wie, jak gadać z górą.

– Jakiś przykład?

– Zanim został merem Stambułu, przez półtora roku mieliśmy tu straszną suszę. Ludzie umierali, drzewa schły. Kiedy Erdoğan został merem miasta, zaczęły się zbierać chmury. Następnego dnia spadł wielki deszcz.

Akyol: – Ale nie można wszystkiego zrzucać na Allacha. Stworzył najlepiej zorganizowaną w Turcji partię. AKP ma biura niemal na każdej ulicy. Ludzie mogą tam wpaść na kawę, szklankę wody, pogadać o swoich problemach.

Jak Erdoğan zdejmuje marynarkę

Mityng wyborczy AKP w Stambule był dla partii najważniejszy w całej kampanii wyborczej. Dziesiątki tysięcy ludzi zebrały się na stadionie w dzielnicy Zeytinburnu. Miejsce wybrano nieprzypadkowo: widać z niego mury, które sześć wieków temu forsował Mehmed Zdobywca, zanim w 1453 roku zdobył Konstantynopol i triumfalnie do niego wjechał. Teraz te same mury forsował premier Erdoğan, który chciał znów wygrać wybory w Stambule.

Mityngu nie powstydziłby się żaden zachodni przywódca. Partia pokazała bardzo nowoczesną twarz: spośród kobiet występujących na scenie tylko żony szefów partii nosiły chusty. Kilkanaście kandydatek AKP na parlamentarzystki miało całkowicie odkryte głowy.

Erdoğan i Gül wystąpili w niebieskich koszulach, bez marynarek, na luzie. Mówili spokojnie, czasem tylko podnosząc głos. Powtarzały się słowa: demokracja, dobrobyt, rozwój.

W czasie czterogodzinnego wiecu ani razu nie padło słowo „islam”. Ani razu nie padło słowo „Koran”. Ani razu słowo „szariat”.

Ale wśród publiczności przeważali wąsacze. Ich dokładnie przystrzyżone wąsy rzadko kiedy były dłuższe niż pięć milimetrów.

To z miłości, siostro

1.

Hatice zasłania ręką usta, jakby bała się, że słowa się z niej wysypią. Nie chce mówić. Nigdy z nikim nie rozmawiała o tych sprawach. I nie zamierzała tego robić.

Tłumaczę, że przecież nic jej nie grozi.

Ale nie chodzi o zagrożenie. Hatice zwyczajnie nie wie, jak opowiedzieć o tym, przez co przeszła.

Bo jak opowiedzieć o ojcu? Na całym świecie ojcowie kochają córki.

Ojciec Hatice chciał ją zabić.

Jak opowiedzieć o matce? Matka powinna zasłonić córkę własnym ciałem.

A matka Hatice krzyczała do męża: „Kiedy wreszcie zabijesz tę dziwkę?!”.

Jak opowiedzieć o bracie, który przyszedł do jej domu z nożem?

O siostrze, z którą spała od dziecka w jednym łóżku, a która jej nie ostrzegła?

Gdyby jej mąż Ahmet nie był silnym człowiekiem, Hatice już by nie żyła.

Spotykamy się w ich domu. Umawiamy się, że jeśli nie będą w stanie mówić, nie będę nalegał.

Hatice przyjmuje mnie w szarawarach w orientalne wzory. Na głowie ma chustę szczelnie zasłaniającą włosy. Ahmet ma sumiaste wąsy i flanelową koszulę w kratę. Mają po dwadzieścia dwa lata. Razem są od pięciu. Małżeństwo, jak większość w ich wiosce, było aranżowane. Ale są bardzo szczęśliwi.

Ich mieszkanie to dwa krzesła, tapczan i dywan na ścianie. Więcej się jeszcze nie dorobili. Dzieci nie mają. Mieszkają koło targu, na którym można kupić pistacje, arbuzy, ser i chleb. Ahmet tam pracuje, sprzedaje miód. Mają przyjaciół. Zaczęli nowe życie.

Stare skończyło się cztery lata temu, kiedy Ahmet poszedł do wojska. Hatice miała w tym czasie mieszkać z jego ciotką. Ciotka jest wdową, mieszka z synem, więc było idealnie. Kobieta na wschodzie Turcji nie powinna mieszkać sama. To niemoralne.

Problem w tym, że dzień po wyjeździe Ahmeta do drzwi Hatice zapukał drugi syn ciotki, Abdullah. Nie powinien tego robić. Hatice kazała mu odejść.

Odszedł, ale dzień później wrócił. Zaczął szarpać za klamkę.

– Otwórz, bo cię załatwię! – krzyczał.

Hatice stała jak słup soli. Nie wiedziała, co robić. Krzyczeć? Abdullah będzie udawał głupka. Nie przyzna się. Powiedzieć ciotce? Na Allacha! Przecież nikt nie uwierzy kobiecie!

Hatice trzymała więc drzwi z całej siły i Abdullah zrezygnował. A następnego dnia postanowił się zemścić.

2.

Diyarbakır wygląda z góry jak naleśnik, na którym wybrzuszyło się kilka pęcherzyków powietrza. Gdzieniegdzie przenikają ciemne, brązowe grudki. Gdy samolot zniża lot, widzę, że to kamienie, rozrzucone tu, jakby wyrosły z ziemi.

Skraj tej równiny to niebieskie nitki Tygrysu i Eufratu, które wyznaczały granice starożytnej Mezopotamii. Tu tworzyła się pierwsza cywilizacja. Tu starożytni doszukiwali się ruin biblijnego Edenu. Tuż obok rodzili się patriarchowie: Abraham i Noe.

Sprawy, którymi się zajmiemy, zapewne pamiętają tamte czasy.

Do miasta wjeżdża się przez mur z czarnej cegły. Zbudowali go Bizantyjczycy ponad tysiąc lat temu. Według przewodnika to drugi, po chińskim, najcenniejszy mur świata. Powinny go zwiedzać tysiące turystów. Ale nie zwiedzają. Diyarbakır ma złą sławę. To stolica kraju, którego nie ma – Kurdystanu. I ludzi, którzy gotowi są z bronią w ręku walczyć, by ten kraj powstał.

Jeszcze kilka lat temu miasto było omijane przez wielki biznes. Ale od kiedy Kurdowie przestali podkładać bomby, a armia ostrzeliwać okoliczne wioski, ludzie biznesu dotarli i tutaj. Miasto ma milion mieszkańców. Głównego deptaku nie powstydziłoby się dziś żadne miasto Europy. Nowoczesne sklepy, drogie restauracje. Co miesiąc więcej i więcej, bo demon konsumpcji już na trwałe zagościł w Diyarbakırze.

Tylko starzy mężczyźni z brodami patriarchów nie biorą w tym udziału. Siedzą w cieniu drzew pod meczetami i narzekają. Nie lubią telewizji, telefonów komórkowych, dżinsów, krótkich spódnic, szkół ani gazet. Nie lubią niczego, co wnosi zamęt w ich życie. Ani niczego, co próbuje zmieniać ich odwieczne zasady.

3.

Każdego roku na wschodzie Turcji zabijanych jest kilkadziesiąt młodych dziewczyn. Kolejne giną w nieznanych lub dziwnych okolicznościach. To ofiary honorowych zabójstw, tradycji, która każe krewnym zabijać kobiety, gdy splamią honor rodziny.

Ayşe Gökkan, dziennikarka kurdyjskiej telewizji, pisze o honorowych zabójstwach książkę: – Kultura opiera się tu na dominacji mężczyzn. Każdy opór powinien być karany.

Ayşe Figen Zeybek z Kamer, organizacji, która próbuje zapobiegać przemocy w rodzinie: – Ta tradycja ma kilka tysięcy lat. Jest niepisana i bardzo płynna. Czasem nawet zdrada małżeńska jest do wybaczenia. Innym razem dziewczyna ginie, bo chce chodzić w dżinsach.

– Słucham?

– Giną dziewczyny, które chcą być niezależne. Przez ostatnie lata bieda wygnała wiele rodzin ze wsi do Diyarbakıru. To często jest tak, jakby przenieśli się tu

ze średniowiecza. Zwłaszcza dla młodych dziewczyn to ogromny szok.

– Czyli?

– Trafiają w środek globalnej wioski. Komórki, internet, MTV. Widzą rówieśniczki, które mogą wychodzić z domu bez opieki mężczyzny. Które mogą ładnie się ubrać, zamiast chodzić non stop w chuście i szarawarach. Które mają chłopaka jeszcze przed ślubem. I chcą żyć jak one.

W tym czasie ich ojciec też jest oszołomiony. Strzeżenie córki na wsi jest proste. W mieście – Allach wie, co jej może przyjść do głowy. A córka, zamiast siedzieć w domu jak jej matka, babka i prababka, przychodzi i mówi: chcę do kina, chcę na spacer, chcę nowe buty. Giną najczęściej najlepsze dziewczyny, najbardziej otwarte, najodważniejsze.

W dniu, gdy oglądałem z samolotu Mezopotamię, ojciec zabił córkę w Şanurfie. Dlaczego? Bo wysłała do radia SMS-a z życzeniami dla swojego chłopaka. Na antenie padły jej imię i nazwisko. Ojciec uznał, że splamiła swoje dziewictwo.

Dwa tygodnie wcześniej w miasteczku Silvan mąż zabił żonę. Rodzinie powiedział, że w momencie ślubu nie była dziewicą. Jej rodzice uznali, że musiał mieć rację.

4.

Gdy Abdullah dobijał się do drzwi Hatice, sto kilometrów dalej rozgrywał się inny dramat. W wiosce Yalım niedaleko Mardin – przepięknej, starożytnej fortecy – trzydziestopięcioletnia Şemse Allak została zgwałcona przez pięćdziesięciopięcioletniego mężczyznę.

Ludzie mówią, że Şemse była trochę szalona. Sklepikarz z Mardin mówi wprost, że była opóźniona w rozwoju.

Ale może chodzić o inny rodzaj szaleństwa. Nauczycielka tkactwa, która ją znała, mówi, że Şemse nie chciała wyjść za mąż. Dlatego ludzie ze wsi uznali ją za wariatkę.

Gwałciciel nazywał się Halil Acil. Miał żonę i dwójkę dzieci. Mieszkał na obrzeżach wioski. Za jego murowanym szarym domem zaczynały się już pola pokryte setkami kamieni.

Şemse mieszkała z ojcem, matką i braćmi bliżej centrum, przy drodze, którą idzie się do meczetu. Wracając z pola drogą, która lekko pnie się pod górę, codziennie mijała dom Halila. Złe języki mówią, że Halil wcale jej nie zgwałcił. Że sypiali ze sobą od dawna, a bajkę o gwałcie Şemse wymyśliła, gdy okazało się, że jest w ciąży. Oprócz plotek nic jednak nie wskazuje, że tak było naprawdę – ani śledztwo policji, ani organizacji kobiecych.

Nie wiadomo, czy Şemse podobała się Halilowi. Jedni mówią, że kochał się w niej od dawna. Inni, że ją wykorzystał z nadzieją, że ujdzie mu to na sucho. Że nawet jeśli Şemse komuś powie o gwałcie, nikt nie uwierzy wariatce.

Gdy Şemse zaszła w ciążę, jej rodzina przyszła do Halila i powiedziała: „Masz

się z nią ożenić albo zabijemy i ciebie, i ją”. Mężczyzna miał już żonę. Ale rodzina zaproponowała ślub przed imamem.

Przed państwowym urzędnikiem można poślubić tylko jedną kobietę. Przed sługą bożym – dwie albo trzy.

Halil chciał się zgodzić, ale rodzina Şemse zażądała dodatkowo kilku tysięcy tureckich lir. Halil tyle nie miał. Bracia odeszli więc z niczym.

Ale i oni, i Halil wiedzieli, że to nie koniec. Kochająca rodzina zawsze broni honoru swoich córek.

5.

Korzeni honorowych zabójstw nie da się zbadać. Prawdopodobnie pochodzą z tradycji koczowniczo-plemiennych. Ojciec mógł dostać za dziewczynę posag, o ile była dziewicą. Jeśli nie była, mąż ją odsyłał. Nie dość, że sprowadzała wstyd na rodzinę, to do końca pozostawała na jej utrzymaniu. Dla koczowników liczba osób, które trzeba wyżywić, miała ogromne znaczenie. Pieniądze z posagu też. Prawdopodobnie, mówią naukowcy, właśnie dlatego koczownicy zaczęli zabijać swoje córki.

Zabijali też kobiety, które chciały się rozwieść – w takim wypadku posag musiał być zwrócony. Zabijali i te, które nie chciały się zgodzić na małżeństwo aranżowane przez rodzinę.

Ayşe Figen Zeybek z organizacji Kamer: – Tragiczna śmierć Şemse Allak poruszyła całą Turcję. Nad jej grobem, dość bezczelnie, ogłosiłyśmy nasz program. Każdej kobiecie, która się do nas zgłosi, dajemy gwarancję przeżycia.

– I co?

– Od 2003 roku uratowałyśmy ponad sto pięćdziesiąt dziewczyn. Jeśli rodzina jest zdeterminowana, by zabić, szukamy schroniska w innym mieście. Wysyłamy tam dziewczynę i pomagamy zacząć nowe życie. Schroniska są ściśle strzeżone, bo niektóre klany angażują wielkie środki. Dwa lata temu córka jednego z szefów klanu uciekła z chłopcem. Gonili ją w dwadzieścia samochodów. Szukali we wszystkich dużych miastach. Znaleźli, ale uciekła przed zabójcą przez okno i dziś nikt nie wie, co się z nią dzieje.

– Jak poznajecie, czy rodzina jest zdeterminowana?

– Chodzi z nami psycholog. On ocenia, czy jeśli obiecają, że nie zabiją, to można im zaufać.

– Obiecują?

– To trudny proces. Nie można iść do domu i powiedzieć: „Podobno zamierzacie zabić córkę. Nie radzę!”. Najpierw zbieramy informacje. Jeśli rodzina jest religijna, idziemy z imamem. Jeśli ojciec pracuje w fabryce, prosimy o wsparcie dyrektora. Kiedyś pomagał nam lekarz, który leczył babcię. Innym razem zadzwonił z Ankary minister spokrewniony z jedną z rodzin. Wszyscy tłumaczą: Nie trzeba zabijać! Jest wiele innych rozwiązań!

– Co na to rodziny?

– Kilka dni temu byłam w Viranşehirze, małej wsi pod Şanlıurfą. Rodzina kazała dziewczynie się zabić. Wuj wysyłał SMS-y: „Zabij się sama albo będziesz umierać w mękach”. Dlaczego? Bo miała w szkole chłopaka i on ją woził samochodem. Na wsi nie do pomyślenia.

– I co?

– Zawsze dziwnie się czuję, jak muszę się z rodziną targować o życie ich własnej córki. Ale mam już swoje triki. Tłumaczę, że też jestem stąd. Że moja córka też ma chłopaka i nie zamierzam jej zabić z tego powodu. Pokazuję zdjęcia w telefonie. Mówię, że jest dobra z matematyki, ale nie radzi sobie z tureckim. Tym razem ojciec załapał. Zaczął narzekać, że córka musi się uczyć tureckiego. Że całe zło przez szkołę, bo po co Kurdom ten turecki.

Zawsze próbuję obudzić w nich uśpionego rodzica. Pytam, ile córka ważyła po urodzeniu. Na co chorowała. Jakie pierwsze słowo powiedziała: mama czy tata. Jeśli obudzę rodziców, jesteśmy na prostej.

– A tu? Udało się?

– Obiecali, że nic jej nie zrobią. Córka przyrzekła, że już zawsze będzie wracać ze szkoły ze starszym bratem. Choć to jednak ryzyko. W zeszłym roku głośny był u nas przypadek Ayşegül Alpaslan. Mąż tej kobiety przy policjantach obiecał, że w życiu jej nie uderzy. Tydzień później zakatował ją na śmierć.

6.

Co to jest honor? Takie pytanie zadała mieszkańcom wschodniej Turcji profesor Yakın Ertürk z grupą wolontariuszy piszących raport dla Programu Narodów Zjednoczonych do spraw Rozwoju (UNDP). Raport zatytułowany *Dynamika zabójstw honorowych w Turcji* jest najbardziej kompleksowym opracowaniem na ten temat.

1. „Honor to powód, dla którego żyjemy. Bez niego życie nie ma sensu” – mówi młoda dziewczyna z Şanlıurfy.

2. „Twój honor to twoja żona” – mężczyzna, 25 lat, Stambuł. Mówiąc „żona”, użył słowa helalın: ktoś, do kogo masz prawo.

3. „Jak mówią starsi, najświętsze rzeczy dla mężczyzny to koń, kobieta i strzelba. Honor to powinność kobiety. Jeśli ona próbuje cię zdradzać, znaczy, że straciłeś swoją godność” – mężczyzna, 39 lat, Adana.

4. „Honor jest dla mnie wszystkim... Gdybym miał żonę, ona byłaby moim honorem. Moja siostra to też mój honor, podobnie moje krewne – córka mojego wuja i mojej ciotki. Wszystko, co dzieje się wokół mnie i mojej rodziny, jest moim honorem” – mężczyzna, 24 lata, Batman.

5. „Honorowa kobieta powinna być przywiązana do domu i do swego męża. Nie może robić nic, co mogłoby wywołać plotki. Nie powinna opowiadać o rzeczach, które mają miejsce w jej domu. Nie może iść do matki i powiedzieć: «Mamo, mąż

mnie bije». Albo: «Chcę rozwodu»” – kobieta, 25 lat, Batman.

Najlepiej istotę honoru oddał jednak młody człowiek ze Stambułu: „Kiedy słyszę «honor», przychodzi mi do głowy wyłącznie kobieta. Nic innego”.

Liberalny dziennikarz z Ankary: – Dla nich honor leży między kobiecymi nogami.

Profesor Ertürk zauważa, że największy radykalizm w karaniu kobiet deklarują niewykształceni mężczyźni w wieku szesnastu-dwudziestu lat.

7.

Wszystko zaczyna się od plotki. Opowiada mi o tym kurdyjski reżyser Mehmet Sait Alpaslan, autor filmu i sztuki o śmierci Şemse Allak.

Plotka pojawia się nagle. Może ją wywołać zwykłe spojrzenie albo uśmiech, kiedy drogą przechodzi mężczyzna. Ale czasem nie trzeba powodu. Wystarczy, że ktoś powie słowo, a ktoś inny dołoży drugie.

Plotka jest najpierw jak sokół: krąży wysoko nad głowami. Z tej wysokości nie może zaszkodzić. Czasem odlatuje i niebezpieczeństwo mija.

Ale czasem zniża lot. Idzie do ludzi, żywi się ich żółcią, żalem, biedą i zazdrością. Źli ludzie karmią ją, aż nabierze sił, by wejść do wioski.

Wchodzi jak łowca. Ofiara jeszcze nic nie wie, ale wyrok już zapadł. Plotka, klątwa, sztylet. Zabójca naostrzył nóż.

Nieważne, czy jest prawdziwa. Kto by miał głowę, żeby to sprawdzać. Ważne, że kala honor.

Plotka jest dużo ważniejsza niż prawda. Prawda nie wyzwala. Ważne jest tylko to, co mówią.

Trudno mi spacerować po Diyarbakırze z tą wiedzą. Chodzę po bocznych ulicach. Dzieci mają tu dziurawe buty, a ich matki całe dnie spędzają, siedząc na gankach i plotkując. Nic się nie dzieje. I nagle na horyzoncie pojawia się zielony punkt. Rośnie, ale nie zamienia się w żadną znajomą sylwetkę. Głowa szuka odpowiedniego słowa. I znajduje: *yabancı*, cudzoziemiec.

Najpierw dopada mnie tłum dzieci. Coś mówią, krzyczą. Proszą o cukierki i dolary, ale bardziej dla śmiechu niż z nadzieją, że coś im dam. Bo coś się dzieje. Bo wreszcie można czymś zabić nudę.

Ich matki są młodziutkie, przed dwudziestką. Uśmiechają się. Im też się nudzi. Chętnie by zagadały. Ale w tym mieście to mężczyzna musi odezwać się pierwszy.

Czy mam odpowiedzieć na uśmiech? Chciałbym. Lubię takie spotkania. Ale tak właśnie rodzi się plotka.

Potem ktoś może powiedzieć, że jedna z kobiet zbyt często albo zbyt szeroko się do mnie uśmiechała. Albo że patrzyła na mnie o pięć sekund za długo. Jakkolwiek absurdalnie zabrzmiałby zarzut, może kosztować kogoś życie.

Może to przesada, ale mam wrażenie, że mój uśmiech może kogoś zabić. Opuszczam więc oczy i idę swoją drogą.

8.

Plotka krążyła nad głową Hatice jak jastrząb. W centrum każdej tureckiej wioski jest mała herbaciarnia, gdzie mężczyźni spędzają całe dnie. Abdullah szepnął tam kilku osobom, że żona Ahmeta jest dziwką.

– Tylko wyjechał, a już mnie zaprosiła! Spałem z nią. Dziś też będę z nią spał!

W wioskach, gdzie całymi dniami nic się nie dzieje, mężczyźni lubią takie historie. W regionach, gdzie cnota jest ważniejsza niż życie, ludzie wyjątkowo chętnie słuchają historii niecnotliwych.

Koledzy Abdullaha cmokali z podziwem: – *Çapkın seni, abi*! Ale z ciebie, bracie, podrywacz!

Potem opowiedzieli o tym swoim znajomym. Oni opowiedzieli swoim.

Po kilku tygodniach cała wioska nie mówiła o niczym innym.

Przez cały ten czas niczego nieświadoma Hatice noc w noc musiała tarasować drzwi własnym ciałem, żeby Abdullah nie wszedł do jej pokoju.

9.

Nigdzie na świecie brat tak nie kocha siostry, dzieci rodziców, a rodzice dzieci. Tak mówią o sobie z dumą tureccy Kurdowie. Jak to możliwe, że ojcowie zabijają córki, a mężowie żony?

Z miłości.

Aytekin Sıır, profesor psychiatrii z uniwersytetu w Diyarbakırze, przeprowadził na ten temat badania. Odwiedził w więzieniu pół setki sprawców honorowych zabójstw. Większość spędzi za kratkami resztę życia. Wszystkim zadał te same pytania.

Profesor Sıır: – Honorowe zabójstwo to nie jest zbrodnia w afekcie, kiedy facet zastaje żonę z innym, chwyta za pistolet i strzela. To bardzo przemyślany proces. Najpierw zbiera się starszyzna rodu, bo to się dzieje w strukturach klanowych. Mówi, co zaszło, i podejmuje decyzję. Potem wyznacza egzekutora. Ojciec czy mąż często się z wyrokiem nie zgadza. Ale ze starszyzną się nie polemizuje, bo można oberwać. Zdarzało się, że mąż, który nie chciał zabić żony, ginął razem z nią.

– Kim są zabójcy?

– To ktoś z bliskiej rodziny. Dla większości to pierwsze zabójstwo w życiu. Często są w szoku po tym, co zrobili.

– Co mówią?

– Że zachowali się właściwie. Że za pokalanie honoru rodziny karą jest śmierć. Cała społeczność utwierdza ich w przekonaniu, że mieli rację. Jako ci, co bronili honoru, mają wysoką pozycję nawet w hierarchii więziennej. Jedno z pytań w naszej ankiecie brzmiało: „Co byś dziś powiedział swojej żonie/siostrze/córce?”. Większość rozklejała się w tym momencie.

Do tej pory mówili o niej „ta kobieta”. Teraz mieli się zwrócić osobiście. Mówili: „Powiedziałbym, że ją kocham. Że zrobiłem to, co musiałem. I że wiem, że mnie

rozumie”.

– Jak tłumaczą to, co zrobili?

– Rozmawiałem z bratem, który zabił siostrę, bo miała chłopaka w liceum. Normalny facet, na wolności marzył, że zostanie kierowcą. Pytam, czy naprawdę karą za licealną miłość powinna być śmierć. On na to: „Ona pokalała mój honor. Honor jest dla mnie najważniejszy. Honor to wszystko, co mam”. Myślę, że to dziś główna przyczyna tych zabójstw. W wioskach, gdzie nie ma pracy, pieniędzy ani przyszłości, ludzie mają tylko honor. Ci, którym się powiodło – mają biznes, pieniądze, perspektywy – rzadko zabijają.

10.

Halil wiedział już, że gwałt nie ujdzie mu na sucho. Że gra idzie o życie. Starał się o wsparcie imama. Jedni mówią, że imam odmówił. Inni, że najpierw odmówił, ale potem posłał po Halila i braci Şemse i próbował ich pogodzić.

Plotka w tym czasie pożywiała się w domach wieśniaków z Yalım. Ludzie mówili, że to Şemse sprowokowała Halila. Że kobieta, która w jej wieku nie ma męża, na pewno jest dziwką. A skoro jest dziwką, musi ponieść karę.

Plotka była już silna jak lew. Rodzina Şemse spotkała się potajemnie i zdecydowała, że kobieta musi zginąć. Tak przynajmniej mówią dziś ludzie w Yalım.

Ale Halil zrobił coś, czego nikt się nie spodziewał.

11.

Honorowe zabójstwa dokonywane są niemal wyłącznie przez muzułmanów. Jak się mają do islamu? Czy Koran nakazuje zabijać niewierne żony?

Odpowiedzi szukam w związku zawodowym imamów okręgu Diyarbakır. Wysoki jak brzoza szef związku Zahit Gifkuran tłumaczy, że jeśli ktoś podejrzewa żonę o zdradę, musi udać się do domu z czterema godnymi zaufania mężami. Jeśli złapią kochanków na gorącym uczynku, sąd wymierza dożywotnią karę domowego aresztu.

– W Koranie nie ma słowa o karaniu śmiercią – mówi imam Gifkuran. Więcej nie ma nic do dodania, więc nasza rozmowa zbliża się ku końcowi. Tylko starutki imam siedzący w rogu sali chce coś dodać. Nazywa się Süleyman Baznabaz i niemal całe życie pracował w małej wiosce niedaleko Diyarbakıru.

– Każda kobieta wie, że może do mnie przyjść, jeśli czuje się zagrożona – mówi. – Jeśli jest w niebezpieczeństwie, próbuję rozmawiać z jej rodziną. Czasem wystarcza interwencja kogoś trzeźwo myślącego, by powstrzymać zbrodnię. Jeśli rodzina jest religijna, zawsze mnie posłucha.

– Co hodża ma na myśli?

– Podam przykład. Dziewczyna uciekła z chłopcem. „Zabijemy ją!”, woła ojciec. A ja pytam: „Dlaczego jej za niego nie wydacie?! Jego rodzina da wam dużo pieniędzy i trochę ziemi. Honor uratujecie, a za kilka lat wszyscy o tym zapomną.

Wasz syn nie pójdzie do więzienia za zabójstwo”. I oni się zgadzają. Inny wypadek: chłopiec wykorzystał dziewczynę bez jej zgody.

– Zgwałcił?

– Tak się mówi. Miała trzynaście lat, rodzina chciała ją oszczędzić, ale cała wioska już o tym mówiła. Mówię: „Wydajcie ich za siebie! Chłopiec nie pójdzie do więzienia. Dziewczyna też wyjdzie ze sprawy honorowo”.

– Wydać? Za gwałciciela?!

– Synku, ja jej w ten sposób uratowałem życie. I wiesz, co się okazało?

– Słucham, hodża?

– Oni się bardzo pokochali. Ona przychodzi do mnie i mówi: „Hodża, ależ jestem szczęśliwa”. Zapomniała już o tym, co było.

– A czy bywa, że mediacja nie skutkuje?

– Był taki przypadek. Dziewczynę wykorzystał syn wuja, zaszła w ciążę. Zaprosiłem ją pod mój dach do czasu, aż się dogadają. Mieszkała pół roku ze mną i moją żoną. Powiedziałem rodzinie, że zezwalam na wzięcie drugiej żony. Że muszą tylko dogadać sprawy posagu. Chłopiec chciał ją wziąć, choć nie musiał. Był z bardzo bogatej rodziny. Jego ojciec mógł zapłacić odszkodowanie.

– I co się stało?

– Pierwsza żona zrobiła straszną awanturę. Pokaleczyła sobie twarz i powiedziała, że prędzej umrze. Rodzina dziewczyny nie chciała czekać, aż dziecko się urodzi. Włamali się do mojego domu, porwali ją i utopili.

12.

Starszyzna rodziny Hatice zebrała się, by porozmawiać o plotkach Abdullaha. Zdecydowali, że dziewczyna musi zginąć. Wpuściła go do pokoju czy nie, plotka zatoczyła już zbyt szerokie kręgi.

Ahmet był w wojsku. Nikt go nie poinformował. Na zabójcę wyznaczyli brata Hatice, Metina.

Metin przyszedł wcześnie rano, gdy Hatice doiła krowy. Podszedł od tyłu i chciał wbić nóż w szyję. Ale nie umiał. Miał dopiero siedemnaście lat, zabijał wcześniej zwierzęta, ale okazało się, że zabić człowieka nie jest tak łatwo.

Hatice się odwróciła i zobaczyła brata z nożem. Nie wiedziała, dlaczego przyszedł ją zabić. Ale kobiety w tym rejonie nie muszą znać powodu. Podobne obrazki znają od dziecka. Hatice wiedziała, że jeśli wydali na nią wyrok, prędzej czy później zabiją. Uciekła tak, jak stała.

Biegła co sił do Diyarbakıru. To osiem kilometrów. Sama nie wie, jak tam dotarła. W mieście poszła na policję.

Policjant zapytał, co dokładnie zaszło.

– Mój brat chciał mnie zabić.

– Skąd pani to wie?

– Stał nade mną z nożem.

– Może akurat przechodził i potrzebował noża?

– Nie, przyszedł specjalnie po mnie.

– Czym pani mu zawiniła?

– Nie wiem.

– Jeśli nic pani nie zrobiła, na pewno pani nie zabiją – uśmiechnął się policjant i kazał jej wracać do domu.

Całe szczęście, że Hatice słyszała wcześniej o organizacji Kamer. Postanowiła ją odszukać.

To nie było łatwe. Nigdy nie poruszała się sama po mieście. Nigdy nie musiała odszukać żadnej ulicy ani organizacji. A pytanie kogoś o drogę mogło się źle skończyć. Młoda dziewczyna ze wsi sama na ulicy? To nie jest typowy obrazek.

Udało się. W siedzibie fundacji wolontariusze wysłuchali jej historii. Pomogli jej znaleźć schronisko dla kobiet i obiecali mediację.

13.

Jeszcze niedawno honorowe zabójstwa uznawano za sprawy rodzinne, do których nie należy się mieszać. Ale przez Turcję przetoczyło się kilka kampanii medialnych. Plakaty zawisły w najmniejszych wioskach. Oprócz Kamer w samym Diyarbakırze powstało koło trzydziestu organizacji pomagających kobietom. Dziś niemal każda wie, gdzie się zgłosić w razie potrzeby.

Rząd próbuje też zmusić rodziny, by posyłały córki do szkół. Honorowe zabójstwa dotykają najczęściej dziewczyn bez wykształcenia. Te, które otarły się o szkoły, potrafią upomnieć się o pomoc. W akcji „Wszystkie dziewczęta do szkół” pomagali nawet imamowie.

Jednak rodziny, których honor został skalany, znalazły inne sposoby na oczyszczenie.

Profesor Aytekin Sıır: – Zauważyliśmy, że w naszym regionie niebezpiecznie wzrasta liczba samobójstw wśród młodych dziewczyn. Na całym świecie to chłopcy dużo częściej popełniają samobójstwa. A u nas nagle zaczęło być inaczej. Zaczęliśmy przyglądać się tym przypadkom. W Mardin młoda żona strzeliła sobie w głowę. Po krótkim wywiadzie okazało się, że była leworęczna, a strzał padł z prawej strony. Po dłuższym, że zabił ją mąż. W innym wypadku kobieta strzeliła sobie w tył głowy.

– Jak to?

– Zabijali te dziewczyny, a potem zgłaszali samobójstwo. Albo wypadek. Pod miastem Van traktor przejechał dziewczynę. „Wypadek”, mówi rodzina. A jak jej zrobili obdukcję, okazało się, że ten traktor po niej przejechał co najmniej czterdzieści razy.

Ayşe Gökkan badała wszystkie samobójstwa młodych dziewczyn z Diyarbakıru w roku 2006. – Mam taki przypadek: młoda żona, zanim została zabita, kilka razy przychodziła na policję. Mówiła: „Mąż chce mnie zabić”. A oni ją odsyłali

do domu. Po tygodniu już nie żyła. Patrzę w papiery: samobójstwo. Policjantom wygodniej tak wpisać, bo sami byli winni. Problem w tym, że oni też są z tego środowiska. Są w mundurach, ale w głowach mają to samo co mąż i brat takiej dziewczyny.

Ayşe Figen Zeybek z organizacji Kamer: – Przeciwnicy wejścia Turcji do Unii Europejskiej mówią: „Oni zabijają dziewczyny. Nie pozwólmy im wejść". A ja mówię: „Nic tak nie pomogło w naszej pracy jak perspektywa członkostwa. To uratowało życie dziesiątkom dziewczyn! Musimy wejść, żeby móc z tym skutecznie walczyć!".

14.

Şemse uciekła do domu swojego gwałciciela Halila. Wiedziała, że jej rodzina będzie chciała ją zabić.

Jedni mówią, że Halil ją przyjął, bo nie miał wyjścia. Inni, że naprawdę ją kochał. Schował Şemse w piwnicy, a jej braciom powiedział, że nie wie, gdzie jest. Wymyślił plan, który miał uratować ich oboje. Nocą wyprowadził Şemse na pole. Chciał ominąć wioskę i dojść do szosy. Tam złapać stopa albo autobus do Mardin. Co dalej chciał zrobić Halil, nie dowiemy się już nigdy.

Jedni mówią, że wioskę obudził pies. Inni, że ktoś zobaczył cienie przemykające po polach. Jeszcze inni, że bracia Şemse ukryli się wokół domu Halila. Coś może być na rzeczy, bo nagle, w środku nocy na polu zrobił się duży tłum. Ilu było ludzi, tego nie udało się ustalić nawet policji. Kto pierwszy rzucił kamień, też nie wiadomo. Wiadomo tylko, że zebrało się od dwunastu do osiemnastu osób. Że kamienie rzucali mężczyźni i starsze kobiety, a między nimi kręciło się kilkoro dzieci.

Halil próbował osłonić Şemse własnym ciałem. Zginął pierwszy.

Kiedy gniew minął, ludzie wrócili do swoich łóżek.

Rano patrolujący teren żołnierze znaleźli pośrodku pola dwa ciała leżące w stercie kamieni.

15.

Şemse Allak nie zmarła na polu. Gdy żołnierze odkryli jej ciało, jeszcze żyła. Straciła płód, była w śpiączce, ale żyła. Trafiła do szpitala w Diyarbakırze. Już się nie obudziła. Pochowały ją członkinie organizacji kobiecych. Nikt z rodziny nie zjawił się na pogrzebie.

W wiosce zapanowała zmowa milczenia. Dlatego nie udało się skazać winnych. Bracia Şemse wciąż żyją w Yalım.

Żona Halila dopiero w zeszłym roku wyprowadziła się do Stambułu.

Trzy lata po kamienowaniu w Yalım jadę porozmawiać z mieszkańcami. Wioska to przedmieścia milionowego Mardin. Przy wjeździe stoi wielki gołąb z gałązką oliwną w dziobie.

Ludziom mówimy, że przysłała nas Unia Europejska i że chcemy zapytać o dolę

Kurdów. Wolę nie ryzykować, kilku dziennikarzy pognali już z pięściami. A Unia budzi tu pozytywne skojarzenia.

Mężczyźni zapraszają na herbatę. Wszyscy mają kruczoczarne, gęste wąsy. Siedzimy na głównym placu wioski i słuchamy. W Yalım na sto dwadzieścia osób tylko dwadzieścia, może trzydzieści pracuje. Część wyłącznie latem, gdy są roboty w polu. Ale większość cały rok spędza w herbaciarni.

– Co zwykle robicie? – pytam najmłodszych, na oko trzydziestolatków.

– No, siedzimy sobie. Pijemy herbatkę...

Turecki znają słabo, więc moja tłumaczka przechodzi na kurdyjski. Ożywiają się – wszyscy mieszkańcy wioski to Kurdowie. Ale nawet telewizji po kurdyjsku nie mogą obejrzeć, bo samorząd Mardin blokuje sygnał anten satelitarnych.

– My rozumiemy po turecku. Ale nasze żony nie – mówią.

– Jakie jeszcze problemy mają wasze żony? – pytam.

– Brak opieki lekarskiej. Lekarze nie mówią po kurdyjsku. Nawet napisy na lekach są wyłącznie po turecku.

– Nie mogą się w żadnym urzędzie dogadać...

– A przemoc? Zdarza się? – pytam kilkunastu kurdyjskich mężów. Zgodnie ze statystkami to oni najczęściej w Turcji biją żony.

Chwila konsternacji.

– Co się dzieje w domach, to nie nasza sprawa – ucina jeden ze starszych. Zbieram się na odwagę i pytam, czy tragiczne wydarzenie sprzed trzech lat zmieniło coś w życiu wioski.

Naradzają się, o jakie wydarzenie może mi chodzić. Zgadują, że o kamienowanie.

– Nie, nic w wiosce się po nim nie zmieniło – ucina starszy mężczyzna.

Podobnie uważa nauczycielka tkactwa, która prowadzi warsztat na obrzeżach wioski. Rozmowa z nami to z jej strony akt ogromnej odwagi. Wszyscy widzieli, że weszliśmy do jej pracowni.

– W moim warsztacie pracują dziewczęta do zamążpójścia. Później to nie honor dla męża, żeby żona pracowała. Mają więc od dziesięciu do szesnastu lat. Dzień po zabiciu Şemse pomyślałam sobie, że to musi być dla nich trauma. Że muszę z nimi o tym pogadać.

– I co?

– Pytam delikatnie: „Pewnie jesteście w szoku?”. A moje dziewczynki na to: „Należało się, kurwie!”.

– Dlaczego tak myślą?

– Bo była samotna. Bo skoro ją zgwałcił, to na pewno go sprowokowała. Moje uczennice są przesiąknięte takim myśleniem.

– Coś się zmieniło od śmierci Şemse?

– Ludzie zamknęli się w sobie. Cała Turcja mówiła o Yalım jako o wiosce zabójców. To było pierwsze kamienowanie w Turcji od dziesiątek lat. Prasa pisała,

że wszyscy mają tu krew na rękach.

16.

Gdy Ahmet wrócił z wojska, Hatice poprosiła wolontariuszki z Kamer, by z nim porozmawiały.

Ahmet nie chciał rozmawiać. Rodzina mu powiedziała, że jego żona uciekła z innym mężczyzną.

Gdy się dowiedział, że cały czas jest w schronisku dla kobiet, powiedział tylko: „Niech wraca".

I Hatice wróciła.

Ojciec, matka i brat udawali, że jej nie znają. Byli pewni, że spała z Abdullahem. Nawet nie zapytali jej, jak było naprawdę.

Teściowie i starszyzna klanu kazali Ahmetowi zabić żonę. Ale Ahmet uwierzył Hatice. Zbuntował się.

Stał się więc człowiekiem bez honoru. Z dnia na dzień piekarz przestał mu sprzedawać pieczywo, właściciel herbaciarni przestał go zauważać, a ludzie przestali odpowiadać na jego pozdrowienia.

– Jesteś, a jakby cię nie było – mówi dziś Ahmet. – Raz wszedłem do herbaciarni i sam nalałem sobie herbaty. Przyszedł pracownik i wylał mi ją na buty. Stare kobiety pluły na mój widok. Po chleb musiałem chodzić do miasta, osiem kilometrów. A moi bracia postanowili zabić mnie razem z moją żoną.

W tym samym czasie Abdullah prawie codziennie dzwonił do Hatice i mówił, że będzie jego – jeśli nie na tym, to na tamtym świecie.

17.

Ahmet i Hatice postanowili nie czekać na rozwój wydarzeń. Organizacje kobiece znalazły im mieszkanie w Diyarbakırze. Pożyczyli trochę pieniędzy, ale Ahmet szybko je oddał. Jest bardzo pracowity.

Kilka dni po przeprowadzce pojechali po ostatnie rzeczy do wioski. Hatice pożyczyła od kogoś dyktafon. Czekała, aż zadzwoni Abdullah.

Zadzwonił. Opowiadał, w jakich pozycjach będzie jej używał. Mówił, że jest dziwką i że każdy może ją mieć.

Hatice go podpuściła.

– Dlaczego mówisz ludziom, że ze mną spałeś? Nigdy cię nie wpuściłam do pokoju! – powiedziała. Abdullah się roześmiał.

– I co z tego? Ciebie zabiją, a ja będę żył. Jeśli zechcę, zabiją też twojego ojca i matkę – mówił.

Następnego dnia Hatice skopiowała taśmę. Ahmet wysłał kopie rodzicom swoim i swojej żony.

Kilka dni później zadzwonili na komórkę, żeby ich przeprosić. Powiedzieli, że mają wracać, że wszystko już jest jasne.

Ale Hatice i Ahmet nie chcieli już mieszkać w swojej wiosce. Od tamtej pory

żadne z nich nie rozmawiało z rodzicami.

Tylko Abdullah do dziś tam mieszka.

18.

Dziewczyna w białej sukni stoi na środku sceny. Patrzy ze smutkiem na publiczność i na postaci, które ją otaczają. Co chwila któraś z nich wychodzi na środek i mówi swoją kwestię.

Dziewczyna w bieli to Şemse Allak. Właśnie wróciła z zaświatów i słucha swoich prześladowców.

– Córeczko, czemu cię nie uratowałam?! – płacze matka. – Wierz mi, że chciałam! Nie pozwoliły mi nasze stare tradycje. Nie pozwolił strach, że mnie też mogą zabić!

– Siostro, nie myśl, że jestem złym człowiekiem – kaja się brat. – Zabiłem cię, bo musiałem. Bo byliśmy zbyt biedni, żeby zapłacić za nasz honor. Nawet w więzieniu zobaczyli, że mam dobre serce. Dlatego mnie wypuścili...

Brata zabójcę zagrał reżyser i scenarzysta Mehmet Sait Alpaslan. Objechał on z aktorami cały wschód Turcji. Sztukę o Şemse często grali w małych miasteczkach.

– Publiczność dzieli się na dwie części. Jedni klaszczą, gdy matka krzyczy: „Zabić ją! Zasłużyła na śmierć!". Są i tacy, co klaszczą i gwiżdżą w trakcie kamienowania. Ale najważniejsze, że zdecydowana większość klaszcze, gdy imam mówi: „Dajcie im żyć. Allach zabrania zabijać".

Pani Atatürkowa

1.

Je z nami w restauracji. Załatwia sprawy w urzędach. Łypie z portfela, portretu i z pierwszych stron gazet. Marznie z nami w kolejce do kina i poci się w łaźni. Nawet babcia klozetowa ma w swoim kantorku jego zdjęcie.

– Jeśli kiedyś się zorientujesz, że od piętnastu minut nie widziałeś ani jednego Atatürka, biegnij! – mówi Bastian, który w Stambule uczy niemieckiego. – To znaczy, że już nie jesteś w Turcji. Musiałeś przejść granicę i nie zauważyć.

Ma rację.

Młodzi Turcy już od pierwszej klasy szkoły podstawowej piszą na jego cześć wierszyki i wystawiają przedstawienia. Gdy podrosną, wszystkich cudzoziemców poddają prostemu testowi: „Co sądzisz o Atatürku?" – pytają.

Jeśli nie zda się testu, można tym jednym pociągnięciem stracić wszystkich znajomych. A zdać można, wyłącznie odpowiadając: „Sądzę, że był wybitnym mężem stanu. To wielkie szczęście dla Turcji, że miała kogoś takiego".

Każda inna odpowiedź sprawia, że wypadasz z gry. Atatürk stał się bóstwem. W dodatku monoteistycznym. Wielu Turków autentycznie wierzy, że patrzy na nich z nieba i pomaga krajowi. Więcej: jeżdżą do miasteczka Ardahan w północno-wschodniej Turcji i urządzają swoiste atatürkalia. Obserwują górę, która rzuca cień przypominający profil Ojca Turków. Gdy go zobaczą, tańczą, śmieją się i płaczą na przemian. Później ucztują.

Co ciekawe, ci sami Turcy islam uważają za ciemnotę i zabobon.

2.

Kiedy Latife Uşşaki umiera w swoim małym domku niedaleko stambulskiego placu Taksim, gazety prawie nie poświęcają jej uwagi. Jest rok 1975 i nikt, oprócz grona najbliższych przyjaciół, o niej nie pamięta.

Chowają ją koło małego meczetu Teşvikiye. Pogrzeb nie ma charakteru państwowego, ale żałobnicy kładą na trumnie biało-czerwoną flagę Turcji. Jej śmierć ostatecznie przypieczętowuje milczenie najbardziej niesamowitej kobiety w nowoczesnej historii kraju.

Wszystko zaczęło się na początku XX wieku. Jako młoda dziewczyna Latife całkowicie odbiega od tego, co uchodzi za normę. Jej ojciec Muammer Bey jest potentatem bawełny i jednym z najbogatszych mieszkańców Izmiru. Ma pierwszy automobil, a dzieci kształci na Zachodzie. Latife już jako dwudziestokilkulatka ma dyplomy z Paryża i Londynu i biegle włada pięcioma językami.

Po i wojnie światowej, gdy mocarstwa dzielą Turcję jak kebab nabity na ruszt, Grecy zajmują Izmir. Muammer Bey ucieka z rodziną do Szwajcarii. Latife wraca

jednak, by zająć się ciężko chorą babcią. Od wszystkich mieszkańców Izmiru słyszy wtedy imię jednego człowieka: Mustafy Kemala.

Niedługo później wojska przyszłego Atatürka odbijają miasto z rąk Greków. Latife robi coś, na co nie pozwoliłaby sobie żadna inna kobieta. Bez oporów idzie do niego i proponuje, by zamieszkał w jej rodzinnym domu.

Atatürk nie waha się nawet pięciu sekund. Latife robi na nim ogromne wrażenie. Właśnie takiej – pewnej siebie, niezależnej i wykształconej kobiety potrzebuje u swojego boku, gdy będzie reformował Turcję.

Cztery miesiące później Latife zostaje panią Atatürkową.

3.

Jeszcze kilka lat temu Latife była nad Bosforem postacią widmo. Historycy pisali, że była kapryśna, nieznośna, rzucała butami, obrażała przyjaciół i histeryzowała. W dodatku miała być brzydka jak pochmurna noc nad Bosforem. I ponadprzeciętnie owłosiona.

Jak w ogóle Atatürk mógł wziąć taką okropną kobietę za żonę? Tego hagiografowie Ojca Turków wytłumaczyć nie potrafią. Faktem jest natomiast, że sama ceremonia była bardzo nowoczesna. Do tamtego momentu przed sądem za kobietę odpowiadał ojciec, a jeśli go zabrakło – brat albo kuzyn. Latife jako pierwsza w historii Turczynka wszystkie dokumenty podpisała sama. Była to jaskółka tego, co dopiero miało nadejść.

Małżeństwo trwało dwa i pół roku. Ojciec Turków nigdy później nie wziął już ślubu ani nie miał dzieci.

4.

W 2005 roku turecka dziennikarka İpek Çalışlar opublikowała książkę pod tytułem *Latife Hanım* (Pani Latife). Z okładki odważnym wzrokiem patrzy na nas młodziutka żona Ojca Turków. Siedzi na koniu. Jej poza mówi, że cały świat ma u stóp.

Çalışlar przez wiele lat próbowała choć trochę uchylić ciężkie drzwi, jakie zamknęły się za Latife, gdy przestała być żoną Atatürka. Nie było łatwo. Dziennikarka żali się w wywiadach, że nie udało się wykonać nawet połowy zamierzeń. Większość odmawiała udzielenia wywiadu. Listy i dziennik Matki Turków leżą zaś zdeponowane w jednym z banków i ani dziennikarze, ani historycy nie mogą z nich skorzystać.

Mimo to książka odbiła się w Turcji niezwykle szerokim echem.

– Sama byłam zdziwiona – śmieje się pani Çalışlar, kiedy umawiam się z nią w jednej z nadbosforskich kawiarni. – Sprzedało się ponad sto tysięcy egzemplarzy. Dzięki mojej książce po osiemdziesięciu latach okazało się, że Latife Hanım miała przemożny wpływ na los tureckich kobiet. To jej zawdzięczamy, że już w latach trzydziestych kobiety mogły głosować i kandydować do parlamentu. To ona namówiła swojego wielkiego męża, żeby poszedł na całość i dał nam te prawa.

– Podobno była histeryczką?

– Latife chciała mieć normalną, kochającą rodzinę. A Atatürk całe wieczory spędzał, pijąc z kolegami z wojska i grając w karty. W ciągu dnia uczył Turcję, jak żyć nowocześnie. Ale wieczorami zachowywał się jak typowy turecki pan domu. Ją to denerwowało, a nie była osobą, która emocje kryła w sobie. Pewnie nieraz w złości zdarzyło jej się wrzasnąć. Ale histeria? Nie ma żadnych dowodów, że była histeryczką.

5.

İpek Çalışlar za swoją książkę zapłaciła cenę, jaką w Turcji płaci niemal każdy autor piszący o tematach tabu. Została oskarżona o obrazę Atatürka i stanęła przed sądem.

Oskarżył ją czytelnik, któremu nie spodobała się przytoczona przez dziennikarkę anegdota.

Çalışlar: – Opisałam, jak Atatürk ucieka przed greckimi żołnierzami w ubraniu kobiety, które pożyczył od Latife. Dlaczego miałoby to być dla kogoś obraźliwe?

Obraza Atatürka to nad Bosforem ciężkie przestępstwo. Doświadczyły tego dwie młode dziewczyny w chustach, Nuray Bezirgan i Kevser Çakır. W telewizji przyznały przed całym krajem, że nie kochają Atatürka.

– Czy w ogóle mogę go nie kochać? – upewniała się najpierw Bezirgan. – Jeśli mogę, to nie kocham – powiedziała.

Dziennikarz pytał, jak może nie kochać kogoś, kto wygonił z Turcji Brytyjczyków.

– Gdyby tu byli Brytyjczycy, miałabym więcej praw, niż mam dzisiaj – odparowała Bezirgan. – Osobiście bliżej mi jest do ajatollaha Chomeiniego niż do Atatürka – dodała i rozpętała burzę. Dzień później wszystkie ważniejsze gazety pisały o niej na pierwszych stronach, a prokurator z urzędu wszczął postępowanie o znieważenie Ojca Turków. Sprawa była szeroko komentowana w mediach. Zakończyła się, podobnie jak sprawa İpek Çalışlar, uniewinnieniem. Te uniewinnienia tureccy analitycy uważają za dowód, że nad Bosforem dokonują się dziś wielkie zmiany.

6.

Latife Hanım bardzo kochała Atatürka.

– Być może za bardzo – zamyśla się pani Çalışlar. – Trzy razy zapowiadała mu, że chce odejść. Ale wygląda mi to raczej na próbę zwrócenia jego uwagi, że w małżeństwie pojawił się problem. Z relacji jej znajomych wiem, że bardzo cierpiała, gdy wreszcie doszło do rozwodu.

Choć i Atatürk, i Latife pobrali się w sposób niezwykle nowoczesny, rozwód odbył się tradycyjnie. Zamiast listu rozwodowego, Latife otrzymała rządowy dekret z pieczątką.

Atatürk i była pani Atatürkowa spotkali się po rozwodzie tylko raz. Ona była

na pikniku z przyjaciółmi. On pływał jachtem po Bosforze.

İpek Çalışlar: – Nie odezwali się do siebie ani słowem, ale Latife bardzo to spotkanie przeżyła.

Całe późniejsze życie mieszkała samotnie. Spotykała się tylko z wąskim gronem najbliższych przyjaciół. O Atatürku nie mówiła z nikim, ale do końca swoich dni nadkładała drogi, żeby tylko przejść obok jego pomnika.

Czarna dziewczyna

Sztab wyborczy jest na Taksimie, w najbardziej rozrywkowej dzielnicy Stambułu.

W sztabie wieje nudą. Dziennikarze polecieli za kolejną sensacją. Zostały po nich ściany wytapetowane tekstami: „Spałam z 76 mężczyznami w ciągu doby", „Miałam cztery aborcje", „Pół życia byłam prostytutką".

– Wciąż im mało – żali się Saliha Ermez, była prostytutka, kandydatka do tureckiego parlamentu.

– Słyszą: miałam cztery aborcje, a w oczach mają: dlaczego tylko cztery? Dlaczego nie osiem? – dodaje Ayşe Türkükçü.

Byłe prostytutki prowadzą w Konyi schronisko dla prześladowanych kobiet. W Konyi jest pochowany mędrzec Rumi, znany też jako Mevlana, święty Franciszek świata islamu. To on założył zakon derwiszów, którzy przez ekstatyczny, wirujący taniec łączyli się z Allachem i przekazywali ludziom jego błogosławieństwo. Choć Rumi przez całe życie głosił tolerancję i pokój, ludzie w Konyi uchodzą za najbardziej konserwatywnych. Z byłymi prostytutkami nie jest im po drodze.

Ayşe i Saliha wystartowały więc w 2007 roku w wyborach do Meclisu – tureckiego parlamentu. Miały nadzieję, że całej Turcji opowiedzą w ten sposób o swoich problemach.

– Dzieciom z sierocińca wszyscy chcą pomagać – skarżą się. – Ale byłe prostytutki? Ludzie mówią: „To był wasz wybór. Same jesteście sobie winne!". Nikt nie chce wiedzieć, jak było naprawdę! A jak było naprawdę?

Historia Salihy Ermez

Saliha ma ciemne oczy, błękitny T-shirt, a na głowie muzułmańską chustę. Kiedy opowiada o swoim życiu, bardzo dużo płacze. Ale, podkreśla, już od dawna umie płakać i mówić jednocześnie.

Ślub

Urodziłam się w małej wiosce pod Adaną, niedaleko Morza Śródziemnego. Miałam pięcioro rodzeństwa. Kiedy skończyłam jedenaście lat, mama zachorowała. Najpierw przestała jeść. Gdy coś zjadła, natychmiast zwracała. Zaczęła słabnąć. Przestała nas poznawać.

Kiedy zmarła, cały dom spadł na moją głowę. Musiałam sprzątać, gotować i opiekować się rodzeństwem. Robiłam to najlepiej, jak umiałam. Ale tata nie był zadowolony. Wysłał mnie do swojej siostry. Ciotka była zazdrosna, bo wujek próbował mnie dotykać. Odesłali mnie. Tata był wściekły.

Wtedy pojawił się Mohammed. Poznaliśmy się w szpitalu. Kiedy moja mama umierała, jego też leżała chora. Nie podobał mi się specjalnie. Ale myślałam,

że wszystko jest lepsze niż życie z moją rodziną.

Ojciec zgodził się od razu. Wyszłam za mąż w wieku niespełna czternastu lat. Tam, skąd jestem, to nic szczególnego.

Rozwód

W noc po ślubie spaliśmy ze sobą i wszystko było w porządku. Ale rano zaczęły się problemy.

Wstałam o siódmej. Cała rodzina już czekała. Matka męża zaczęła mnie popychać i bić. „Jak możesz spać tak długo?! – krzyczała. – Masz się zajmować domem!".

Próbowałam tłumaczyć, że moja mama zmarła, jak byłam mała. Że nie umiem prowadzić domu, ale będę się uczyć. Żeby tylko dali mi trochę czasu.

Mąż nic nie mówił. Matka to dla Turka świętość. Byliśmy razem siedem lat. Urodziłam mu dwie córki. Przez cały ten czas teściowa bardzo źle mnie traktowała. Mąż trzymał jej stronę. Z czasem zaczęli mnie bić razem.

Kiedy skończyłam dwadzieścia lat, wniosłam pozew o rozwód. Dostałam go bez problemu. Tyle że w tym rejonie Turcji rozwódka jest traktowana gorzej niż prostytutka.

Herbaciarnia

Wróciłam do rodzinnej wioski. Brat wyemigrował do Grecji. Siostra wyszła za mąż, też jako czternastolatka. Ojciec miał nową żonę i uważał, że powinnam wrócić do męża. Że narobiłam mu wstydu.

W centrum każdej wioski w Turcji jest herbaciarnia. Mężczyźni tam siedzą całymi dniami, plotkują, grają w karty, ubijają interesy. Żeby iść do sklepu, musiałam przejść obok tego miejsca. Słyszałam, jak mówią: „Ciekawe, z kim ta dziwka dziś spała". Albo: „Ibrahim, idź z nią zagadaj, na pewno ci da". Śmiali się głośno, cały czas rozmawiali, kto może mnie mieć, a kto na pewno już miał. Musiałam się wyprowadzić.

Sklep

Wyniosłam się do Adany. Myślałam, że w dużym mieście nikt mnie nie będzie znał. Znalazłam pracę w sklepie. Na początku nielegalnie. Pracowałam na kasie. Szło mi dobrze, więc szef chciał podpisać umowę. Wtedy z dokumentów dowiedział się, że jestem rozwódką. Dlaczego piszą w papierach takie rzeczy? Nie wiem.

Szef przeniósł mnie do magazynu. Oficjalnie, żebym nie demoralizowała klientów. Ale chodziło o coś innego.

Praca była dużo cięższa. Musiałam nosić pudła. A szef wykorzystywał każdą okazję, żeby złapać mnie za pośladki. „Jesteś młoda, ładna – mówił. – Można cię jeszcze używać". Nie przeszkadzało mu, że ma żonę i dwójkę dzieci. Też uważał, że skoro się rozwiodłam, każdy może mnie mieć.

Płakałam całe noce. Kiedy kilka tygodni później znajomi poznali mnie z Hasanem, myślałam, że sam Allach przyszedł mi pomóc.

Hasan

Miał eleganckie ubrania. Mówił, że mnie kocha i że jestem piękna. Dziś widzę, że to nie były wielkie komplementy. Ale wtedy po raz pierwszy w życiu słyszałam miłe rzeczy.

Kiedy mu powiedziałam, że szef się do mnie dobiera, poszedł i mu nawrzucał. Powiedział, że więcej nie pójdę do pracy. Że on się o mnie będzie troszczył. Sprawił, że się śmiałam. Całymi dniami, ze szczęścia.

Przyjaciele

Zamieszkałam z Hasanem. Wreszcie czułam się jak pani domu. Nie pracowałam, bo byłam kobietą Hasana. Dla tureckiego mężczyzny to poniżej godności, by jego kobieta pracowała.

Do Hasana codziennie przychodzili przyjaciele. „Świetnie – mówiłam sobie – że mamy tak wielu przyjaciół". Pili dużo alkoholu. Wiem, bo usługiwałam im przy stole. „A niech piją – tłumaczyłam sobie. – To nie w zgodzie z naszą religią, ale nie robią burd, nie biją się".

Hasan i jego przyjaciele palili dziwne papierosy. Nie wiedziałam, co to jest. Hasan kazał mi zapalić. Posłuszeństwo w rodzinie jest bardzo ważne. Zapaliłam, nic się nie stało, więc zaczęłam palić częściej. Jakoś lepiej się czułam po tych papierosach.

Przyjaciele Hasana przychodzili z kobietami. Myślałam, że to ich żony. Śmieszyło mnie, że są tak dziwnie poubierane. Buty na wysokim obcasie. Złote, bardzo krótkie spódnice. Dziwnie spięte włosy.

Hasan powiedział, że tak się noszą ludzie w miastach. Nie znałam wielkich miast, więc mu wierzyłam.

Dziś widzę, jaka byłam naiwna. Ale tak chciałam, żeby Hasan naprawdę był dobrym człowiekiem. Byłam w stanie wmówić sobie wszystko, żeby nie przerywać tego snu.

Sen przerwał Hasan, gdy któregoś wieczora kazał mi iść do łóżka z jednym ze swoich przyjaciół. Gdy odmówiłam, wybił mi zęby.

Spódnica

Zrozumiałam, że przyjaciele Hasana powoli mnie urabiali. Niestety, było już za późno.

Najpierw nauczyli mnie pić alkohol. Później brać narkotyki. Jeszcze później się od tych narkotyków uzależniłam.

Ale przede wszystkim Hasan całkowicie wyrwał mnie z otoczenia. Nie miałam pracy, rodziny, przyjaciół. Kiedy przyjaciel Hasana mnie zgwałcił, nie miałam gdzie uciec. Nawet nie miałam siły uciekać. Zaczęli sobie pozwalać na więcej i więcej. W końcu ubrali mnie w krótką złotą spódnicę, dziwnie spięli włosy i zawieźli do Kayseri na spotkanie takie jak te w naszym domu.

Narkotyki

Zamknęli mnie w domu publicznym w obcym mieście. Jak nie chciałam pracować – bili. Albo nie dawali narkotyków. Wiesz, jak wyje pies? Ja wyłam sto razy bardziej.

Pracowałam tak ponad jedenaście lat. Udało mi się uciec dopiero rok temu. O tych jedenastu latach nie potrafię jeszcze opowiadać. Ale mogę opowiedzieć, jak uciekłam.

Elegancki pan

Pierwszy raz uciekłam po miesiącu. Chodziłam po ulicy i szukałam kogoś godnego zaufania. Patrzę, a tu idzie bardzo elegancki pan. Podeszłam i mówię, że właśnie uciekłam z domu publicznego. Że mnie bili, gwałcili. Elegancki pan bardzo się uniósł. „Wracaj, gdzie twoje miejsce, dziwko!" – wrzasnął. Wróciłam.

Wozili mnie po całej Turcji. Antalya, Malatya, Konya, Mersin. Już nie pamiętam wszystkich miast. Dzięki temu szefowie tych miejsc mieli co dwa tygodnie nowe dziewczyny. I nie musieli płacić za nas żadnych składek, bo nigdzie nie pracowałyśmy nawet miesiąca.

Kiedyś zawieźli mnie do Antalyi. Miał być jeden mężczyzna, a było sześciu. Przystawili mi pistolet do głowy. Opowiedziałam o tym swoim opiekunom. Śmiali się.

Niedługo potem ktoś zabił dziewczynę, z którą pracowałam. Znów uciekłam. Pomógł mi pewien żołnierz. Wywiózł mnie w góry do swojej rodziny. Znaleźli mnie, zbili do nieprzytomności. Powiedzieli, że jeśli jeszcze raz ucieknę, zabiją.

Operacja

W 2005 roku miałam operację. Kobiece sprawy. Po operacji przyszedł lekarz i pyta mnie z pretensją: „Dlaczego pani nie chce mieć dzieci?!". Ja na to: „Jak to nie chcę?". „No, przecież pani sobie przecięła jajowody?!".

Wmurowało mnie. Okazało się, że taniej wychodziło przeciąć, niż płacić co jakiś czas za aborcję. Nic mi nie powiedzieli. Wszystkim dziewczynom zrobili to samo.

Wtedy postanowiłam, że albo ucieknę, albo umrę.

Supermarket

Uczepiłam się pierwszej szansy. To był młody chłopak, chyba się we mnie podkochiwał. Płacił więcej, żeby tylko ze mną być i rozmawiać.

„W twoich oczach widać ból" – powiedział. Rozkleiłam się. Opowiedziałam mu wszystko. Obiecał, że mnie wyciągnie.

Mamy w Turcji taki program telewizyjny – dziennikarze interweniują w trudnych przypadkach. Zadzwonił do nich.

Kilka tygodni później przyszedł do mnie dziennikarz. Udawał klienta. Był obwieszony kamerami. W reklamówce przyniósł umowę, którą podpisałam. Napisane było, że nie mogą zagwarantować mi bezpieczeństwa. Zapytał, czy wiem, że mogę zginąć. Powiedziałam, że wolę zginąć, niż dalej tak żyć. On powiedział, że muszą nagrać moją próbę ucieczki. Następnego dnia poprosiłam szefa, żeby puścił mnie na zakupy. Jako obstawę dał mi faceta, który wcześniej zabił trójkę ludzi. W supermarkecie zaczęłam mu uciekać. Złapał mnie przy kasie, uderzył w twarz, zarzucił na plecy – i do samochodu.

Kiedy podjeżdżaliśmy pod dom publiczny, już tam były telewizja i policja.

Próbował sforsować ten kordon. Nie udało mu się.

Była wiosna 2006 roku. Byłam wolna. Czułam się jak ptak, któremu otworzyli klatkę, ale który już nie ma siły latać.

Zdjęcia

Saliha pokazuje w telefonie zdjęcia córek. Potem zdjęcie ojca. To wszystko, co jej zostało po najbliższych. Dziś nikt się do niej nie odzywa. Próbują o niej zapomnieć, jakby nigdy nie żyła.

Kandyduje do parlamentu między innymi po to, żeby odzyskać godność. Żeby pokazać bliskim, że wciąż jest coś warta.

Chusta

Razem z telewizją czekała na mnie młodsza córka. Miała dla mnie prezent – chustę, jaką noszą religijne kobiety. W domu publicznym reklamowali mnie jako dziewczynę z najpiękniejszymi włosami. Miałam długie, do pasa. *Saliha wyjmuje z portfela swoje zdjęcie z tamtych czasów. Kruczoczarne włosy szpeci kilka rudych pasemek. Mimo to wyglądają przepięknie*.

Córka nałożyła mi chustę i powiedziała: „Noś ją. Żeby już nikt nie brudził twoich pięknych włosów".

Grecja

Starszy brat mieszka w Grecji. Kiedy był w pracy, żona nagrała mu program o odbiciu mnie. „Znasz tę kobietę?" – zapytała. „Nie znam" – powiedział i wyszedł.

Kiedy wrócił, tłumaczyła mu, że nie ucieknie od tego. I że musi mi pomóc. Zaprosili mnie, ale nie dostałam wizy. Wydawało mi się, że w Grecji czeka lepsze życie. Postanowiłam tam dotrzeć, za wszelką cenę. Przeszłam nielegalnie granicę. Do brata dojechałam autostopem. Okazało się, że on sam jest w nieciekawej sytuacji. Nie ma pracy, rosną mu długi. Bez przerwy miał o coś pretensje.

Dwadzieścia euro na bilet powrotny dała mi jego żona. Na granicy celnik wlepił mi sześćset euro mandatu, bo nie miałam stempla wjazdowego. Nie wiem, z czego to zapłacę.

Kuzyn

Wróciłam do Adany, rodzinnego miasta. Zamieszkałam u przyrodniego brata. Bardzo miło mnie przyjął. Zbyt miło. Za dużo przeszłam, żeby nie być ostrożna.

Brat zapraszał mnie na kolacje. Mówił, że trzeba mi znaleźć mężczyznę. Że muszę się pokazywać między ludźmi.

W tym czasie dzwonił po wszystkich sutenerach w mieście i próbował mnie sprzedać. Chciał za mnie miliard starych lir.

Pięćdziesiąt tysięcy euro. Potem zszedł na jedną trzecią tej ceny. Potem do tysiąca dolarów.

W Adanie mnie nie chcieli. Wiedzieli, że zakryłam głowę. Kobieta w chuście budzi szacunek, a nie pożądanie. Wtedy zaczął dzwonić po innych miastach. Któregoś dnia zatelefonował obcy człowiek. Przedstawił się jako „przyjaciel

rodziny”: „Powiedz bratu, żeby mi nie zawracał głowy. Ja cię naprawdę nie chcę! Powiedz, żeby przestał dzwonić!”.

Córki

Starsza córka ma dziś dwadzieścia lat. Chciała zostać policjantką. Musiałam jej sama powiedzieć o swojej przeszłości. Inaczej dowiedziałaby się od kogoś innego.

Od tamtej pory nie chce mnie znać. Jej chłopak zerwał z nią z mojego powodu. Do policji też jej nie przyjęli. Mieszka ze swoim ojcem. Mówi o mnie „ta kobieta”.

Najgorzej, że podburzyła drugą córkę. Ta była dla mnie prawdziwym oparciem. Ale dziś też nie chce mnie znać.

Ostatnio napisała SMS-a: „Mówią o mnie, że wyszłam z łona dziwki. Gdybym była tobą, wolałabym nie żyć”.

Ayşe i Saliha przez cały czas trzymają się za ręce. Łzy lecą im po policzkach, nie szukając już sposobów, by ominąć piegi albo dołeczki. Kapią, jedna za drugą, na chustę, na stolik, na filiżankę. Kiedy Saliha mówi o córkach, Ayşe przytula ją z całej siły.

– Już dobrze, kochana – mówi. – Nie musisz mówić już nic więcej. Teraz kolej na mnie.

Historia Ayşe Türkükçü:

Ayşe ma włosy ufarbowane na rudo, w nosie zadziorny kolczyk, a wokół niego – kilkanaście piegów. Mówi pewnie, ale przez cały czas trzyma na rękach Cennet – lalkę o wyglądzie niemowlęcia.

Nie lubię takich rozmów. Musiałbyś mnie rozkroić, żeby wiedzieć, co mam w środku. Co mam w głowie, oczach, sercu. W innym wypadku nigdy mnie nie zrozumiesz. Ale cóż. Spróbujmy.

Papiery

Naszym największym problemem jest to, że przeszłość się za nami ciągnie. Zobacz, tu mam papiery. Świadectwa pracy z burdeli w Mersin, Adanie, Gaziantep. Za każde musiałam zapłacić po sto dolarów. Potrzebuję ich, żeby się starać o jakąkolwiek pracę. Ale jeśli się staram o pracę i przychodzę z takim papierem, to kto mi ją da?

Wszyscy Turcy chodzą do burdeli. Ale żaden nie zatrudni byłej prostytutki.

Spójrz na to zdjęcie na ścianie. Ta kobieta była prostytutką przez czterdzieści lat. Dom publiczny płacił jej na emeryturę tylko przez trzy. Na starość musiała zbierać odpadki na śmietnikach.

Nawet z miejscem na cmentarzu jest problem. Najgorsze jest to, że prostytucja jest w Turcji legalna. Że kiedy uciekasz, policja cię odwozi do domu publicznego. Nawet nie słuchają, że ktoś cię bił i gwałcił. Wieczorem ci sami policjanci przychodzą jako twoi klienci. Za to, że cię znaleźli, dostają zniżkę od szefa.

Szklanka

Urodziłam się niedaleko Gaziantep. Wokół miasta są piękne, zielone gaje

pistacjowe.

Kiedy miałam dwa lata, rodzice wyjechali do Niemiec. Zostałam z babcią. Wzięli mnie do siebie, dopiero gdy skończyłam siedem lat.

Po tylu latach ojciec i matka to dla mnie byli obcy ludzie. Pierwszego dnia po tym, jak przyjechałam, ojciec był w pracy. Matka mówi: „Przygotujemy dla niego jedzenie". Wrócił, nic do mnie nie powiedział. Spróbował zupy, wziął obrus za dwa rogi i wszystko wywalił na podłogę. Bo za tłuste.

Zbił matkę, matka ciotkę, a ciotka mnie. Matka nas biła, nawet jak się popsuła pralka albo stłukła szklanka.

Ojciec był alkoholikiem. Brat już wtedy leczył się psychiatrycznie.

Nóż

Moja babcia nie umiała czytać ani pisać. Dwa lata później nagrała więc kasetę i wysłała mojemu ojcu. Prosiła, żeby mnie do niej wysłał. Żebym się nią zaopiekowała na starość.

W Niemczech stał jeszcze mur berliński. W Turcji w mojej rodzinnej wsi nikt nie miał telewizora.

Miałam dziewięć lat. Wujek był taksówkarzem w Antalyi, wielkim kurorcie nad Morzem Śródziemnym. Powiedział babci, że mu się przydam. Wziął mnie i swoją córkę, żebyśmy mu gotowały.

Po kilku dniach obudziłam się w nocy zlana potem. Coś mi łaziło po nogach! Myślałam, że to myszy. Ale to nie były myszy. To była ręka wujka. Zaczęłam krzyczeć. Wtedy wbił mi nóż w plecy. *Ayşe odgina bluzkę i pokazuje bliznę: nóż wujka wbił się tuż pod lewą łopatką*.

Tam był drewniany parkiet. Od tamtej pory nienawidzę drewnianych parkietów. Trzy i pół miesiąca noc w noc mnie dotykał. Swojej córce kazał na to patrzeć. Groził, że jeśli komuś powiem, zrobi mi coś gorszego.

Słonecznik

Kiedy sezon się skończył, wróciliśmy do Gaziantep. Bałam się wszystkiego. Goście przychodzili do domu, a ja uciekałam. Szczególnie od mężczyzn.

Babcia pytała o bliznę. Nie odpowiedziałam. Powiedziałam tylko, że chcę jechać do ciotki w góry.

Babcia była mądrą kobietą. Nie protestowała. Przygotowała mi jedzenie. Dostałam bardzo duży słonecznik. Największy, jaki widziałam w życiu.

A ja przez całe życie mam tak, że jak już jestem na prostej – zawsze zrobię coś głupiego. Zaczęłam łuskać słonecznik, zagapiłam się i autobus odjechał. Ktoś powiedział, że mogę jechać następnym. Wsiadłam i trafiłam do Izmiru. Czterysta kilometrów od domu. Wydawało mi się, że za daleko jadę. Ale ktoś mi dał obwarzanka, ktoś inny coś do mnie mówił. Było miło, więc jechałam dalej.

W Izmirze trafiłam na policję. Policjanci też byli sympatyczni. Komendant zabrał mnie na noc do domu. Dostałam zupę, pobawiłam się z jego żoną. Byłam u nich

ponad tydzień i miałam nadzieję, że już tam zostanę.

Ale któregoś dnia w komisariacie czekał na mnie wujek z żoną. Gdy ich zobaczyłam, nie miało dla mnie znaczenia, czy umarłam, czy jeszcze żyję.

Golf

Wujek wysłał mnie z powrotem do Niemiec. Mówił ojcu, że nie da się ze mną wytrzymać. Ojciec na dzień dobry zbił mnie tak, że przez tydzień nie mogłam siadać. Bo przypaliłam ryż.

Było lato, gorąco, a ja do szkoły poszłam w golfie. Nauczycielka zaczęła coś podejrzewać. Poszła za mną do toalety, odgięła golf – a ja mam całe ciało w siniakach. Zrobili obdukcję i wytoczyli ojcu sprawę w sądzie.

Trafiłam do schroniska. Cztery lata w schronisku dla młodzieży to najlepsze lata mojego życia.

Paznokieć

Dopiero po czterech latach matka przyszła mnie odwiedzić. Rodzina nie chciała mnie znać. Mówili na mnie *kara kız*, czarna dziewczyna. Przynosząca wstyd.

Matka powiedziała, że wyjeżdżają do Turcji. I że mam tydzień na decyzję, czy z nimi jadę, czy nie. Miała rozbitą głowę.

Pierwsza myśl? Zostaję! Widziałam w telewizji, że w Turcji były rządy wojskowych. Nie chciałam tam jechać. Ale wtedy zostałabym całkiem sama. Ja i rodzina to jak palec i paznokieć. Niby oddzielnie, ale jedno.

Do Turcji w końcu nie pojechaliśmy. A ojciec nauczył się bić tak, żeby nie było widać. Uciekłam. Rok mieszkałam na ulicy.

W tym czasie córkę wujka, Sengül – tę samą, z którą spałam w jednym pokoju – chcieli wydać za mojego chorego psychicznie brata. Lekarz powiedział, że małżeństwo mogłoby mu pomóc. Nie było innej kandydatki, więc chcieli go wydać za cioteczną siostrę.

Tyle że ona nie dostała wizy.

– Jedź i ją przywieź, a wszystko ci wybaczę – powiedział mi ojciec. Chciałam zapytać, kto komu ma coś do wybaczenia. Ugryzłam się jednak w język.

Śliwki

Pojechałam do Turcji. Bardzo chciałam mieć rodzinę. Taką prawdziwą. Poznałam chłopca, miał na imię Hasan. Ani ładny, ani brzydki. Ważne dla mnie było to, że u niego wszyscy się do wszystkich odnosili z szacunkiem.

Parę tygodni po ślubie zaszłam w ciążę.

Teściowa mnie nie lubiła. Któregoś dnia zachciało mi się zielonych śliwek. W Turcji to przysmak. Byłam już w piątym miesiącu, taka ciążowa zachcianka. Teściowa powiedziała, że żadnej śliwki nie dostanę. Ja na to, że wszystko powiem mężowi. Zaczęłyśmy się kłócić. Jej drugi syn stanął za matką. Popchnął mnie tak, że spadłam ze schodów.

Leżałam trzy godziny. Lał straszny deszcz. Dopiero pod wieczór przyjaciółka

zaniosła mnie do toalety. Tam czułam, że wypływa ze mnie coś dużego.

Rano okazało się, że to chłopiec.

Mąż nie stanął po mojej stronie. Powiedziałam mu, że przez niego każdy się teraz może wysikać na nasze dziecko. I wystąpiłam o rozwód.

Krawiec

W Gaziantep poznałam pewnego krawca. Zakochał się we mnie. Tak przynajmniej mówił. W życiu nie widziałam, żeby ktoś tak źle szył. „Jak on się może z tego utrzymać?" – myślałam.

Potem okazało się, że krawiec był mistrzem w krojeniu ludzi.

Wzięliśmy ślub religijny, przed imamem. Na cywilny mieliśmy parę miesięcy poczekać. Jednak krawiec miał inne plany. Byłam młoda, ładna i zupełnie sama. Idealna, żeby mnie sprzedać do burdelu. Zwłaszcza że ślub religijny ani na policji, ani w żadnym urzędzie nie ma najmniejszego znaczenia.

Krawiec nie mógł jednak wejść z ulicy i powiedzieć: „To moja żona, dajcie mi pieniądze". Musiał załatwić sprawę formalnie.

Zaczął od zaświadczenia z policji, że jestem dziwką. Jak je dostał? Bardzo sprytnie. Kazał mi się ubrać w mini i wymalować. „Kochanie – ja na to – wiesz, że to małe miasto. Zaczną mnie obgadywać".

Uparł się jednak. W Turcji z mężczyzną się nie dyskutuje.

Po drodze uprawialiśmy seks w samochodzie. Kilkanaście minut później kazał mi zaczekać na stacji benzynowej. „Wyjdź z auta" – powiedział. Próbowałam dyskutować, ale nie dało się. Wyszłam, czekałam, a on w tym czasie zadzwonił na policję, że na stacji stoi dziwka. Przyjechali, zabrali mnie. Zrobili badania, z których wynikło, że jestem świeżo po stosunku.

W sądzie jego przyjaciel zeznał, że też płacił mi za seks. Sąd skazał mnie na dwadzieścia trzy dni więzienia. Policja dała mężowi zaświadczenie, z którego wynikało, że Ayşe Türkükçü jest prostytutką.

Myślałam, że cała ta historia to pomyłka. Nie słyszałam zeznań świadków, nikt mnie nie zabrał na salę przesłuchań. Zresztą, nawet gdybym słyszała, nie rozumiałabym. Całe życie mieszkałam w Niemczech, turecki znałam wtedy bardzo słabo. W dodatku mój krawiec mieszał mi w głowie, bo przychodził do więzienia i mówił, że mnie kocha.

Gdy wyszłam, dał mi do podpisania papier z policji. Powiedział, że to do cywilniaka, więc nawet nie czytałam. Chciałam jak najszybciej być wolna.

Podpisałam, że zgadzam się pracować w domu publicznym w Gaziantep. Z tym papierkiem mógł mnie już sprzedać.

Akwarium

Dzień po wyjściu z więzienia krawiec zawiózł mnie w dziwne miejsce. Przy wejściu było wielkie akwarium, a na schodach stały dziewczyny w dziwnych pozach.

Usiedliśmy przy stoliku i krawiec powiedział, że musi mnie tu na kilka miesięcy

zostawić. Że popracuję, a potem weźmiemy ślub, jak planowaliśmy.

„Co ty sobie wyobrażasz?!” – krzyknęłam i chciałam wyjść. Wtedy mnie zbił. „Pamiętaj tylko, że z nikim nie masz się tak kochać jak ze mną!” – rzucił na odchodne.

To był wielki dom publiczny, największy w mieście. W drzwiach stał policjant i sprawdzał, czy klient ma osiemnaście lat. Po pracy sam przychodził. Była droga dla ambulansu, kuchnia i wielki bar.

Krawiec wziął za mnie półtora tysiąca dolarów.

Papieros

Uparłam się. Powiedziałam, że nie będę pracować. Facet, który stał w drzwiach, strasznie mnie zbił. Potem mnie zgwałcili. Nie dawali jeść ani pić. Może wytrzymałabym dłużej, gdyby pozwolili choć na papierosa.

Nie pozwolili. Zaczęłam pracować po dziesięciu dniach.

W Turcji prostytucja jest legalna. Podobno to pomaga chronić kobiety. Może i tak jest, ale nikt tego nie kontroluje! Wtedy jeszcze nie używało się prezerwatyw. Lekarza widziałam co kilka lat, bo miał układ z szefem i podpisywał nasze książeczki zdrowia bez badań, hurtem. Pan doktor pojawiał się tylko, gdy trzeba było zrobić skrobankę. Po skrobance na kilka dni dostawało się czerwoną opaskę. To znaczyło, że masz prawo nie pracować.

W inne dni opaska była czarna. Wtedy musiałam obsłużyć trzydziestu. Ale jeśliby przyszedł trzydziesty pierwszy, nie było zlituj.

Jak krwawiłam, dawali mi tampony. Któregoś dnia nie dojechały dziewczyny z innego miasta. Musiałam obsłużyć siedemdziesięciu sześciu mężczyzn. Przychodzili wszyscy. Policjanci, urzędnicy, nawet śmieciarze. Dwóch mężczyzn zmarło w moim łóżku na serce.

Siekiera

Widok, który zapamiętam do końca życia, to Özlam i jej odcięta głowa. Do burdelu sprzedał ją brat.

Özlam zaszła w ciążę. Uparła się, że urodzi. Alfons zadzwonił do jej brata, żeby mu oddał pieniądze.

Brat się strasznie zdenerwował. Przyszedł z siekierą. Kiedy weszłam do salonu, Özlam leżała na kanapie, a jej głowa pół metra dalej.

Tort

Oglądamy film sprzed kilkunastu lat. Na krzesełkach siedzi parenaście kobiet. Ufryzowane, wystrojone, nienaturalne. Kolejne ujęcie. Panna młoda w białej sukni siedzi obok pana młodego. Ten ma na głowie szopę z czarnych, pofalowanych włosów.

Kolejne: panna młoda kroi wielki tort. Ktoś próbuje tańczyć, ale wygląda to absurdalnie.

To było moje trzecie wesele. Wesele marzeń. Miałam orkiestrę, czterometrowy

tort z parą młodą na górze, druhnę. Taki tort widziałam jako dziecko na ślubie swojej kuzynki.

Nie było tylko dzieci, które normalnie noszą welon. I nikogo z rodziny.

Narzeczony miał na imię Mahmut. Był moim klientem. Przychodził i przychodził, aż się oświadczył. W burdelu powiedzieli, że mogę odejść, jeśli spłacę dług. To działa tak, że od wypłaty odejmują ci za jedzenie, spanie, pranie, prąd. I pod koniec miesiąca okazywało się, że nie są mi nic winni. Zapłaciłam im tyle, że można było za to kupić mieszkanie i dobre auto. Rozłożyli mi na raty. Kilka lat spłacałam. Ale byłam wolna!

Telewizor

Nasz ślub pokazywały wszystkie telewizje. „Ayşe i Mahmut – para z domu publicznego" – pisały gazety.

Kiedy wychodzisz z takiego miejsca, musisz się uczyć żyć od początku. Zapomnieć o aborcjach i krwawieniu. Przypomnieć sobie, jak się gotuje i sprząta.

Mahmut nie okazał się dobrym mężem. Całymi dniami oglądał telewizję. Miałam wrażenie, że to telewizor jest jego żoną, a nie ja.

Po miesiącu po raz pierwszy mnie pobił. Nie czekałam, aż znowu to zrobi. Uciekłam.

Cennet

Cennet, imię lalki, to po turecku niebo. Ayşe bierze ją na kolana, głaszcze po głowie i całuje w rękę. Potem zawiązuje jej na głowie chusteczkę. Nie, nie zachowuje się jak wariatka, która wierzy, że ta lalka jest jej dzieckiem. Ale Cennet jest dla niej symbolem wszystkich dzieci, które mogła mieć. Na każdym zdjęciu, w każdej gazecie Ayşe chce być z Cennet.

„Nieważne, co się z tobą dzieje. I tak skończysz pod ziemią. Kiedyś na tym miejscu zakwitną kwiaty, a drzewa wydadzą owoce" – *napisała Ayşe w wierszu, który zamieściła na swojej ulotce wyborczej*.

– Najtrudniej jest mi zamknąć oczy – mówi, gdy spotykamy się już po wyborach. – Wszystko wraca we śnie. Najgorsze, że znów mam za dużo czasu. Skończyły się wywiady, kampania. Znów siedzę sama w domu i wszystko mi się przypomina. Znów mam tylko Cennet.

Epilog

Ayşe i Saliha uzyskały łącznie niecałe tysiąc głosów. Mało. Nie wystarczyło to, by wejść do parlamentu.

Jednak ich historie pojawiły się w wielu gazetach i telewizjach. Wywołały debatę. Prasa zaczęła wzywać do większej kontroli domów publicznych. „Ich historie zawstydziły mnie. Zawstydziły całą Turcję" – napisał znany publicysta. „Nie możemy brać od tych pań podatku, a gdy są w biedzie, zostawiać ich na pastwę losu" – napisał inny. „Podobno dla Turka kobieta to świętość. Więc pytam: gdzie są

klienci domów publicznych, gdy byłe prostytutki umierają z głodu? Czy im szacunek się nie należy?” – konkludował kolejny.

W Turcji sprzedaż kobiet – żon, sióstr, koleżanek – to poważna plaga. Badania prowadzone w milionowym Diyarbakırze wykazały, że w ciągu roku tylko w tym mieście utrzymuje się z tego co najmniej czterysta rodzin.

Czyściec Stambułu

Wstają, gdy miasto jeszcze się bawi. Wkładają granatowe spodnie, buty traperki i T-shirty z emblematem miasta, które ich zatrudnia. Biorą zestawy do ratowania życia, podstawowe leki, ciepłe ubrania.

Biorą też zapas dużych plastikowych worków.

Terenowa honda zawozi ich na plaże. Przeczesują je metr po metrze. Najpierw te najbardziej uczęszczane. Potem te mniej. Te nieuczęszczane – jeśli starczy czasu. Szukają resztek łodzi, butów, swetrów, plecaków, czapek, wywróconych do góry dnem pontonów, zamokłych koców, dokumentów, paszportów, dziecięcych bucików. Wszystkiego, co mogłoby wyrzucić morze. Ale przede wszystkim szukają ciał.

– Pięć lat temu na plaży, zaraz koło luksusowych hoteli, morze wyrzuciło dwóch Afrykańczyków. Znaleźli ich turyści – mówi Kazım, mężczyzna w granatowych spodniach i butach traperkach. – Turyści nie lubią znajdować trupów. Anglicy, Niemcy czy Polacy przyjeżdżają tu wypocząć i dużo płacą. Musimy posprzątać, zanim oni wstaną.

Promocja

Siedzimy w małej kawiarni w bazarowej części Stambułu. Pół kilometra od nas jest słynny Topkapı – pałac sułtanów. Dzień w dzień tysiące turystów patrzą, gdzie ten szczęściarz sułtan jadał, gdzie sypiał, a gdzie był harem pełen pięknych kobiet.

Ale te sprawy nie dotyczą Mahmuda, Irakijczyka z siwiejącą brodą i palcami żółtymi od papierosów. Pali co pięć minut, jak w zegarku. Papierosa dopala, aż filtr zacznie go parzyć w palce.

Pięć lat temu pracował jako tłumacz dla Amerykanów, aż ich wrogowie wydali na niego wyrok śmierci. Amerykanie pomóc nie chcieli albo nie mogli.

– Jest program pomocy byłym tłumaczom, ale chyba tylko Allach wie, dlaczego mnie nie objął – mówi. – Dwóch moich kolegów zginęło. Nie było na co czekać. Wziąłem żonę, pięcioletnią córeczkę, i uciekliśmy.

Oruç Ulusoy, prawnik z Izmiru, który pomaga imigrantom, ostrzega mnie: – Niech pan nie wierzy w ich historie. Nie mówią prawdy. Prawda jest dla nich zbyt niebezpieczna.

Ale Mahmudowi wiarygodności dodaje świetny brytyjski akcent. Mówi, że kuzyn z Niemiec wysłał mu tysiąc euro. Rodzina w Iraku uzbierała drugie tyle. Wystarczyło, żeby dojechać tirem do Stambułu.

– Żonę i dziecko wysłałem do Grecji – mówi. – Pierwszą łódź zawróciła straż przybrzeżna. Druga nabierała wody; ledwo dali radę wrócić do brzegu.

Jeśli wierzyć Mahmudowi, udało się za trzecim razem.

– Dobrze, że się udało, bo *kaçakçı*, czyli przemytnik, bierze kasę za trzy próby. Taka promocja jak w supermarkecie. Ale jeśli nie dopłyniesz za trzecim razem, zbierasz od początku – mówi Mahmud.

Żona jest już w Monachium. Mahmud utknął w Stambule. Zna tu wszystkich: od drobnych cwaniaczków, przez alfonsów, po przemytników. Dzięki niemu mogę się dowiedzieć bardzo dużo.

Mahmud musi uzbierać dwa tysiące euro. Uczy angielskiego. Pomaga sprzedawać kradzione paszporty. Nagania przemytnikom klientów. Kokosów nie zarabia, ale jak dobrze pójdzie, za rok będzie w Niemczech. Pieniądze – to dziś dla Mahmuda najważniejsze. Więc kiedy mówię: „Chcę, żebyś mi pomógł znaleźć Yusufa", Mahmud nie pyta, kim jest Yusuf ani dlaczego go szukam. Pyta tylko: „Ile mi zapłacisz?".

Zapłacić mu nie mogę. Rozkłada więc ręce, gasi wypalonego aż po filtr papierosa i idzie w swoją stronę.

Most

Są dwa Stambuły.

Pierwszy należy do turystów, pięciogwiazdkowych hoteli i imprezowiczów. Orhan Pamuk szuka w nim źródeł swojej nostalgii, a obwieszeni aparatami Japończycy fotografują każdy jego milimetr. Rocznie przyjeżdża tu ponad dziesięć milionów ludzi z aparatami. Do całej Turcji – ponad trzydzieści. Prawie dziesięć procent tureckiego budżetu pochodzi z ich kieszeni.

Ale nie tylko turyści uwielbiają Turcję. W ostatnich latach była rajem dla biznesmenów, których przyciągnął ponad siedmioprocentowy wzrost gospodarczy. I dla polityków, którzy dostrzegają jej próby godzenia Europy i Azji.

O tym Stambule i o takiej Turcji wąsaty premier Erdoğan mawia, że jest mostem między Wschodem a Zachodem.

Ale prawdziwy most to dzisiaj drugi Stambuł. Żeby go zobaczyć, trzeba zejść z turystycznego deptaka w boczne ulice i wyostrzyć wzrok.

Wtedy można dostrzec Afrykańczyków, którzy resztką sił ciągną wózki wyładowane metalem. Chińczyków, którzy gdzieś w piwnicy kroją ogórki do kebabów. Hindusów, którzy sprzedają podróbki perfum i którym wory pod oczami przykleiły się do twarzy na stałe. Znoszą to psie życie, bo marzą o Europie. Wierzą, że nasze bogactwo – a z ich perspektywy Polska też jest superbogatym krajem – jest lekarstwem na ich problemy.

Ci ludzie utknęli na moście, o którym mówi turecki premier. Ilu ich tu mieszka – nikt nawet nie próbuje liczyć. Naukowcy spekulują, że każdego roku przez czyściec Stambułu przechodzi od pół do nawet dwóch milionów imigrantów.

„Pracowaliśmy w fabryce po szesnaście godzin – tego uciekiniera z Chin

cytowała stambulska prasa. – Właściciel dał nam nocleg w budzie za zakładem. Na osiemnaście osób mieliśmy cztery łóżka i jedno krzesło. Po trzech miesiącach wygonił nas i nie zapłacił. Ale najgorsze nie jest to, że nie zapłacił, tylko to, że od tej pory mieszkamy na wysypisku śmieci".

Yusuf

Yusufa poznałem siedem lat temu w stambulskim hoteliku klasy C. Miał tyle lat co ja, długie włosy zaczesane w kitę i brodę, z którą wyglądał jak arabska wersja Ryśka Riedla. Miał też jedno marzenie: dotrzeć do Europy.

Przyjechał z Libii (wiza turystyczna do Syrii; stamtąd – z przemytnikami). Dziwiło mnie to, bo z Libii do Włoch też pływają przemytnicy. Taniej by mu wyszło.

– Boję się wody – powiedział ze wstydem Yusuf.

Było się czego wstydzić. Powinien wsiąść na pierwszą łódkę, tłumaczył, i albo umrzeć, albo dopłynąć. Zamiast tego tracił czas i pieniądze swojego ojca.

Za rodzinę dałby sobie odciąć dłoń.

– Ale musiałem wyjechać – podkreślał wpatrzony w dzielący Europę i Azję Bosfor. – Żeby mieć żonę, musisz ją utrzymać. Ja w Libii byłem nauczycielem. Nie mogłem utrzymać nawet sam siebie.

Jednak Yusuf nie umiał zbyt długo być poważny. Zaraz zmieniał temat. Wypytywał o polskie dziewczyny, filmy, zarobki.

Cokolwiek odpowiedziałem, oczy zapalały mu się jak lampy statków na Bosforze. Potem liczył, ile musiałby pracować w swoim kraju, żeby mieć polską pensję, i gwizdał z uznaniem.

Strasznie dobrym kolegą był ten mój Yusuf. Jak skończyły mu się pieniądze, właściciel hotelu zaproponował mu pracę na nocną zmianę. Przy każdej wizycie w Stambule wpadałem tam na kawę.

– Stambuł to niesamowite miasto – mówił. – Znajdziesz tu takich, co podzielą się z tobą skórką od chleba, i takich, co ci wytną nerkę i zostawią w kanale.

Szukał tych pierwszych. Mam nadzieję, że znalazł, bo rok temu przysłał mi e-mail: „Uczę się pływać:-)".

Zapytałem: „Jedziesz dalej?" Znów: „:-)".

Potem już się nie odezwał. Z hoteliku klasy C, w którym pracował prawie siedem lat, któregoś dnia po prostu wyszedł.

Mahmud

Dwa dni po rozmowie z Mahmudem budzi mnie recepcjonista. W holu czeka Abdullah, drobny cwaniaczek, który kilka dni wcześniej próbował mi sprzedać grudkę haszyszu. Ma wiadomość od Mahmuda: „Spotkajmy się w południe; ta sama kawiarnia, co ostatnio".

Przychodzę kwadrans przed czasem.

– Jaki nakład ma twoja gazeta? – pyta Mahmud.

– Pół miliona.

Mahmud szybko coś sobie liczy.

– Pomogę ci – mówi wreszcie. – Ale ty też będziesz musiał zrobić coś dla mnie. Co? Dowiesz się w swoim czasie. A teraz idziemy zwiedzić miasto.

Dopijamy więc kawę i ruszamy. Zaczynamy od Eminönü – przystani promowej, z której za półtorej liry (czyli trzy złote) można popłynąć na drugą stronę Bosforu, do Azji. Stoi tu meczet Yeni Cami. Za nim zaczyna się targ. Przed nim – plac.

– Złodzieje z tego placu specjalizują się w paszportach – mówi Mahmud.

Potem tłumaczy, że rynek paszportów jest kapryśny jak turecka giełda. Polski jeszcze pięć lat temu wart był tyle co tadżycki, czyli nic. Ale weszliśmy do Unii, potem do Schengen. I dziś za książeczkę z orzełkiem imigranci muszą zapłacić tysiąc, a nawet półtora tysiąca dolarów.

Najdroższe są paszporty niemieckie i włoskie – ponad dwa tysiące. Całkiem nieźle sprzedają się też irańskie. Są łatwo dostępne – bo Iran jest sąsiadem Turcji – a dają wjazd do Bośni. Z Bośni do Włoch można kamieniem dorzucić. A we Włoszech każdy Libijczyk ma krewnych albo znajomych.

– O, teraz popatrz! – Mahmud pokazuje mi siwego mężczyznę, na oko Amerykanina, wokół którego nagle robi się gęsto od ludzi. – Kurdowie robią kocioł – mówi Mahmud. – Są mistrzami. Potrafią ci wyciągnąć paszport nawet z majtek. – I choć tym razem Amerykaninowi chyba się upiekło, Mahmud i tak z podziwem kiwa głową.

Dwa dni później dwóch Kurdów próbuje oskubać także mnie – tym razem z gotówki. Z fotografem i tłumaczką łapiemy jednego z nich i dostarczamy policji. Siedzę pół dnia w komisariacie, by złożyć zeznania. W tym czasie kradzież paszportu zgłasza tu osiem osób. Kolejne szesnaście zjawia się w biurze policji turystycznej. Jednego dnia tylko wokół placu Eminönü zginęły paszporty holenderskie, australijskie, niemieckie i jeden norweski.

– Złodziej często ma zamówienie na konkretny paszport – opowiada jeden z oficerów. – Bywa, że chodzi za turystą dzień albo i dłużej. Mówią o was: dawcy paszportów.

Pytam Mahmuda, co można zrobić z polskim wydanym na moje nazwisko.

– Najczęściej są fałszowane, łatwiej podmienić jedną stronę niż cały paszport. Ale czasem ktoś je kupuje bez zmian. Ludzie w podróży tak bardzo chcą się stąd wydostać, że wierzą we wszystko. Nawet w to, że możesz być czarny i wjechać do Europy ze zdjęciem białego w paszporcie na nazwisko Szabłowski.

Rozbitek

We wrześniu 2003 roku morze wyrzuciło na turecki brzeg ciała dwudziestu

czterech imigrantów, najprawdopodobniej z Pakistanu. Turcy byli wstrząśnięci. To była największa tragedia na ich morzu od wielu lat.

Tymczasem był to tylko zwiastun tego, co miało nadejść. Już trzy miesiące później sześćdziesięciu ludzi utonęło w drodze na Rodos. Byli wśród nich Irakijczycy, Afgańczycy i Jordańczycy. A także kobieta z dziesięcioletnią córeczką.

Po tej katastrofie niektóre kurorty zaczęły zatrudniać ludzi, którzy w granatowych spodniach szukają ciał, by nie znaleźli ich turyści.

Prom płynący dzień później na Rodos uratował jednego tylko człowieka: dwudziestoletniego uchodźcę z Iraku, który cudem uczepił się kawałka drewna.

Przez miesiąc wywiady z nim zrobiły wszystkie tureckie media. Był na pierwszych stronach gazet. Organizacje pozarządowe prześcigały się, żeby załatwić mu azyl, mieszkanie, pracę. Nawet ludzie w drodze, którzy sami nie mają wiele, zbierali pieniądze, by mu pomóc.

– Znam tego chłopca jeszcze z Iraku. Allach dał mu drugie życie – mówi Mahmud. – Jakby matka urodziła go jeszcze raz. I wiesz, co on z tym życiem zrobił?

I Mahmud prowadzi mnie uliczkami Taksimu, stambulskiej dzielnicy imprez i czerwonych latarni. W uliczce, przy której umawiają się na schadzki transwestyci, siedzi łysiejący mężczyzna z kępkami rudych włosów na brodzie. Patrzy na drogę, uśmiecha się, coś do siebie mamrocze. Na brodzie zakrzepła mu strużka śliny.

– Znowuś się naćpał! Znowu żeś się, kurwa, naćpał! – krzyczy Mahmud i szarpie chłopcem. Potem patrzy na mnie, patrzy na chłopaka. – Nie wytrzymał – mówi. – Nie wytrzymał – powtarza i dopiero po chwili puszcza sweter chłopca, któremu Allach dał drugie życie.

Surferzy

Kiedy imigranci przejdą przez czyściec Stambułu, ruszają nad morze. Schowani w tirach i na pakach samochodów docierają do Basmane – dzielnicy Izmiru.

Ich szlak znów przecina się ze szlakiem turystów: Izmir to tureckie Los Angeles, piękny port, stary zamek, świetne jedzenie. Turyści też zmierzają do Basmane – tu są najtańsze hotele. Nasz nazywa się Şükran. Już w progu mijamy trzech Afrykańczyków. Skubią pestki ze słonecznika i oglądają kanał z pogodą z taką intensywnością, jakby mogła się poprawić od samego patrzenia.

Bazar w Basmane to chyba jedyny bazar na świecie, który rozkręca się w okolicach północy. Sprzedają tu banany, pomarańcze, arbuzy, świeży chleb, kiełbasę, jaja na twardo, czekoladę i napoje energetyzujące. Kilka sklepów oferuje nawet linki, scyzoryki i kapoki. Wszystko, co może się przydać w czasie przeprawy.

Gęsto tu od ludzi. Targują się, śmieją, upychają coś do małych plecaczków (przemytnikom, jak liniom lotniczym, słono się płaci za nadbagaż. W cenie jest tylko mały plecak).

Za rogiem kafejka internetowa i tanie telefony. Burkina Faso – jedno euro za minutę. Afganistan – osiemdziesiąt eurocentów. Syria – sześćdziesiąt. Co chwila jakaś ledwo widzialna postać przemyka, by opowiedzieć rodzinie, że już jest w Izmirze. Że jeszcze tylko krótki rejs łodzią i będzie w wymarzonej Europie.

Pięćdziesiąt kilometrów od Basmane leży Çeşme – ostatni port przed granicą Unii. W sezonie to raj dla windsurferów.

Kiedy wiatr wieje od Grecji, rzucają deski na wodę i ścinają nimi czubki fal. Wiatr z Grecji schodzi z gór, potrafi się nieźle rozpędzić. Kiedy wieje, ludzie w drodze czekają. Łódź musi mieć dobry silnik, żeby płynąć pod wiatr. Łódź z dobrym silnikiem kosztuje więcej. Ludzie w drodze mają więc czas, żeby zadzwonić do rodziny, kupić czekoladę, pogadać z kolegami, poskubać słonecznik.

Aż przychodzi upragniony wiatr z lądu. Wtedy windsurferzy idą do baru, na dyskotekę albo jadą zwiedzić starożytny Efez.

Na plaże wokół miasta zjeżdżają się samochody. Łodzie przemytników ruszają z tych samych plaż, na których w ciągu dnia szaleli surferzy. Imigranci, z którymi rozmawiałem w Izmirze, wspominają, że często w tle słychać dyskotekę.

Malcolm z Erytrei: – Nie mogłem uwierzyć, że oni się tam bawią. Myślałem: ja zaraz mogę zginąć, a u nich dyskoteka! Ale potem zrozumiałem, że to dobrze. Silnik warczał bardzo głośno. Gdyby nie dyskoteka, każdy mógłby nas usłyszeć.

Meczet

W Basmane nie chcę rzucać się w oczy. Siadam na ulicy i udaję, że śpię i że wszystko, co się dzieje wokół, w ogóle mnie nie dotyczy. Może mnie wezmą za ćpuna, może za jednego z ludzi w drodze. „Oby mnie tylko nie wzięli za dziennikarza” – myślę, kamuflując się najlepiej, jak umiem.

Niepotrzebnie. Biznes jest prowadzony całkiem otwarcie. Dziś akurat wiatr wieje w dobrym kierunku, więc co chwila otwierają się drzwi któregoś z małych, tanich hoteli ków i ciemne postacie wsiadają do taksówek, vanów, a nawet do samochodu z napisem „meble”. Co chwila przejeżdża wóz policyjny, ale policjanci nawet nie zwalniają.

Hotele noszą tu nazwy: „Europa”, „Piękna Podróż”, „Przyjaciel”, „Marzenie”. W każdym progu wisi *nazarlık* – niebieski amulet z czarnym okiem, który ma chronić podróżnych przed złym losem.

Na rogu właściciele hoteli urządzili mały meczet. Można tam zajść o każdej porze, żeby przed podróżą przypomnieć się Allachowi.

Za meczetem kolejny punkt z telefonami. Zagaduję dwóch chłopaków z Nigerii, Omara i Nnamdi. Na oko mają po dwadzieścia lat.

– Jedziemy za dwie godziny, jak wrócą pierwsze samochody. Zadzwoniłem, żeby powiedzieć matce – cieszy się Omar.

– Czy się boimy? Bracie, Bóg jest wielki i wszystko będzie tak, jak postanowi –

Nnamdi poklepuje mnie po ramieniu i biegną obaj na bazar zrobić ostatnie zakupy.

Staję na chwilę przy sklepie ze świeżym pieczywem.

– Ty też płyniesz? – pyta sprzedawca.

– Nie, dziś nie – odpowiadam.

– Jakbyś chciał kupić bilet, możesz przyjść do mnie – mówi i puszcza oko.

Kaçakçı

Jesienią i zimą hotele i restauracje na wybrzeżu dają turystom trzydzieści procent zniżki. Wiadomo: gorsza pogoda, nie można popływać. Ale za to jest cisza i piękna przyroda.

Kaçakçı, czyli przemytnicy, też dają trzydzieści procent. Wiadomo: jak się wpadnie do wody, organizm wychładza się dużo szybciej niż latem. Umiera się momentalnie.

Ale są też plusy: zimą Grecy słabiej pilnują wybrzeża.

„Kiedyś *kaçakçı* szmuglowali papierosy, alkohol i inne rzeczy – czytam w pracy profesora Içduyğu, wybitnego specjalisty do spraw emigracji. – Teraz przerzucili się na ludzi. Tu nie ma wielkiej mafii z ojcem chrzestnym na czele. Struktura jest raczej podobna do Al-Kaidy: wiele małych grup, które współpracują, ale są niezależne. Mimo to są w stanie kompleksowo zorganizować drogę od Kabulu do Londynu”.

Profesor przeprowadził ankietę wśród przemytników, którzy siedzą w więzieniu. Według jego badań żaden z nich nie uważa, że robił coś nagannego. Więcej: sądzą, że bardzo pomagają ludziom. Że ich praca jest jak misja.

W małych miejscowościach ludzie wiedzą, kto jest *kaçakçı*. Jednego z nich pokazali mi rybacy w Ayvalıku – uroczym starym porcie niedaleko antycznego Pergamonu. Nazywają go Ahmet Baba – ojciec Ahmet. Niski, w za dużym płaszczu, z petem przyklejonym do poszarzałych ust wyglądał trochę jak postać z kreskówki. Przyjechał do portu kupić ryby. Krok w krok za nim snuły się dwa karki, na oko Uzbecy albo Tadżykowie.

Ahmet Baba pracuje dla Kurbağy – Żaby. Kurbağa i jego ludzie mają monopol na przerzut ludzi z okolic Ayvalıku na Lesbos. W sezonie nie ma dnia, żeby ich łodzie nie wypływały z okolicznych wiosek.

– Jak jest dobry wiatr, nad ranem słyszy się co chwila: pyr, pyr, pyr, pyr – mówi Ismail, rybak z Ayvalıku. – To silniki ich łodzi. Mówi się wtedy u nas: „*Kurbağa geldi*”. Czyli: „Żaba przeszedł”.

Ahmet Baba sprawia wrażenie dobrego wujka. Wita się ze wszystkimi jowialnie, przybija piątki, a starych znajomych całuje w oba policzki. Przechodzi koło mnie, niemal trącamy się ramionami. Uśmiecha się życzliwie jak człowiek, który jest szczęśliwy i innym też dobrze życzy.

Wie, że szukam informacji o *kaçakçı*. Musi wiedzieć. Jestem w Ayvalıku już trzeci dzień, a Ahmet Baba wie wszystko. Mimo to zagaduje przyjaźnie:

– Pan turysta?

– Tak – ściemniam. – A pan?

– Ja? Jestem lokalnym dziwakiem – Ahmet Baba śmieje się i odchodzi. Śmieją się też karki, a ich wielkie brzuchy całe się trzęsą od tego śmiechu.

Rybacy

We wrześniu 2008 roku Ahmet Baba puszczał pontony z Behramkale. W linii prostej do greckiego wybrzeża jest tu tylko pięć kilometrów.

W roku 347 p.n.e. Behramkale nazywało się Assos. Skołatane nerwy leczył tu Arystoteles, którego nie wybrano na następcę Platona w słynnej ateńskiej Akademii. Z tutejszego portu wyprawiał się na badanie fauny i flory wyspy Lesbos.

Łodzie Ahmeta też płynęły na Lesbos. Wystartowały zaledwie kilometr od portu, z którego przed laty ruszał Arystoteles. Wszystko szło w miarę sprawnie, aż koło drugiej w nocy pojawiła się łódź z grecką strażą graniczną.

Z dzikiej plaży koło Behramkale wszystko widać jak na dłoni. Ahmet Baba szybko wziął nogi za pas. Ale na wodzie zostały cztery pontony wielkości łupiny od orzecha, które zdążyły już wpłynąć na greckie wody terytorialne. Na nich – trzydzieści osiem osób.

Grecy byli agresywni. Zrobili motorówką wielkie fale. Jeden z pontonów się wywrócił. Ludzie wpadli do morza. By szybciej wychodzili z wody, pogranicznicy poganiali ich wystrzałami.

Potem rzucili linę, zaciągnęli wszystkie cztery łupinki z powrotem na tureckie wody terytorialne i zabrali im wiosła i silniki. Skazali ludzi na dryf. Ten mógł się dla nich skończyć śmiercią.

– A niech to szlag – zaklął Ismail, rybak z Ayvalıku. Jako jeden z nielicznych ma tu większą jednostkę, którą można wypłynąć po tuńczyka. Ale jak tylko wypłynął ze szwagrem z portu, zobaczyli cztery pontony z ludźmi wołającymi o pomoc. Nie mieli wioseł, a pogoda robiła się coraz gorsza.

Zebrali uciekinierów z łódek i popłynęli z nimi na posterunek straży granicznej. Dziś Ismail sam nie wie, czy dobrze zrobił.

– Najpierw zostałem oskarżony, że pomagam w przemycie – opowiada. – Musiałem jeździć i się tłumaczyć. Na koniec prokurator powiedział: „Nic nie znalazłem, ale będę miał na ciebie oko”.

Rybacy tutaj wiele razy pomagali imigrantom.

– Latem prawie codziennie są jakieś problemy – mówi Ismail, a jego szwagier i wspólnik przytakują. – Grecy do nich strzelają. Zdarza się, że dziurawią łodzie. I rybak, zanim zacznie połów, dwie godziny pływa i zbiera tych ludzi, żeby nie potonęli.

– My żyjemy z łowienia ryb – dodaje szwagier. – Jak wyłowiliśmy tamtych, to później dwa tygodnie nie mogliśmy pracować. A to zeznania, a to odciski palców. Jak ja mam pomagać, jak potem żona nie ma co dać dzieciom do jedzenia?

Ismail: – Teraz boimy się pomagać. Zresztą tych pontonów zrobiło się tyle, że i tak nie da rady pomóc każdemu. Czy żałuję, że wtedy pomogłem? Cholera... Tak. Muszę powiedzieć, że żałuję.

Pogranicznicy

W grudniu 2007 roku w pobliżu miasta Seferihisar odnaleziono trzydzieści jeden ciał. Ile osób wtedy utonęło – nie wiadomo. Według trójki uratowanych łódź zabrała na pokład ponad siedemdziesięcioro imigrantów.

W marcu 2008 roku co najmniej cztery osoby utonęły w okolicy miasta Hatay. Tydzień później – sześć koło miejscowości Didim. W październiku siedemnaście ciał znalazła straż przybrzeżna niedaleko Çanakkale – tuż obok starożytnej Troi. Kiedy pracowałem nad tym tekstem, dwa ciała znaleziono niedaleko Ayvalıku. Kolejne dwa – w okolicy Bodrum.

W listopadzie 2008 roku nowojorska organizacja Human Rights Watch oskarżyła Grecję, że nielegalnie wysyła uchodźców z powrotem do Turcji. Turków zaś oskarżono, że trzymają ludzi poszukujących azylu w nieludzkich warunkach.

W tym samym czasie niemiecka fundacja „Pro Asyl” opublikowała raport z wybrzeża turecko-greckiego. Podtytuł raportu brzmiał: *Prawda jest gorzka, ale musi być powiedziana.*

Jednym z autorów raportu był Karl Kopp: – Rozmawialiśmy z imigrantami, z rybakami i z działaczami organizacji broniących praw człowieka. Okazało się, że greccy pogranicznicy bardzo często biją, a nawet strzelają do imigrantów. Ludzi, którzy wpłynęli na ich wody, zawracają do Turcji i zostawiają na pastwę losu. Jeśli komuś mimo wszystko uda się przedostać do Grecji, trafia do ośrodka dla imigrantów, gdzie w bardzo złych warunkach może spędzić wiele miesięcy.

Atrakcje

Przy obu raportach współpracowali młodzi Grecy. To, czego się dowiedzieli, na wielu zrobiło ogromne wrażenie.

Uwaga, promocja!

Nasi funkcjonariusze zapewnią ci niezapomniane atrakcje!

Na powitanie ostrzelają twoją łódkę.

Potem zrobią fajne fale, żebyś się wywrócił.

Jeśli się nie wywrócisz, rzucą ci linę i zaciągną na survival, na którąś z niezamieszkanych wysp.

Jeśli mimo wszystko jakimś cudem dopłyniesz do Grecji, czeka cię kolejna atrakcja – masaż pałami. A potem nawet kilka lat w atrakcyjnym ośrodku.

Spacer? Nawet raz w tygodniu!

Witaj w Grecji! Ubawisz się na śmierć!

Na zdjęciu – obrazek jak z turystycznego folderu. Plaża, palmy, żaglóweczka. Tylko zamiast roznegliżowanych pań na tle tego widoku stoi mężczyzna w kajdankach.

Takie ulotki młodzi Grecy rozrzucili po plażach, barach i dyskotekach wysp graniczących z Turcją.

My znajdujemy jedną na promie z Ayvalıku na Lesbos. Płyniemy półtorej godziny. Kapitan mówi, że często widuje łodzie z imigrantami.

– Latem nawet po kilkanaście naraz. Kurs powrotny mamy o szóstej rano. Ci, którzy wypłynęli w nocy, właśnie dopływają. Choć kiedyś widziałem, jak w samym środku dnia do głównego portu Lesbos wpłynął sobie ponton z imigrantami. Ale mieli fantazję!

Ikar

Dedal był genialnym wynalazcą. Kiedy tyran Minos uwięził go na Krecie, zrobił skrzydła z ptasich piór i razem z synem Ikarem wzbił się w powietrze i uciekł.

Ciąg dalszy znamy: Ikar wzniósł się za wysoko, wosk spajający pióra zaczął się topić. Syn Dedala runął w dół i roztrzaskał się o skały.

Wiele lat później Pieter Bruegel namalował obraz *Upadek Ikara*. Piękny statek wchodzi do portu, oracz orze ziemię, pasterz pilnuje owiec, a gdzieś daleko widać nogę tonącego Ikara i resztkę piór. Tadeusz Różewicz pisał o tym obrazie:

Przygoda Ikara nie jest ich przygodą
musi się tak skończyć
i nie ma w tym nic
wstrząsającego
że piękny statek płynie dalej
do portu przeznaczenia[7].

Andrea, bankowiec z Aten, kopię obrazu Bruegla przypięła do lodówki. Zbiera też wiersze i opowiadania o Ikarze. Wiersz Różewicza?

– Jest piękny, ale nieprawdziwy. W globalnej wiosce nie ma czegoś takiego jak „nie nasza przygoda” – mówi. A potem nieco poetycko dodaje: – Dziś też Ikarowie marzą, że mogą polecieć do lepszego życia. Tu, na tym wybrzeżu, ich marzenia rozbijają się o skały. A Ikar z mitu zatonął... pięćdziesiąt kilometrów stąd, na wyspie Ikaria.

Dwa lata temu Andrea przeprowadziła się z Aten na wyspę Lesbos.

– Pierwszego dnia ruszyłam na przejażdżkę. Za miastem zobaczyłam kobietę z niemowlęciem owiniętym kocem. Zabrałam ją i jej koleżankę do miasta. Właśnie przypłynęły łodzią z Turcji i w porcie były umówione z kolejnym przemytnikiem.

Okazało się, że takie kobiety to codzienność życia na Lesbos. W sezonie nie ma dnia, żeby przez samo centrum Mityleny, stolicy wyspy, nie przechodziły grupy imigrantów. Rocznie przewijają się ich tu tysiące. Na miejscowym cmentarzu już ponad sto nagrobków ma napis „NN imigrant". To ci, których morze wyrzuciło na brzeg.

– Większość ma już umówiony transport dalej – mówi Andrea. – Ale są tacy, którzy nie mają nic. I tacy, którzy wpadają w łapy naszych służb.

Żeby pomóc imigrantom, Andrea założyła z przyjaciółmi stowarzyszenie „Ikarowie". Latem, kiedy najwięcej z nich stara się dotrzeć do Grecji, objeżdżają wybrzeże, rozwożą koce i ubrania, informują o prawach, które im przysługują, oferują prawnika, lekarza i tłumacza.

– Wszystko to powinien zapewnić im nasz rząd – mówi Andrea. – Ale rząd ma to gdzieś.

Kiedy rozmawiamy w lokalnym barze, przed naszymi oczami przechodzą dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Są cali mokrzy i wydają się potwornie zmęczeni. Jedna z kobiet ma na głowie chustę. Druga głowę ma odkrytą, ale wydaje się całkiem nieobecna, jakby nie rozumiała, gdzie i dlaczego się znalazła.

– Wygląda, jakby była chora. Albo jakby przeżyła coś strasznego – mówi Andrea.

Każde z nich niesie malutki plecak. Mężczyźni w dżinsach i pasiastych koszulach rozglądają się niepewnie. Podbiegamy. Andrea wypytuje, czy nie potrzebują pomocy. Imigranci są przerażeni.

– Proszę z nami nie rozmawiać. Proszę na nas nie patrzeć – mówi starszy z mężczyzn. – Dwie godziny i nas tu nie będzie. Bardzo proszę i szanowną panią, i szanownego pana, żeby całkiem nie zwracać na nas uwagi.

Pontony

Żaden z imigrantów, których poznaliśmy, nie zgodził się na zdjęcie. Przejeżdżamy więc z fotografem dzikie plaże wokół Çeşme i Ayvalıku. Potem – kamienne wybrzeże wyspy Lesbos. Kazım – ten, co w granatowych spodniach i butach traperkach szuka ciał – mówi, na które plaże on z kolegami nie jeździ. Objeżdżamy wszystkie.

W różnych miejscach znajdujemy wyrzucane na brzeg dziurawe pontony. Łącznie pięć. Wokół jednego z nich – niedaleko Çeşme – pływają jeszcze ubrania: kurtka, czapka i klapki. Dzwonimy na policję.

– Eee, pewnie ktoś wyrzucił – bagatelizują. – Ludzie zamiast zanieść na śmietnik, rzucają do morza.

Orçur Ulusoy, prawnik, który pomaga imigrantom w Izmirze: – W tym miejscu świata nawet czapka z daszkiem, którą morze wyrzuca na brzeg, oznacza czyjąś tragedię. Niestety, nasza policja wciąż uważa, że to wyłącznie problem Unii.

Co o was myślę

Mahmud nie znalazł Yusufa. Wprawdzie gdzieś słyszał o Libijczyku, który pracował w hotelu. Ale czy to był Yusuf i co się z nim dalej stało – nie wie.

Znowu pijemy kawę, ale tym razem nie w kawiarni, tylko w sklepie ze sprzętem elektrycznym. To sklep kolegi. Mahmud go czasem pilnuje.

– Zabrnąłem w złe sprawy – mówi mi całkiem niespodziewanie. – Nie po to studiowałem, żeby obracać kradzionymi paszportami. Miałem być szanowanym tłumaczem, nauczycielem, może nawet akademickim. Ale jak byłem w twoim wieku, przyszła wojna. Potem – imigracja. Teraz już jestem stracony.

Chwilę milczymy, bo nie wiem, co powiedzieć na tak niespodziewane wyznanie. Mahmuda to milczenie chyba drażni.

– Czy wiesz, że największa liczba imigrantów w Turcji to dziś Irakijczycy? – pyta w końcu. To prawda. Od kiedy zaczęła się wojna, ponad pięć milionów jego rodaków uciekło z kraju. – Polacy, Anglicy, Amerykanie, wy wszyscy sprawiliście, że w moim kraju nie da się żyć. A teraz zamykacie przed nami drzwi na skobel. Czy

to jest ta słynna demokracja, którą tak bardzo chcecie u nas promować? – pyta coraz bardziej rozdrażniony.

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Siedzę więc cicho. Mahmud się uspokaja. Wyciąga z kieszeni bluzy kartkę.

– Teraz ci powiem, jak mi się odwdzięczysz. Jak będziesz pisał swój artykuł, zamieścisz mój apel. Jest krótki.

I Mahmud czyta z kartki: „Ja, Mahmud X., były tłumacz wojsk amerykańskich, mam do zachodniej Europy wielką prośbę. Przyślijcie tu oddział wojska i wykastrujcie nas wszystkich. I tak nie mamy z czego wyżywić naszych dzieci. A kiedy chcemy przyjechać do was i uczciwie pracować – strzelacie do nas i wyganiacie.

Wykastrujcie nas. Ulżycie i nam, i sobie”.

Karpie Abrahama

1.

– Zdradzić ci sekret? – pyta i mierzy we mnie palcem, z którego zeszło pół paznokcia.

Ma spodnie w kratę, koszulę w indyjskim stylu i strąki włosów opadające na ramiona: mniej niż kołtun, więcej niż dredy. Zaczepia mnie przy meczecie w Şanlıurfie – świętym mieście, w którym urodził się prorok Abraham. Cuchnie od niego jak od starego psa, jeden but ma całkiem dziurawy, a drugi – bez sznurówki.

„Co mnie obchodzą sekrety jakiegoś hipisa?" – myślę. Ale nie mam nic lepszego do roboty. Jest południe, gorąco; czuję się, jakbym trzymał łeb w piekarniku. Siadam więc w cieniu drzewa i – a niech mu będzie – zamieniam się w słuch.

– Jestem Jezusem Chrystusem, Synem Bożym – mówi szeptem. – Kup mi papierosy.

Kupuję czerwone Marlboro. Jezus zaciąga się, odpręża i pyta, czy znam historię jego miasta. Znam, ale i tak mi opowiada, jak Abrahama (tu mówią o nim Ibrahim) przyszli zabić żołnierze króla Nimroda, tego samego, który próbował zbudować wieżę Babel. I jak Allach zamienił tych żołnierzy w ryby. I choć według historyków Nimrod i Abraham żyli w zupełnie innych epokach, nie przerywam mojemu prywatnemu Jezusowi.

2.

Zamienieni w ryby żołnierze po dziś dzień pływają w sadzawce koło groty Abrahama. Takich ryb nie ma nigdzie na świecie. Kiedy widzą choćby cień człowieka, wyskakują z wody, walą z furią ogonami w jej taflę, odpychają się, wskakują sobie na grzbiety, szarpią za płetwy. Wydają się wielkim organizmem z tysiącem głów, który walczy sam ze sobą. Łuski lśnią w słońcu jak pancerze. Ale dziś już nie walczą o łaskę króla Nimroda. Dziś walczą o trochę chleba albo pszenicy od pielgrzymów.

– Żaden muzułmanin nie tknie mięsa tych ryb. Od razu by umarł – mówi Chrystus i znowu chce ode mnie trochę drobnych, tym razem na pilaw, ryż z kurczakiem, który reklamuje uliczny sprzedawca.

Daję mu. Przecież to on powiedział: „Byłem głodny, a daliście mi jeść". I kiedy Chrystus biegnie za sprzedawcą, ja wspominam wszystkich mesjaszów, których spotkałem nad Bosforem.

3.

W 2002 roku Dursun Ali Bacıoğlu, inżynier z czarnomorskiego portu Trabzon, ogłosił się Chrystusem i wystartował do parlamentu. Głosowało na niego zaledwie

sześćdziesięcioro siedmioro mieszkańców miasta. Gdy lokalna gazeta artykuł o nim zatytułowała *Fałszywy mesjasz przegrał wybory*, podał ją do sądu. Ten, z braku dowodów na mesjańską misję inżyniera, pozew oddalił.

Kolejny mesjasz przyjechał do Ankary z miasteczka Gebze – znanego z tego, że tutaj zapewne popełnił samobójstwo Hannibal – w 2006 roku. Zabrał ze sobą strzelbę myśliwską, pistolet i nóż i udał się pod siedzibę szefa sztabu generalnego, gdzie został aresztowany.

Jeszcze inny w roku 2007 porwał samolot ze Stambułu do Gaziantepu – stolicy tureckich pistacji. Żądał dostępu do państwowej telewizji. Chciał ogłosić, że koniec świata będzie w następnym tygodniu. Dostępu jednak nie dostał i nie ogłosił.

Do niedawna najpopularniejszym z tureckich mesjaszów był Hasan Mezarcı, były deputowany do Meclisu i religijny radykał. Z burzą siwiejących włosów, gęstą brodą, w złotym płaszczu, obwieszony setkami korali, koralików i paciorków, wieści koniec świata na pierwszych stronach najważniejszych tureckich gazet, a kościołom chrześcijańskim każe zamieniać obrazy Chrystusa na swoje zdjęcia. Rodzice już się go wyparli, za to żona publicznie wyzwała od kretynów wszystkich, którzy wątpią w mesjańską misję jej męża.

4.

Część muzułmanów wierzy, że mesjaszem będzie prorok Isa, czyli Jezus. Inni mówią o zaginionym imamie, który pojawi się w okolicach Sądu Ostatecznego. W islamie nie jest to jednak tak ważna figura jak w chrześcijaństwie. Jak więc Turcy wpadli na pomysł, by go szukać między sobą?

Pewnie zainspirował ich Sabbataj Cwi, pierwszy mesjasz, o którym było głośno nad Bosforem. Urodził się w XVII wieku w Smyrnie, dziś Izmirze, gdzie przez wiele lat studiował Kabałę.

W 1648 roku pobożni Żydzi oczekiwali końca świata. Rzezie Kozaków Chmielnickiego, którzy zaatakowali Rzeczpospolitą, uznali za znak z nieba i „bóle porodowe mesjasza”[8]. Gdy Cwi ogłosił, że to on jest Bożym wybrańcem, tysiące ludzi mu uwierzyły.

Gdy jednak przez trzy kolejne lata koniec świata nie nastąpił, Żydzi wygnali go ze Smyrny. Sabbataj kilkanaście lat tułał się po Turcji. Aż z kolejnej iluminacji dowiedział się, że koniec świata nie został odwołany, ale przesunięty na rok 1666.

W maju 1665 roku prorok Natan z Gazy potwierdza, że Cwi jest mesjaszem. Głosi, że turecki sułtan lada dzień zostanie jego sługą. Niedługo później mesjasz dowiaduje się o żydowskiej kobiecie, która cudem ocalała z rzezi Chmielnickiego. Ma na imię Sara, mieszka we włoskim Livorno, trudni się prostytucją i opowiada, że będzie żoną mesjasza.

Sabbataj miał kiedyś widzenie, według którego jego żoną będzie kobieta o wątpliwej reputacji. Gdy słyszy historię Sary, każe natychmiast sprowadzić ją do siebie.

Historycy sabbataizmu twierdzą, że uroda i charyzma byłej prostytutki, a także marketingowa nośność tej historii przysporzyły mesjaszowi wielu nowych zwolenników.

Na początku 1666 roku tureccy żołnierze aresztują Sabbataja Cwi i osadzają w twierdzy w miejscowości Gallipoli. We wrześniu Cwi jedzie na przesłuchanie do Edirne. Tysiące miejscowych Żydów, widząc mesjasza prowadzonego na dwór sułtana, wiwatują, wierząc, że Sabbataj nawróci władcę na judaizm.

Ale sprawy toczą się całkiem inaczej.

5.

Nie wiemy, jak dokładnie wyglądało przesłuchanie Sabbataja. Tureckie źródła podają, że słucha go sam Mehmed IV – ten, który zaciekle wojuje z Polakami, a niecałe dwadzieścia lat później wyśle wielkiego wezyra Kara Mustafę na Wiedeń. I że przesłuchujący straszą ucięciem głowy i każą udowodnić, że może czynić cuda: „Rozebrany do naga miał służyć dworskim łucznikom za tarczę strzelniczą. Gdyby jego ciało oparło się strzałom i nie odniosło ran, sułtan miał mu obiecać, że ogłosi go mesjaszem".

Sabbataj chyba nie wierzy, że jego ciało może oprzeć się strzałom. W każdym razie nie zamierza ryzykować. Pokornie uznaje, że „nie ma Boga ponad Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem", i z przesłuchania wychodzi jako pełnoprawny muzułmanin. Imamowie mają nadzieję, że konwersja żydowskiego mesjasza pomoże przeciągnąć na islam tysiące jego współwyznawców.

Tak też się dzieje. Tłumy Żydów w całym kraju zaczynają przyjmować islam.

Taki był początek konwersji, która do dziś budzi w Turcji wiele emocji.

Sabbataj bowiem, choć przyjął islam, nie odcina się od judaizmu ani od swojej mesjańskiej misji. Jego wyznawcy przez całe wieki oficjalnie uważają się za muzułmanów, ale potajemnie spotykają się i modlą jak kiedyś. Turcy nazwali ich *dönme* – przechrztami.

Do dziś traktują ich jak kryptożydów – dbających tylko o swój własny interes i knujących po kątach, jak tu szkodzić Turcji. Nad Bosforem krążą setki teorii spiskowych, według których to właśnie *dönme* rządzą Turcją. Podejrzani są wszyscy: Atatürk, bo pochodził z Salonik, miasta, w którym Sabbataj mieszkał po wygnaniu z Izmiru. Nazım Hikmet – bo w tych samych Salonikach gubernatorem był jego dziadek. Premier Erdoğan – bo chce wzmacniać islam, a Turcja islamska to Turcja słaba, a słaba Turcja to pragnienie wszystkich Żydów świata.

Niektórzy publicyści nie mogą się nadziwić, jak w kraju, gdzie prawie nie ma już Żydów, obywatele mogą na każdym kroku węszyć żydowskie spiski.

6.

W Izmirze, w jednej z bocznych ulic, przewodnik pokazał mi kiedyś dom Sabbataja Cwi. Był to dobry przewodnik ze starszego pokolenia. Miał na imię Ahmet i ubolewał, że mało kto zna to miejsce. On znał, bo trzysta metrów dalej stał kiedyś

dom jego babki.

Dom Sabbataja jest w opłakanym stanie. Górne piętra zwaliły się razem z dachem. Odsłoniły w ten sposób resztki starych fresków.

– *Dönme* do dzisiaj tu przychodzą – opowiadał Ahmet, ale nie było w tym szukania spisków ani niezdrowej sensacji. Raczej sympatia. – Palą świece i odprawiają jakieś rytuały. O, zobacz, tu masz ślady po świecach – pokazywał, gdy łaziliśmy po domu, zerkając na lewo i prawo, czy nic nam nie leci na głowę. – Moja babka pięćdziesiąt lat temu widywała ich tu ponad setkę – dodawał. – Ja czasem widzę tylko dwie stare kobiety. Podobno miasto chce zburzyć ten dom i zasadzić tu park. Pewnie im się uda. Miejscowi Żydzi nienawidzą Sabbataja. A *dönme* boją się wychylać.

7.

Misja Sabbataja Cwi odbija się szerokim echem również wśród polskich Żydów. Nie może być inaczej. Mamy wtedy z Turcją granicę. Kamieniec Podolski regularnie przechodzi z rąk do rąk, a Rzeczpospolita i Porta Osmańska słyną jako najbardziej tolerancyjne kraje w Europie. Żydzi z terenów dzisiejszej Ukrainy jeżdżą studiować Torę i Kabałę do Smyrny, Salonik i Konstantynopola. Żydzi tureccy też bywają w Polsce – choćby jako kupcy[9].

Jeden z polskich uczniów Sabbataja, urodzony w 1726 roku Jakub Frank, też ogłasza się mesjaszem. Prześladowany przez rabinów, przyjmuje ze swoimi zwolennikami chrzest – najpierw we Lwowie, później w Warszawie.

Biskupi, podobnie jak osmańscy imamowie, wierzą, że chrzest Franka to pierwszy krok do dusz wszystkich Żydów. Kiedy jednak okazuje się, że ten, mimo chrztu, wciąż uważa się za mesjasza, trafia jako więzień do klasztoru na Jasnej Górze.

8.

Przypominam sobie to wszystko, a mój osobisty Jezus Chrystus z Şanlıurfy wcina kurczaka z ryżem i uśmiecha się szeroko. Myślę, że dobry psychiatra miałby z nim trochę roboty. Ale to nie ma żadnego znaczenia; to samo mówią dziś o Sabbataju Cwi, a przecież poszły za nim tysiące ludzi.

Jesteśmy w krainie, gdzie wystarczyło zgubić owcę w górach, by narodziła się nowa religia.

Tyle że dziś ta kraina buduje drogi, stawia sklepy, notuje całkiem niezły wzrost gospodarczy. Porywanie samolotów ani złote stroje już nie wystarczą. Dziś mesjasz, by przykuć uwagę Turków, musi się naprawdę bardzo postarać.

Zabójca z miasta moreli

1.

W centrum stoi kilka pomalowanych na zielono ławek. Obok nich – pomnik byłego prezydenta İsmeta İnönü, który był towarzyszem broni Atatürka i miał wątpliwą przyjemność urodzić się w Malatyi.

Dlaczego wątpliwą? Bo to dziura jakich mało. Gdyby nie piłka nożna – Malatyaspor gra w pierwszej lidze, stadion ma nawet sztuczną murawę – można by tu umrzeć z nudów.

Latem są jeszcze morele. Wokół miasta ciągną się hektary sadów. W nich – miliony drzewek. Owoce idą do całej Europy. Lato jest tu zielono-pomarańczowe, ma zapach i smak moreli.

Co innego zima. Wtedy w Malatyi nie dzieje się nic. Nie ma turystów, na ulicach leżą zwały brudnego śniegu, a ławki pod pomnikiem prezydenta stoją puste. Mróz jak cholera – dziewięćset metrów nad poziomem morza robi swoje. Zimą ludzie są osowiali, źli, rzadko wychodzą z domów.

1958

W taką właśnie nieprzyjazną zimę we wsi Hekimhan pod Malatyą rodzi się Mehmet Ali Ağca. Jego rodzice mieszkają w skromnym, drewnianym domku. Ojciec ma problemy ze znalezieniem pracy. Często sięga po alkohol.

Kilka miesięcy po narodzinach maleńkiego Mehmeta ksiądz Karol Wojtyła zostaje biskupem pomocniczym Krakowa. Ma trzydzieści osiem lat i jest najmłodszym z hierarchów polskiego Kościoła. Już wtedy za swoją patronkę uznaje Matkę Boską, a za przewodnie hasło – *Totus Tuus* (Cały Twój).

2.

W Malatyi są sklepy, których jedynym asortymentem są przygotowane na tysiąc różnych sposobów morele. To chyba jedyne takie miasto na świecie. Najlepsze są te nadziewane orzechami: włoskimi, laskowymi i pistacjami.

Właściciele tych sklepów nazwisko Alego Ağcy wymawiają ze szczególnym nabożeństwem. Targują się między sobą, kto był z nim bardziej zaprzyjaźniony.

– Ze mną chodził do podstawówki – mówi pierwszy.

– Ze mną sprzedawał wodę na stacji kolejowej – mówi drugi.

Nie dowierzam im. Mam wrażenie, że pół Malatyi snobuje się na znajomość z Ağcą.

Tylko trzeci sprzedawca się nie licytuje, bo pochodzi z Diyarbakıru. Ale jego dzieciaki bawią się z innymi w ağcę – jedno dziecko strzela z patyka do drugiego. Żadne nie chce być papieżem. Wszystkie chcą być Ağcą. A kibice Malatyasporu, gdy ich zespół wybiega na sztuczną murawę, od lat śpiewają: „Niech żyje Malatya, niech

żyje papież, kochamy cię, Ali Aaaaağcooo!”.

Kupuję kilka pudełek z pomarszczonymi morelami i idę na podwórko, jakich tysiące. Szoferzy przyjeżdżają tu myć swoje cytrynowożółte taksówki. Palą papierosy, plotkują, pozdrawiają mnie, bo cudzoziemiec, nie jest tu częstym widokiem.

Odmachuję i naciskam okrągły guzik domofonu. Ten obok nazwiska Ağca.

1966

Umiera ojciec Ağcy. Podobno pod koniec życia w ogóle już nie trzeźwiał i bił matkę. Ośmioletni Mehmet Ali staje się głową rodziny. Musi pracować na utrzymanie matki i rodzeństwa. Sprzedaje więc wodę i słodycze w pociągach.

Matka jest w nim bezgranicznie zakochana. Wierzy, że jej syn zajdzie bardzo wysoko. Może będzie lekarzem? Może nawet profesorem? Kimkolwiek zostanie, świat na pewno o nim usłyszy.

W tym czasie Karol Wojtyła jest już metropolitą krakowskim i czołową postacią polskiego episkopatu. Rok później zostaje drugim w Polsce, obok Stefana Wyszyńskiego, kardynałem.

3.

Adnan Ağca to skóra zdarta z brata, tylko włosy ma jeszcze ciemne – Mehmet Ali już całkiem posiwiał. Wita mnie w progu, prowadzi do pokoju. Ma ciemny, zmechacony sweter, a na nogach tanie klapki marki KicKars.

– Mój brat nie zna tego mieszkania. Przeprowadziliśmy się tu z Hekimhan, gdy on siedział już we włoskim więzieniu. Allach, Allach, mój Boże, ile to już lat!

Siostra Fatma siedzi w kącie, pod piecykiem typu koza – tu jest najcieplej. Przygląda mi się, ale kiedy tylko spojrzę w jej stronę, opuszcza wzrok. Na głowie ma muzułmańską chustę.

– Ale nie jesteśmy szczególnie religijni – zastrzega Adnan. – W Kurban Bayramı, najważniejsze święto, staramy się dać biedakom chociaż kurę. Islam jest bardzo czuły na punkcie jałmużny. To jedno z najważniejszych przykazań. Ale na piątkowy *namaz* chodzimy rzadko.

W domu są jeszcze wujowie: Ali i Muhammed. Przyszli z wizytą, ogrzać się i pogadać. Są też dzieciaki: trójka Adnana i trójka Fatmy. Przywiozłem im z Polski ptasie mleczko i śliwki w czekoladzie, ale wstydzą się mnie i chichoczą w przedpokoju.

Kładę prawą dłoń na piersi i kłaniam się uprzejmie w stronę młodszego z braci Ağcow. Dziękuję, że zgodził się ze mną porozmawiać. Od lat nie wpuszcza dziennikarzy. Tuż przede mną odmówił telewizji z Brazylii, choć podobno dwa dni stali i marzli pod jego domem.

Adnan się odkłania. Tak, to prawda, nie lubi pismaków.

– Piszą bzdury o moim bracie – kiwa głową. – Ja mówię, że śpi spokojnie, oni, że ma koszmary. Ja, że marzy o spokoju, oni, że będzie pisał książki i grał

w filmach. Ale ty jesteś z kraju papieża. – Adnan Ağca patrzy na mnie poważnie. – Papież nam nigdy nie odmówił, więc jak ja mógłbym odmówić tobie. Usiądź z nami i pytaj, o co chcesz, jesteś naszym przyjacielem – dodaje i uśmiecha się.

1976

Mehmet Ali Ağca kończy w Malatyi kolegium nauczycielskie i wyjeżdża na studia do Ankary. Tam, śladem tysięcy chłopaków, wpada w łapy grup terrorystycznych. Turcja jest pogrążona w anarchii. Lewicowi ekstremiści walczą z prawicą. Jak pisze Claire Sterling, nieżyjąca już amerykańska autorka świetnych książek o Ağcy i o terroryzmie, w tamtym czasie w Turcji średnio co godzinę ktoś ginął z rąk ekstremistów. Prawicowa ekstrema – w tym Szare Wilki, organizacja Ağcy – marzy o sięgającej aż po Mongolię Wielkiej Turcji, wolnego od wpływów lewicy kraju Prawdziwych Turków.

Lewicowa ekstrema, inspirowana przez ZSRR, chce zbliżenia między Turcją a sąsiadującym z nią ZSRR i realizacji ideałów komunistycznych nad Bosforem.

Obie są zależne od handlu bronią i narkotykami. Przemyt idzie przez Bułgarię. Dzięki temu wpływ na terrorystów – i lewicowych, i prawicowych – mają służby specjalne z Sofii.

Ağca idealnie nadaje się na terrorystę: jest zdolny, pracowity i bez grosza przy duszy. Szybko się uczy.

Rok później, w 1977, jedzie na szkolenie do palestyńskich obozów w Syrii. W 1978 roku przenosi się z Ankary do Stambułu. Na studiach nie pojawia się ani razu.

W tym samym roku Karol Wojtyła zostaje papieżem i przyjmuje imię Jan Paweł II.

4.

Siedzimy i siorbiemy herbatę.

Najgłośniej, ze względu na wiek, siorbią wujowie. Obaj mają wielkie, sumiaste, jakby przyklejone do twarzy wąsy i – jak przystało na ludzi w wieku patriarchów – nie mówią wiele. Przysłuchują się tylko i od czasu do czasu aprobująco kiwają głowami.

– Mehmet Ali był bardzo dobrym dzieckiem – mówi mi Adnan, a ponieważ wujowie też tak go zapamiętali, kiwają głowami jak gipsowy murzynek, do którego w wiejskich kościołach wrzuca się monety. – Nigdy się z nikim nie bił, nie kłócił. Ci mordercy wykorzystali jego dobre serce. Wykorzystali naszą biedę. Mój brat jest dobrym bratem i synem, dobrym człowiekiem. Nigdy nikomu nawet źle nie życzył – dodaje, a głowy wujów w pełni się z nim zgadzają.

Terrorysta, który strzelał do papieża, nikomu źle nie życzył? Ciężko mi w to uwierzyć, ale niech im będzie. Dopytuję o dzieciństwo i młodość Ağcy.

Kiedy pytam, wujowie zamierają.

Słuchają uważnie i ważą każde słowo jak aptekarskie wagi. Kiedy okazuje się,

że pytam o zainteresowania młodego Ağcy, o jego dziewczyny, prace, plany, marzenia – głowy wujów poruszają się w pionie, a pion znaczy aprobatę.

Dziewczyny? – Nigdy żadnej nie miał. Nie interesowały go – odpowiada Adnan.

Praca? – Zawsze pracował ciężko. Pomagał matce, bratu, siostrze.

Plany? – Chciał być nauczycielem, mieć żonę, dom, dzieci. Bardzo lubi dzieci.

Marzenia? – Pisał wiersze, chciał być poetą. Nie, żaden się nie zachował. Wszystko zabrała policja.

Jednak kiedy pytam o Szare Wilki, terroryzm, o pierwsze zabójstwa – głowy wujów przestają się kiwać. Wujom się takie pytania nie podobają. Patrzą jeden na drugiego, przykładają czubki języków do podniebienia i krytykują mnie cichymi cmoknięciami. Tak samo cmoka Adnan.

Szare Wilki? – Mój brat został przez nich wykorzystany. Jest dobrym człowiekiem. Nikomu źle nie życzył.

Obóz w Syrii? – Nic na ten temat nie wiem.

Zabójstwa? – Został wykorzystany. Po co miałby kogoś zabijać? On się nie interesował polityką, nikomu źle nie życzył.

Zamach na papieża? – Nikomu źle nie życzył. Papieża kochał jak ojca.

To dlaczego do niego strzelił? – Nie wiem – wzrusza ramionami Adnan. – Brat nie wiedział, kim jest papież. To był plan boży. Poza tym wykorzystano go…

Nie wytrzymuję.

– Skoro wszystkich kochał i dla wszystkich chciał dobrze, to dlaczego został terrorystą?! – pytam ze złością.

Adnan też ma dość takich pytań: – Został wykorzystany, już mówiłem. Nikomu źle nie życzył – powtarza swój refren i będzie go powtarzać w nieskończoność. Napięcie między nami osiąga niebezpieczny pułap. Dalsze pytania o przeszłość Ali Ağcy nie mają sensu.

– A jakim człowiekiem jest dziś? – pytam więc. Ale w tym samym momencie chichoczące do tej pory w przedpokoju dzieciaki wreszcie odważają się wparować do pokoju. Pierwszy wbiega czteroletni Isa, po turecku Jezus, syn Adnana. Isa wskakuje ojcu na kolana i ciągnie go za nos. Za małym wchodzą dziewczyny: ciemnowłosa Marie i niebieskooka Deniz (to po prababci, też miała niebieskie).

Adnan przytula dzieciaki. Łaskocze dziewczyny, Isę ciągnie dwoma palcami za ucho. Na kilka minut całkiem zapomina o bracie, papieżu, polskim dziennikarzu i pytaniach, na które od trzydziestu lat musi odpowiadać, choć to przecież nie on strzelał do papieża, nie on jeździł na obozy do Syrii i nie on zabijał tureckich dziennikarzy. Przez moment widzi tylko swoje ukochane dzieciaki, które włażą mu na głowę, ciągną za włosy i za zmechacony sweter.

– O czym mówiłem? – pyta po chwili, całkiem rozkojarzony. Ale ja sam już nie pamiętam, o co go miałem zapytać.

1 lutego 1979 roku

Godzina 19:00. Abdi İpekçi, słynny turecki dziennikarz, redaktor naczelny poczytnego dziennika „Milliyet”, walczący o prawa człowieka lewicowiec, wraca do domu. Jest już blisko, musi jeszcze tylko podjechać pod górę.

W Stambule leży trochę śniegu i auto ciężko się prowadzi. Nagle ktoś podbiega do samochodu. Broń. Pięć strzałów. İpekçi umiera na miejscu. Zabójcy uciekają.

Przez pięć długich miesięcy są bezkarni. Nikt ich nie widział, policja nawet nie wie, gdzie szukać. Pewnego dnia niespodziewanie do komisariatu dzwoni anonimowy informator – zabił Mehmet Ali Ağca, jest teraz w restauracji nad Bosforem.

Ağca rzeczywiście siedzi nad Bosforem. Policji nie stawia najmniejszego oporu. Trafia do pilnie strzeżonej twierdzy Kartal na przedmieściach Stambułu. Zaczyna się proces.

Po kilku miesiącach z pomocą kolegów terrorystów Ağca – w wojskowym mundurze – ucieka z więzienia.

Pisze list, w którym grozi, że zabije Jana Pawła II, który lada dzień ma odwiedzić Turcję: „Zachodni imperialiści [...] przysłali do Turcji Dowódcę Krzyżowców Jana Pawła przebranego za przywódcę religijnego. Jeśli wizyta [...] nie zostanie odwołana, bez wahania zabiję Papieża Przywódcę. Był to jedyny powód mej ucieczki z więzienia”.

Mimo to papież przyjeżdża nad Bosfor. W czasie jego wizyty Ağca ucieka do Bułgarii.

Wkrótce potem Jan Paweł II po raz pierwszy pielgrzymuje do Polski. Wlewa w serca rodaków nadzieję, której efektem są narodziny Solidarności. Prawdopodobnie wtedy podpisuje na siebie wyrok śmierci – jest dla Moskwy zbyt niebezpieczny.

Ağca już wie, że weźmie udział w ważnej akcji. Czy wie, że będzie strzelał do papieża? Raczej nie. Żeby zatrzeć ślady, mocodawcy wysyłają go w wielką podróż: odwiedza Iran, Sofię, Rzym, Zurych, Wiedeń, Majorkę, Mediolan i Tunezję. Pisze dziennik. Chwali się w nim, że w Sofii wynajął prostytutkę i uprawiał seks w jednym z kościołów. Chodzi w płaszczach z wielbłądziej wełny, nosi złotego roleksa. Ma mnóstwo pieniędzy. Ma też opinię brutalnego świra. Trudno o lepszego kandydata na zabójcę papieża.

5.

Od kiedy Mehmet Ali jest w więzieniu, Adnan, zgodnie z tureckim zwyczajem, przejmuje obowiązki głowy rodziny. – Tylko do chwili, gdy brat wyjdzie na wolność – podkreśla. Zresztą, kiedy to tylko możliwe, prosi go o radę. Radził na przykład, jakie nadać imiona dzieciom, gdy się rodziły. To właśnie Ali chciał, żeby syn Adnana nazywał się Isa – Jezus, a córka Meryem – Maryja. Tak się stało.

Pierwszy raz Adnan nie zapytał brata o radę dopiero kilka tygodni temu. Nie umiał. Sam zdecydował, by zabrać ciężko chorą matkę ze szpitala do domu.

Muzeyyen Ağca ma cukrzycę, jest umierająca.

– Mógłby tego nie wytrzymać – mówi Adnan. – Matka jest dla niego najważniejsza. Dałby się za nią zabić. Jako mały chłopiec Ali Ağca robił wszystko, by nie musiała pracować – tłumaczy. – Potem z Ankary przysyłał jej pieniądze albo prezenty. Kiedy był w więzieniu, jeździliśmy z matką do Włoch. Było ciężko, bo taki wyjazd dużo kosztuje, a nikt nam nie pomagał. Tylko papież nas nie zawiódł. Jak się dowiedział, że jesteśmy w Rzymie, przełożył wszystkie spotkania i rozmawiał z nami. Powiedział: „Mehmet Ali jest moim bratem, a wy jesteście dla mnie jak rodzina".

13 maja 1981 roku

Ubrany w białą koszulę i szarą letnią marynarkę Ağca idzie na plac Świętego Piotra. Ma ze sobą browninga 9 mm kupionego w Wiedniu specjalnie na ten dzień. Staje niedaleko Spiżowej Bramy, trzy metry od trasy, którą po audiencji generalnej ma jechać papież.

Dwadzieścia metrów dalej, obok fontanny, czeka Oral Çelik, brutalny terrorysta, przyjaciel Ağcy jeszcze z Malatyi. Ubrany jest w skórzaną kurtkę, dżinsy i trampki, ma przy sobie berettę 7,65 i – na wszelki wypadek – granat zaczepny.

Około siedemnastej audiencja się kończy. Papamobile zaczyna okrążać plac Świętego Piotra. Papież, jak zwykle, pozdrawia pielgrzymów, ściska dłonie, błogosławi dzieci. Jest coraz bliżej Ağcy.

17:17. Ağca powoli podnosi browninga. Strzela. Trafia papieża w brzuch i łokieć. Rana w brzuch powinna być śmiertelna. Nie jest. Kula o milimetry mija najważniejsze organy. Papież jest ciężko ranny, krwawi, ale udaje mu się przeżyć. To pierwszy tego dnia cud.

Drugi następuje trochę później – papież wybacza zamachowcowi.

Çelikowi udaje się zbiec. Do dziś nie wiadomo, czy wtedy strzelił, czy w ogóle nie sięgnął po broń.

Ağca zostaje złapany przez dzielną zakonnicę, siostrę Letizię. Ta trzyma go aż do przyjazdu policji.

6.

Biuro na drugim piętrze obskurnej kamienicy na obrzeżach Stambułu. Tabliczka: Mustafa Demirbağ, adwokat.

– Tę sprawę dostałem trochę przypadkiem. – Demirbağ, prawnik Alego Ağcy, ma na sobie czarny, elegancki golf i ciemną marynarkę. – Któregoś dnia Adnan pokłócił się z prawnikami brata. Zarzucił im, że tak zajęli się robieniem kariery na plecach Ağcy, że o nim samym zapomnieli.

Demirbağ nie chciał brać tej sprawy. Adnan Ağca nalegał. Umówili się, że zanim odmówi, odwiedzi go w więzieniu.

– Byłem ciekaw tego człowieka – opowiada teraz. – To żywa legenda. Myślałem, że jest niebezpieczny. Bałem się, że może mi zrobić krzywdę. Usiadłem w pokoju

widzeń. Przyszedł, podał mi rękę, nieśmiało się uśmiechnął. Wydał mi się bardzo uprzejmy, zakłopotany całą sytuacją. Kiedy zapytał, czy zgodziłbym się prowadzić jego sprawę, byłem już pod jego urokiem. Nie umiałem odmówić.

Życie Demirbağa odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Mało znany adwokat zaczął nagle udzielać wywiadów i chodzić na nagrania telewizyjnych talk-show. Zaczął też dostawać SMS-y z pogróżkami, więc – na wszelki wypadek – kupił broń. Ale przede wszystkim zaczął poznawać samego Ağcę.

– Zgromadziłem wszystko, co udało mi się znaleźć na jego temat. Osiem wielkich segregatorów – mówi i przynosi trzy z nich. Więcej nie da rady unieść. – Zacząłem chodzić do więzienia dwa, czasem nawet cztery razy w tygodniu. Poświęcam tej sprawie całe życie, cały czas wolny, wszystko.

Jakim człowiekiem jest Ali Ağca? – Wspaniałym, zupełnie innym, niż można przeczytać w gazetach. Jest oczytany, piekielnie inteligentny. Jeśli ktoś próbuje nim grać dla swoich celów, uderzy o ścianę. On doskonale wyczuwa każdy fałsz. Ale jest bardzo życzliwy. Kiedy rozmawiamy, zawsze patrzy w oczy.

O czym marzy? – O spokoju. Chce się zaszyć gdzieś w ciszy, na wsi, i tak żyć. Z dala od wszystkiego.

Przyjaźnicie się? – Próbuję trzymać dystans prawnik – klient, ale jest naprawdę ciężko. – Demirbağ zapala drugiego papierosa. – Z Ağcą od wielu lat nikt nie rozmawiał tak, jak się rozmawia z kolegą: co słychać, jaką książkę czytasz, jakie były wyniki w lidze. Miał wielki głód rozmów z ludźmi. Dobrze nam się rozmawia. Tyle mogę powiedzieć.

1983 roku

Ağca jest we włoskim więzieniu. Już nie liczy, że koledzy, jak kiedyś, pomogą mu uciec. Zaczyna zeznawać. Sypie dawnych kumpli terrorystów, w tym Szare Wilki.

W czerwcu nieznani sprawcy porywają piętnastoletnią Emanuelę Orlandi, córkę pracownika Watykanu. Chcą ją wymienić na Ağcę. Dziewczynki nie odnaleziono do dziś. Dziwna rzecz – Ağca mówi, że wcale nie chce być zwolniony, że jest mu w więzieniu bardzo dobrze. Boi się, że jeśli wyjdzie, dawni koledzy go zabiją.

Kiedy zaczyna się proces, odwołuje wszystkie wcześniejsze zeznania. Sam siebie ogłasza mesjaszem. „Jestem dużo większy niż Karol Darwin i Zygmunt Freud!” – krzyczy.

7.

Rabya Özden Kazan nie chce się ze mną spotkać.

– To zbyt świeże sprawy, by o nich rozmawiać – mówi. – Za bardzo jeszcze boli.

Udaje mi się ją namówić na krótką rozmowę przez telefon. Ze zdjęć wiem, że jest piękną kobietą z ciemnymi, gęstymi brwiami i oczami koloru orzecha. Nosi, jak wiele kobiet na wschodzie Turcji, czarną muzułmańską chustę, która zakrywa jej włosy. Była narzeczoną Alego Ağcy. Ale zerwali.

– Ja zerwałam – mówi piękna Rabya. – Trudno jest mieć narzeczonego

w więzieniu. Zwłaszcza takiego narzeczonego – wzdycha ciężko.

Rabya jest dziennikarką. Parę lat temu pojechała zrobić z Ağcą wywiad. Tak się poznali.

– Nie wiedziałam o nim wiele – mówi. – Tyle, że był terrorystą. Spodziewałam się, że spotkam potwora. A on okazał się ujmującym, wrażliwym człowiekiem. Większość mężczyzn w Turcji myśli, że najlepszy sposób na kobietę to udawać brutala. Ağca natomiast jest bardzo ciepły i czuły.

Więzienie sprawiło, że jest dużo dojrzalszy niż inni, dużo lepiej wie, co jest w życiu ważne. A najciekawsze, nie uwierzy mi pan, Ali Ağca rumienił się, jak rozmawialiśmy. On jest nieśmiały!

Od razu widziałam, że mu się podobam. On też mi się spodobał. Jest bardzo interesujący. Zamiast o terroryzmie zaczęliśmy rozmawiać o życiu. „Życie jest jak okruszek chleba" – powiedział. Ale nie wyjaśnił, co to znaczy, a ja nie śmiałam dopytywać.

W godzinę opowiedziałam mu wszystko o sobie, jak najlepszemu przyjacielowi. Rok później byliśmy zaręczeni.

Sielanka nie trwała długo. Wieść o zaręczynach przeciekła do gazet. Dziennikarze zaczęli śledzić Rabyę, dzwonić do niej i pisać o ich związku. Któryś napisał, że jest dziwką na usługach Szarych Wilków. Że to dawni koledzy Ağcy płacą jej, żeby miał trochę przyjemności. Pytał, jak to możliwe, że tuzy tureckiego dziennikarstwa od sześciu lat nie mogą się doprosić o wywiad z Ağcą, a Rabya Özden Kazan, dziennikarka marginalnej gazety, weszła do stambulskiej twierdzy Kartal, jakby to był supermarket.

Ponoć Rabyę najbardziej zabolało, że Ağca tego nie zdementował.

1983

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Na teren włoskiego więzienia Rebibbia wjeżdża czarny mercedes na watykańskich numerach. Jan Paweł II przyjechał odwiedzić człowieka, który próbował go zabić. Rozmowa trwa dwadzieścia minut. Po latach papież napisze w książce *Pamięć i tożsamość*: „W ciągu całej rozmowy Ağcy nie dawało spokoju pytanie: jak to się stało, że zamach się nie powiódł? Przecież zadbał o najdrobniejszy szczegół [...]. Ali Ağca zrozumiał, że ponad jego władzą, władzą strzelania i zabijania, jest jakaś potęga wyższa. Zaczął jej poszukiwać. Życzę mu, aby ją znalazł”.

1999

Papież prosi prezydenta Włoch o uniewinnienie Alego Ağcy. Niedługo potem terrorysta wychodzi z włoskiego więzienia. O wolności nie ma jednak mowy. Przejmują go Turcy i zamykają za zabicie Abdiego İpekçiego. Znów trafia do twierdzy Kartal.

8.

Przeglądam z Demirbağiem dossier Ağcy. Znajdujemy list, który zamachowiec wysłał do papieża. List jest starannie wykaligrafowany, literka po literce. Ağca ma niedowład prawej ręki. Pisze, trzymając długopis w zaciśniętej pięści.

– Ma też chore nerki i płuca – dodaje Demirbağ. Na widok listu adwokat się ożywia.

– Papież był dla Ağcy najważniejszym człowiekiem. Teraz przecież jest w więzieniu ze względu na inną sprawę, za rzekome zabójstwo İpekçiego.

Rzekome, bo Ağca po latach powiedział, że to nie on strzelił do İpekçiego. Że on wtedy tylko pilnował, czy nikt nie idzie.

– Gdyby był koniunkturalistą, już dawno by zapomniał o papieżu – ciągnie Demirbağ. – A on mówi o nim bez przerwy! Wspomina ich spotkanie, to, że papież mu wybaczył i przygarnął jak syna. Ağca też kochał go jak ojca.

– Kiedy zaczynałem sprawę Ağcy, nie wiedziałem nic o papieżu, Watykanie, chrześcijaństwie. Ale szybko się zorientowałem, że aby zrozumieć mojego klienta, muszę zrozumieć polskiego papieża. Dziś wiem, że był wielkim człowiekiem, największym, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Ali Ağca też tak uważa.

Chciał jechać na jego pogrzeb. Nie chodziło mu o rozgłos. On po prostu chciał tam być. Nie udało się, ale kiedy tylko wyjdzie na wolność, pojedzie na grób Jana Pawła II. Wiem, że bardzo za nim tęskni.

9.

Ağca i papież spotkali się tylko raz: w 1983 roku, w czasie słynnej wizyty Jana Pawła II w więzieniu. Mimo to Ağca aż do śmierci papieża nazywał go swoim największym przyjacielem. Jego brat wmawia wszystkim, że gdyby tylko chciał, mógłby zostać kardynałem, tak silna jest przyjaźń Alego Ağcy i Jana Pawła ii.

Papież mówił, że w trakcie rozmowy Ağca bał się zemsty Matki Boskiej Fatimskiej, która – jak powtarzają katolicy na całym świecie – udaremniła zamach. Jan Paweł II go uspokajał. „Ona cię kocha” – mówił o Maryi.

Ağca zapamiętał tamto spotkanie inaczej.

„Watykan chciał, żebym dał się ochrzcić, to był jeden z powodów wizyty papieża – powiedział włoskim dziennikarzom. – Rozmawialiśmy zatem o religii. Powiedziałem papieżowi o świętej wizji, którą dostałem prosto od Boga. Papież mi uwierzył”.

Ağca do dziś powtarza, że jest mesjaszem.

Mówi, że strzelił do papieża, bo Bóg mu to osobiście kazał. „W ostatniej chwili chciałem zrezygnować, jechać na stację kolejową Termini, wrócić pociągiem do Zurychu i żyć w spokoju. I wtedy stał się cud. W ułamku sekundy zrozumiałem, że mam wrócić i go zastrzelić” – powiedział dziennikarzom.

Ağca mówi, że wypełniał tylko proroctwa. Wypełniał, bo ktoś je wypełnić musiał. Bóg chciał, by był to Mehmet Ali Ağca, nowy mesjasz, urodzony w ubogiej rodzinie, w Hekimhan, pod pachnącą morelami Malatyą, mroźną zimą 1958 roku.

10.

Mieszkanie Ağraw urządzone jest bardzo skromnie. Pokój gościnny to tylko dwa tapczany, telewizor, stary spłowiały dywan i koza, pod którą siedzi Fatma.

– Pański brat mówi, że jest mesjaszem. Co pan o tym myśli? – pytam brata Alego.

Cisza. Głowy wujów zastygły, milczenie wydłuża się niemiłosiernie.

– My tego do końca nie rozumiemy – odzywa się w końcu Adnan. – Jesteśmy prostymi ludźmi, a tu trzeba profesorów. Ale przecież w przepowiedni fatimskiej jest napisane o moim bracie, tak czy nie? I jest napisane, że świat czeka wiele cierpienia. Jak dotąd wszystko się sprawdza. Mój brat, jak wyjdzie z więzienia, napisze książkę. Tam wszystko wyjaśni. To będzie taka książka jak *Kod Leonarda da Vinci*, która chrześcijanom pokazała, jak dokładnie było z ich religią.

Mustafa Demirbağ też twierdzi, że coś jest na rzeczy.

– Na początku uważałem, że to bzdury. Zmieniłem zdanie, gdy Ağca wyszedł na wolność. Zobaczyłem go umęczonego, wystraszonego tym, co wypisują o nim gazety. „Morderca na wolności!”, „Szatan jest między nami!”, krzyczały nagłówki. A Ağca patrzył na mnie znad tego ścieku oczami dziecka.

– I co to znaczy?

– Ja zrozumiałem, że oni go krzyżują. Zupełnie jak Chrystusa.

2006

Ağca wychodzi z więzienia. Turecki sąd zalicza mu na poczet kary dziewiętnaście lat odsiedzianych we Włoszech. Ponadto sędzia uznaje, że Ağcę objęła amnestia sprzed kilku lat.

Jednak były terrorysta chodzi wolny tylko osiem dni. Kilka z nich spędza z Adnanem i Fatmą, resztę z Mustafą Demirbağiem.

– Nie robiliśmy nic szczególnego – mówi Adnan. – Ali oglądał telewizję, trochę rozmawialiśmy.

– Raz poszliśmy na spacer nad Bosfor, do dzielnicy Kadıköy – mówi Demirbağ. – Ağca założył czapkę i ciemne okulary. Mimo to dwie osoby go rozpoznały, został poproszony o autograf. Wiem, że sprawiło mu to przyjemność. Ale najbardziej się cieszył, że nie musi już jeść plastikowymi sztućcami i że czuje powiew wiatru na twarzy. Powiedział mi: „Nawet nie wiesz, jakie to wspaniałe uczucie, kiedy oddychasz jak wolny człowiek”.

Gdzie mieszkał Ağca? Demirbağ nie chce powiedzieć.

– W domu przyjaciół – ucina.

Kto wysłał pod więzienie luksusową limuzynę? Adwokat mówi, że nie wie.

– Stał samochód, to wsiedliśmy i pojechaliśmy.

Tureccy dziennikarze piszą, że to Szare Wilki zorganizowały auto i mieszkanie. Piszą też, że to koledzy terroryści opłacają prawnika Ağcy i dbają, by jak najszybciej wyszedł z więzienia. Wielu z nich to dziś biznesmeni, politycy, ludzie wysoko postawieni. Na włoski wymiar sprawiedliwości nie mieli wpływu. Na turecki podobno mają.

Po wyjściu Ağcy z więzienia turecka prasa jest oburzona. Pod jej naporem minister sprawiedliwości każe sądowi raz jeszcze rozpatrzyć sprawę. Decyzja zapada w rekordowym tempie. Po ośmiu dniach wolności po Ağcę przychodzą policjanci.

– Czekałem na was – mówi Ağca. Oficer policji, który kierował aresztowaniem, powie potem, że Ali nie stawiał oporu. Nie był zaskoczony, może tylko nieco smutny.

Ağca na kolejne cztery lata wraca do twierdzy Kartal.

11.

Nükhet İpekçi, córka Abdiego, pierwszej ofiary Ağcy, nigdy nie zapomni dnia, gdy zginął jej ojciec.

– To nie jest tylko mój osobisty dramat, to dramat całej Turcji. Był jednym z niewielu ludzi, którzy mogli zatrzymać terror – mówi.

İpekçi w dniu śmierci miał czterdzieści dziewięć lat. O terroryzm i anarchię obwiniał i lewicę, i prawicę. Nie lubili go ani politycy, ani terroryści. Ale musieli się z nim liczyć. Dlatego zginął.

– Papież popełnił wielki błąd, wybaczając Ağcy – twierdzi córka İpekçiego. – Wybaczyć można komuś, kto o to prosi. Ağca nie prosił. Więcej, on nawet nigdy nie przeprosił mojej rodziny za to, co się stało. Papieża przeprosił? Widzi pan, też nie. Jest grubiański i bezczelny. Kiedy ktoś go pyta o zamach na mojego ojca, potrafi się roześmiać w twarz. A potem powtarza: „Papież mi wybaczył, wy też powinniście tak zrobić”.

Pani İpekçi chce, by za kratki trafili również inni byli terroryści. Oral Çelik, który kierował zarówno zamachem na jej ojca, jak i na papieża, nigdy nie siedział w więzieniu. Napisał nawet książkę o kulisach zamachu na papieża. Reklamował ją jako „pierwszą w stu procentach prawdziwą”.

– To stek bzdur – mówi o książce Çelika jeden z tureckich dziennikarzy. – Jej główna myśl brzmi: to Watykan i włoski wywiad dali pieniądze na zabicie papieża. To teoria, którą Szare Wilki teraz bardzo mocno promują, ale nikt przy zdrowych zmysłach w to nie uwierzy.

Jeszcze niedawno Çelik był prezesem klubu sportowego Malatyaspor. Tego ze sztuczną murawą i z kibicami, którzy śpiewają o Ağcy.

2010

Mehmet Ali Ağca wyszedł na wolność w styczniu 2010 roku. Zapowiadał filmy, wywiady, „całą prawdę o zamachu na papieża”, ba, nawet udział w tureckim „Tańcu z gwiazdami”. Jego prawnik zapewniał mnie przez telefon, że Ağca pojedzie do Watykanu na grób Jana Pawła II. A zaraz stamtąd przyleci do Krakowa i Wadowic.

Jednocześnie zapowiadał, że Ağca nigdy nie przeprosi rodziny İpekçi. Bo nie ma za co.

Kiedy Ağca wyszedł z więzienia, jego prawnik przestał jednak odbierać telefon. Kilka dni później sygnał całkowicie zanikł. Od tamtej pory nie udało mi się z nim skontaktować.

Z Adnanem Ağcą dość długo byłem w stałym kontakcie. Wysyłaliśmy sobie SMS-y z życzeniami: ja jemu na Kurban Bayramı, a on mi na Boże Narodzenie. Prosił mnie o pomoc w uzyskaniu dla całej jego rodziny polskiego obywatelstwa. Mówił, że w Turcji nie czuje się dobrze. – Przecież papież mówił, że jesteśmy jego rodziną. Czy rodzina może mieć inne obywatelstwa? – pytał.

Kiedy jednak jego brat wyszedł z więzienia, również telefon Adnana Ağcy zamilkł.

Po wyjściu z więzienia Mehmet Ali Ağca przepadł jak kamień w wodę.

Bajbajbusz

To było tak: obiad, odprawa wojsk, rozmowa z oficjelami. 14 grudnia 2008 roku George Bush żegnał się z Irakiem. Na koniec wyszedł do dziennikarzy. Odpowiadał na pytania, szczerzył zęby w uśmiechu. Ot, kolejna oficjałka. Nagle jeden z dziennikarzy zdjął but i cisnął nim w Busha. – To dla ciebie, psie! – krzyknął. – Od irackich wdów i sierot! – i szybko rzucił drugim butem.

Bushowi udało się uchylić. Jego agenci w popłochu stratowali rzeczniczkę Białego Domu. Bez potrzeby. Zamachowiec nie miał więcej nóg. Iraccy ochroniarze powalili go na ziemię.

Kontrahent z Mosulu

Dostawcze auto podskakiwało na wertepach nad tureckim wybrzeżem Morza Czarnego. Kierujący nim Kurd, żeby nie zasnąć, palił papierosa za papierosem. Zazdrościł szefowi, który oparł głowę o szybę i drzemał.

Obu ożywił telefon: + 964... Numer z Iraku. Ramazan Baydan, trzydziestokilkulatek z trzydniowym zarostem, nacisnął zieloną słuchawkę.

Pół roku później łamanym polskim mówi mi, że całe życie czekał na ten telefon. Zawsze przeczuwał, że kiedyś zadzwoni jakiś człowiek i odmieni jego los.

Tym człowiekiem był Abdullah, kontrahent z Mosulu.

– Ramazan! Widziałeś wiadomości?

Niby jak miał widzieć? Cały dzień rozwoził towar po sklepach na wybrzeżu.

– W Bagdadzie jakiś chłopiec rzucił butem w Busha...

– *Maşallah*! A to dobre! Trafił?

– Nie.

– To po co mi głowę zawracasz?

– Ramazan! Telewizja mówi dziś tylko o tym. Gazety będą pisać tylko o tym!

– I co z tego?

– Ramazan! To był TWÓJ but!

Podeszwa boli najbardziej

Imam Halil Yusuf ma z butem ciśniętym w Busha problem. Ogląda go z lewej, z prawej. To odkłada na podłogę, to znów bierze do ręki.

– Kupiłem je odruchowo. Robi je ta sama fabryka. Zobacz, nazwali je nawet... Pomóż mi, to po angielsku... „Bye bye Bush". No, bajbajbusz. Jakbym był na miejscu tego chłopca, też bym rzucił.

Siedzimy w domu imama, tuż przy meczecie w azjatyckiej części Stambułu, i pijemy herbatę. Imam – na karku sześćdziesiątka, siwa broda, na czole dwie

głębokie zmarszczki – głośno myśli.

– Rzuciłbym. Ale wstydzę się tego. Islam jest religią miłości. Jeśli ktoś cię krzywdzi, masz nadstawić drugi policzek. Z drugiej strony Bush to morderca i Irakijczyka można tylko pochwalić. Celował tak, żeby trafić podeszwą. – Obaj patrzymy na grubą podeszwę bajbajbusza. – To u nas wielka obraza – mówi imam, ale jego sympatii dla rzucającego nie daje się ukryć. – Tyle że tu nie chodzi o but. Nie chodzi nawet o Busha – dodaje i rozczesuje brodę palcami. – Tu chodzi o was. W ludziach jest coraz więcej złości na Zachód. Na Amerykę, na Unię, na was. Prowadzę ośrodek dla narkomanów. Od lat jeżdżę na konferencje po całej Europie. Zawsze mówię: żyjemy inaczej, ale problemy są te same: jak dać dzieciom lepszą przyszłość, staruszkom godną śmierć, światu pokój.

Ale dla was życie w pokoju to życie według waszych reguł. Mówicie, że islam jest zacofany, że nasza demokracja jest słaba, a tradycje głupie. Każecie się zmieniać, bo to wy wiecie, jak się powinno żyć w XXI wieku. A jak próbujemy się zmieniać, bo przecież od czasów Atatürka nie robimy nic innego, śmiejecie się z nas. Ja na przykład mam brodę i muzułmańską czapkę. Jak wyjdę na miasto, robicie mi zdjęcia! Jak jakiejś małpie!

– Hodża, to ciekawość, a nie wyśmiewanie – próbuję łagodzić.

– Nie, Witold. To coś więcej. Mój kraj za wszelką cenę chce być zachodni i nowoczesny. Zrobilibyśmy wszystko, żeby się wam przypodobać. Pół wieku temu wysłaliśmy wojska do Korei, żeby Amerykanie się z nami liczyli. Co dostaliśmy w zamian? Nic! Nawet wiz nam nie znieśli. Ubieramy się w dżinsy, robimy filmy na wzór waszych. A wy ciągle przyjeżdżacie i kręcicie nosami.

– Nie każdy...

– Witold, ciężko się z tobą gada. Zamiast mnie denerwować, idź lepiej zapytać ludzi, którzy kupują te... bajbajbusze.

Irak jest dumny

Obuwniczego zamachu dokonał dziennikarz Muntadar al-Zaidi. Kawaler, bezdzietny, lat dwadzieścia dziewięć.

– Jaki prezydent, taki zamach – powiedział dzień później turecki satyryk.

– Myślę, że nie mógł znieść uśmiechu tego drania – mówi mi przez telefon Dhirgham al-Zaidi, brat zamachowca. – Trzeci rok pracował w telewizji al-Baghdadia. Na początku byłem jego operatorem. Codziennie pokazywaliśmy życie najbiedniejszych Irakijczyków: wdów, sierot, kalek. Wojna zrobiła tu straszne rzeczy. Nie widzicie tego w waszych telewizjach. Macie cenzurę, bo to wasza wojna i wasza wina. Poza tym wasi dziennikarze boją się tam zapuszczać. Muntadar się nie bał. Bardzo przeżywał to, co widział. Nasz bliski kuzyn zginął w zamachu. Każda rodzina kogoś straciła. Rzut butem? Nie spodziewałem się, że to zrobi. Myślę, że działał spontanicznie. Ale jestem z niego bardzo dumny.

Dumni byli niemal wszyscy Irakijczycy. Kiedy okazało się, że al-Zaidiemu grozi kilkanaście lat więzienia, tysiące z nich wyszły na ulicę, żeby wyrazić solidarność z „Ciskającym Muntadarem". Nieśli buty: w dłoniach i przyczepione do kijów. Przyklejali je do zdjęć z twarzą Busha i krzyczeli: „Amerykański pies!".

Ramazan Baydan, gdy tylko ochłonął po telefonie z Bagdadu, pojechał do pierwszego z brzegu hotelu. W każdych wiadomościach (a hotelowy telewizor łapał telewizje z Turcji, Gruzji i – choć obraz śnieżył – z Iranu) pokazywano jego but.

– Popłakałem się – mówi mi Baydan pół roku później. – Ten model sam zaprojektowałem i przez pierwsze pięć lat sam go kleiłem. Bo ja wszystkiego muszę dopilnować osobiście. A teraz mój but podziwia cały świat!

Wiedziałem jednak, że muszę działać szybko. Już dzień później dziesięć fabryk zaczęło się przechwalać, że to ich buty leciały w stronę Busha. Dwie z Chin, jedna z Syrii i po jednej z Libanu i Iraku. Reszta z Turcji, bo my produkujemy najwięcej ubrań w regionie. Zobaczyłem w irackiej telewizji jakiegoś idiotę, który machał pantofelkiem i tłumaczył, że to jego butem rzucił ciskający Muntadar. Gołymi rękami bym go rozszarpał! Przecież widać, że bajbajbusz leci powoli. Tylko dzięki temu Bush miał szansę się uchylić. To był ciężki but, a nie jakiś weselny pantofelek.

Nasze banki są lepsze niż wasze banki

Że bajbajbusz nie jest pantofelkiem, przekonał się Recep, właściciel małej cukierni.

– Założyłem je na obrzezanie kuzyna. Noga mi się grzała cały dzień. Nie mogłem wytrzymać. Może ten chłopiec z Iraku też nie mógł wytrzymać w tej temperaturze? Zdjął, nie miał gdzie schować, to cisnął w Busha – żartuje cukiernik. I chwali się, że miał już kilka zamówień na tort w kształcie buta. – Od kiedy się okazało, że to but turecki, wszyscy o tym mówią! Ja też uważam, że tureckie znaczy najlepsze. Tureckie i arabskie. Czyli islamskie. Wiesz, że nasze banki w ogóle nie odczuły kryzysu? To znaczy tureckie, zapatrzone w wasz Zachód, trochę odczuły. Ale islamskie, kierujące się zasadami Koranu, mają się coraz lepiej.

I Recep opowiada mi o banku, który pożyczył mu pieniądze na rozkręcenie biznesu.

– Koran zabrania zarabiać na procentach. I słusznie. Zawsze biedny pożycza od bogatego i zawsze na tym traci. Bogaty staje się jeszcze bogatszy. A biedny do końca życia nie wychodzi z długów.

Zobacz, jak działają wasze banki. Dadzą ci pieniądze, tylko jeśli dostaną gwarancję, że spłacisz. Jak ci nie wyjdzie biznes, musisz sprzedać dom. Albo nerkę.

Bank islamski zaproponował mi *muşarekç*, czyli spółkę zgodną z zasadami islamu. Jeśli cukiernia nie wyjdzie, tracimy i ja, i bank. Nikt nie będzie mnie ciągał po sądach, nasyłał windykacji. Razem mamy interes, żeby się udało. Bank daje pieniądze, doradza, razem piszemy biznesplan. Zarabiamy też razem.

Gdyby wszystkie banki tak działały, nie byłoby kryzysu. Ale cała wasza kultura jest oparta na pieniądzu. Muzułmanin zawsze pamięta o rodzinie, przyjaciołach. Zawsze dzieli się z biedniejszymi.

Wy chcecie mieć jak najwięcej dla siebie.

Muzułmanin, jeśli ma gdzie mieszkać i co jeść, dziękuje Allachowi i uważa to za wielkie szczęście.

Wy na Zachodzie potrzebujecie jeszcze samochodu. I helikoptera. I najnowszego telefonu.

Ja tak myślę. Ale młodzież jest już zupełnie inna. Mój syn ma trzydzieści lat i zrobił sobie w brodzie kolczyk. Słucha dzikiej muzyki i myśli, dureń, że jest Europejczykiem.

Buty jak pistacje

Światowe Centrum Knucia przeciw Bushowi – tak fabrykę Baydana nazwał jeden z tureckich publicystów – mieści się na obrzeżach Stambułu.

Z centrum metropolii jedzie się tam prawie godzinę podmiejską kolejką. Albo dwie godziny taksówką – korki w piętnastomilionowym mieście kończą się dopiero na obrzeżach Küçükçekmece, wioski, która niedawno została wchłonięta przez stambulskiego kolosa. Tu przystawały na odpoczynek oddziały janczarów, którzy ruszali podbijać Europę. Również wojska Kara Mustafy, gdy szły na Wiedeń, zatrzymały się w Küçükçekmece. Do dziś życie toczy się tu wolniej, z dala od wielkoświatowych konfliktów.

Zasłonięta przez chustę sekretarka proponuje kawę, herbatę albo cola-turka – lokalną odpowiedź na coca-colę, którą w telewizji często reklamują hollywoodzcy aktorzy.

Po chwili zjawia się sam szef.

– I am big-boss Ramazan – przedstawia się. To wszystko, co potrafi powiedzieć po angielsku. Dużo lepiej idzie mu polski. – Dobre buty, barzo tanjo – pokazuje na towar stojący na półkach. – Trzy lata jeździłem do Warszawy, na Stadion – łamie sobie język, więc już po turecku dowiaduję się, że model numer 271, zanim poleciał w stronę Busha, tułał się z big-bossem między Stadionem Dziesięciolecia a bazarami w Mławie, Grodzisku i Piasecznie.

– Pieniędzy u was wielkich nie zrobiłem, ale ludzie byli super. Tak jak ja do wszystkiego dochodzili sami. Było dużo Kurdów, jak w domu. Oprócz tego Turcy, Bułgarzy, Rosjanie, Ukraińcy. Dopiero w 2003 roku, jak wybuchła wojna w Iraku, przestałem do was jeździć.

Irak to był interes życia. Wszyscy się bali tam sprzedawać. A ja jeździłem po małych miastach, czasem tydzień po tym, jak przeszedł front, i szukałem zbytu. Myślałem sobie: wojna wojną, ale chodzić w czymś trzeba. I miałem rację.

Inni dopiero teraz odkrywają ten rynek. A ja już mam kontakty. Sprzedaję buty

w Turcji, Iraku, Syrii, Jordanii, Rosji, Albanii, Bośni... Dam wam adresy kilku sklepów na bazarze. Sami zobaczycie. Buty idą jak irańskie pistacje!

Jedziemy więc pogadać z kupującymi. W pierwszym sklepie bajbajbusze się już skończyły.

– Sprzedajemy dwieście par tygodniowo – chwali się syn właściciela.

W drugim sprzedawca zaczyna od antybushowej tyrady: – Mam nadzieję, że ma w nocy koszmary. Że nie może spać i że będzie bardzo cierpiał, zanim umrze. Po tym, ilu ludzi zabił w Iraku, jego miejsce jest w piekle, między Hitlerem a Stalinem. Wy z Polski? Czyli wasze ręce też są czerwone od krwi. Mam nadzieję, że wasze dzieci będą się wstydzić za tę wojnę.

Odpuszczamy. Idziemy do trzeciego sklepu. Mieści się w samym środku dzielnicy Aksaray. To tutaj za komuny polscy handlarze zaopatrywali się w skóry i dżinsy. Gdzieś podobno zachował się sklep o nazwie Boniek. Ale dziś królują tu Rosjanie.

– Bajbajbusze? Proszę bardzo! Piaskowe, czarne, brązowe. Wszystkie z firmową naklejką i kilkoma słowami na pożegnanie dla byłego prezydenta – zachwala sprzedawca. – Chcecie porozmawiać z klientami? Proszę bardzo! O, to jest nasz zaprzyjaźniony klient. Mehmeeet! Chooodź, powiesz coś do gazety!

Wasz król nam buty wiązał

– Stany Zjednoczone nazywają się po turecku ABD, Amerika Birleşik Devletleri – mówi Mehmet, a wszyscy w sklepie słuchają go z uwagą. Mehmet sprzedaje na ulicy podobne do krakowskich bajgli precle, nazywane tu *simit*. Ale skończył szkołę średnią i podobno nawet rok studiował. Ma wśród handlarzy wielkie poważanie.

Mehmet nie ma wątpliwości, że dziś ABD jest najważniejszym graczem na światowej szachownicy.

– Ale kiedyś to myśmy byli ABD. Rządziliśmy całym światem: od Belgradu do Mekki. Wiesz, Witold, że doszliśmy aż pod Wiedeń?

Zastanawiam się przez kilka sekund, czy ciągnąć ten bolesny zapewne dla tureckiej dumy wątek. Raz kozie śmierć.

– Wiem. Nasz król was stamtąd przegonił.

Mehmet patrzy na mnie jak na jednego z szaleńców, którzy kręcą się czasem w okolicy meczetów.

– Czyś ty, Witold, zwariował? Wasz król? Król Lachów? Tureckim janczarom to on mógł co najwyżej but zawiązać. – Mehmet zanosi się od śmiechu, a z nim sprzedawcy i klienci, którzy z minuty na minutę tworzą coraz większy krąg.

Tym razem to moja duma jest urażona.

– Ale spod Wiednia was pogonił!

Mehmet rozkłada ręce.

– Sami żeśmy się pogonili. Jeden pasza się pokłócił z drugim. Ich koterie się tłukły na dworze. Sułtan tego nie ukrócił i oberwaliśmy. Co jak co, ale kłócić to my

się naprawdę umiemy. No, ale jak my byliśmy ABD, każdy miał równe szanse. Niewolnik mógł zostać sułtanem. Były takie przypadki. Nieważne, czy był Bośniakiem, Czerkiesem czy Kurdem. Teraz kto się rodzi biedny, biedny umiera. A nazywa się to demokracja.

Nasza owca ma się dobrze

Po odejściu Mehmeta podchodzi do mnie dyskretnie jedna z klientek.

– Pan z gazety? A wie pan, że nasi naukowcy sklonowali owcę? – pyta po cichu.

To ci dopiero! A ja myślałem, że Anglicy.

– Oni byli pierwsi – zgadza się klientka. Jak się okazuje, nauczycielka biologii. – Ale ich Dolly zdechła po roku. A nasza Oyalı ma już dwa lata i wciąż trzyma się nieźle. To właśnie mi się kojarzy z waszym Zachodem. Tandeta. Bajbajbusze będzie pan nosił dziesięć lat albo i dłużej. A jak kupiłam buty z Włoch, rozlazły się po tygodniu, o, tu. – I pani od biologii pokazuje, jak jej się but na szwie rozłazi.

– Z Włoch? Proszę pani, te buty to mój kuzyn szyje pod Stambułem – odzywa się niespodziewanie sprzedawca.

Pani biolog fuka na niego, na mnie i oddala się z godnością.

Bajbajbusz symbolem walki

Powiedzmy szczerze – buty Ramazana Baydana to straszna tandeta. Nie sądzę, by wytrzymały dłużej niż szyte pod Stambułem włoskie buty pani biolog. Zrobione są z nędznej imitacji skóry. Podeszwa jest tak wysoka, że mężczyzna wyższy od ogrodowego krasnala wygląda w nich, jakby chciał sobie dodać wzrostu. Teraz dodatkowo szpeci je napis. Na złotym tle czytamy, a jakże, „Bye bye Bush".

Ale Baydan, jak każdy turecki biznesmen, jest mistrzem przekuwania wad na zalety.

– To tani but. Kosztuje tylko trzydzieści dolarów. Dzięki temu może stać się symbolem walki ubogich z bogatymi – mówi i spogląda na schowane w szufladzie notatki. – Mój but stał się symbolem walki! – czyta. – Moja firma będzie wspierała dialog na Bliskim Wschodzie. Będę pomagał Palestyńczykom, Czeczenom i Strefie Gazy. Bajbajbusz stanie się orężem w walce o światowy pokój.

Jak dokładnie firma Baydan Ayakkabı będzie wpływać na światowych przywódców, szef nie zdradza. Widząc, że jego zapowiedzi nie robią na mnie większego wrażenia, zamyka szufladę i proponuje papierosa.

Pamuk szkaluje naród

– Pokój na Bliskim Wschodzie? To nie za naszego życia – mówi Zeynep, studentka ze Stambułu. – Tę parę kupuję jako prezent dla ojca. Był oficerem. Właśnie przeszedł na emeryturę. Też uważa, że Izraelczycy z Arabami się nie dogadają.

Po co mu buty? Cóż, w Turcji też jest kilka osób, w które można by rzucić –

i Zeynep waży bajbajbusza w dłoni. – Kilku polityków. Piosenkarzy. I ten pieprzony Orhan Pamuk.

Politycy – to jasne. Zawsze coś przeskrobią. Piosenkarze? Często fałszują. Ale czym studentce zawinił noblista? Wychodzimy ze sklepu i idziemy na kawę. Proszę Zeynep o mały wykład z pogranicza literatury i życia.

– Po pierwsze, on nawet dnia w życiu nie przepracował. Jest z bogatej rodziny. A są pisarze, którzy sobie od ust muszą odjąć, żeby pisać. Czemu im nikt Nobla nie daje?

Odpowiadam, że jakby dawali tylko biednym, to byłaby to zapomoga, a nie Nobel. Zeynep kręci głową.

– Wiesz, dlaczego Pamuk dostał Nobla? Bo szkaluje naród turecki! Śmieje się, że jesteśmy dumni z historii. Że wciąż wspominamy wielkie zwycięstwa naszej armii. Albo że nie umiemy znaleźć sobie miejsca między Wschodem a Zachodem.

Pisarze powinni wspierać to, co w narodzie piękne. A on się śmieje z tego, co w nas małe. Ale najbardziej mnie boli, że szkaluje Atatürka.

I Zeynep przypomina mi, jak po I wojnie światowej sąsiedzi chcieli rozebrać Turcję, ale Atatürk nie pozwolił. I jak reformował i zbliżał jej kraj do Europy.

– Turcja nie może nic zmieniać z jego przesłania! – emocjonuje się córka oficera. – Jak ktoś go szkaluje, to mnie aż prąd przechodzi. Jeszcze pięć lat temu Atatürk to była świętość. A dziś Pamuk, który z niego kpi, dostaje Nobla. A inny pseudoreżyser[10] robi film, na którym Atatürk się upija i źle zachowuje. Mnie nie obchodzi, czy on się naprawdę upijał, czy nie! Ja nie chcę go takiego znać! Ale czekaj, idzie mój kolega. To bystrzak, na pewno coś powie ciekawego. Muraaat!

Murat studiuje razem z Zeynep pedagogikę.

– Zachód? Mam z nim kontakt prawie codziennie. Moje rodzinne miasto Alanya leży nad morzem. Są tam tysiące turystów. Jak widzę, jak traktujecie kobiety, krew mnie zalewa – opowiada. – Wasza kobieta z każdym mężczyzną porozmawia. Ktoś ją zaczepia, a ona się uśmiecha!

– Są w obcym kraju. Chcą być miłe.

– Tylko prostytutki się wdzięczą do każdego. Ale co z was za mężowie! Moi koledzy, jak poznają kogoś z Zachodu, zawsze żartują. Skąd jesteś, z Polski? Spałem kiedyś z jedną Polką... No, dlaczego nic nie mówisz?

– A co mam powiedzieć? Szczęściarz z ciebie...

– Chłopie, przecież ja cię właśnie obraziłem!

– Tak?

– No właśnie, wy nic nie rozumiecie. Za taki tekst Turek dałby od razu w twarz. To tak, jakbym ci obraził rodzinę – mówi Murat i oddala się.

– Wielu chłopaków, zwłaszcza w wioskach, tak myśli – mówi Zeynep. – To jak stosunki plemienne. Każdy z twojego plemienia jest twoim krewnym. Jeśli chodzi o traktowanie kobiet – Zeynep namyśla się dłuższą chwilę – to jednak jestem

po stronie Zachodu.

Prezydent butem w prezydenta

Miesiąc po akcji Muntadara butem od dziennikarza dostał indyjski minister spraw wewnętrznych. Kolejny poleciał w stronę chińskiego premiera w czasie jego wizyty w Oksfordzie. Prezydent Brazylii straszył butem prezydenta Wenezueli.

– Rzucę nim, jeśli przekroczysz czas wypowiedzi – mówił podczas szczytu Ameryki Południowej.

W irackim Tikricie lokalny artysta postawił bajbajbuszowi pomnik, a w USA młodzi przeciwnicy Busha zaczęli nosić znaczki z butem.

Ramazan Baydan zaczął się golić i używać perfum. Miał też propozycję ślubu (od bogatej pani ze Stanów, która również nie lubi Busha) i romansu (od modelki, która reklamowała jego buty). Obie odrzucił. Nie ma teraz czasu na nic poza firmą.

Ta zaś przeżywa oblężenie. Modelu 271 do tej pory sprzedawało się koło pięciu tysięcy par rocznie. Od kiedy jest bajbajbuszem, w pół roku rozeszło się ponad trzysta tysięcy. Najwięcej do... Stanów Zjednoczonych.

– Ludzie, którzy nie lubią Busha, stawiają je sobie na telewizorach – mówi Baydan. – Martwi mnie tylko, że w Iraku sprzedaż wzrosła słabo. Nie wierzą, że to był mój but. Jeśli ich przekonam, mogę mieć jedną trzecią irackiego rynku butów. Tak jak krawiec Saddama, który po jego procesie rządzi tam w garniturach.

– Kto?

– No, Recep Cesur. Dam ci jego adres.

Husajn miał świetny gust

Marynarka – 56.

Noga – 112.

Wzrost – 1,86.

Numer buta – 45.

Wszystkie te liczby Recep Cesur, łysy jak kolano kurdyjski krawiec, wymienia z pamięci.

– Nie dlatego, że chodzi o Saddama – zaznacza. – Pamiętam rozmiar każdego stałego klienta.

Jego sklep na słynnym bazarze w dzielnicy Sultanahmet od kilku lat przeżywa oblężenie. W środku nie ma nawet szansy spokojnie pogadać. Idziemy więc na zaplecze. Cesur pokazuje mi ciekawostkę: ostatni, nieodebrany garnitur Husajna.

– Przed procesem jego kuzyn zamówił u mnie osiem garniturów i koszul. Nie wiedziałem, czy to dla Saddama. Cała jego rodzina u mnie szyje, a podali inny niż zazwyczaj rozmiar marynarki. Ale kiedy zobaczyłem, jak wychudł, wszystko było jasne. Bardzo chciał dobrze wyglądać na procesie, więc zakładał wyłącznie moje garnitury. Nie zdążyłem mu przesłać tylko ostatniego.

Cesur dla Husajna, jego ministrów, a nawet dla irackiej drużyny piłkarskiej szył od dekady. Ale dopiero proces byłego irackiego prezydenta rozpoczął jego tłuste lata.

– Za każdym razem, jak Husajn sięgał po długopis, kamera pokazywała wszyte logo mojej firmy – chwali się krawiec. – Jakiś dziennikarz policzył, że na taką reklamę musiałbym wydać sześć milionów dolarów. Dotąd sprzedawaliśmy dwanaście tysięcy garniturów rocznie. Po procesie ta liczba wzrosła pięciokrotnie. Głównie Bliski Wschód.

– Czy to nie paradoks, że skazanemu za zabijanie Kurdów Saddamowi garnitury szył inny Kurd? – pytam.

– Saddam nie wiedział, kto je szyje. A dla mnie biznes to biznes i nie należy go mieszać z polityką.

Unia rada Turcję zgnieść

Wracam do sklepu z bajbajbuszami. Buty w kolorze piaskowym przymierza elegancki mężczyzna. Płynnym angielskim zaprasza mnie na kawę i od razu zaczyna się szarpać z krawatem.

– W krawacie jestem urzędnikiem miejskim jednej z gmin Stambułu. Nie pisz której. Jak go zdejmę, jestem zwykłym obywatelem o imieniu Murat. Na twoje pytania chcę odpowiedzieć jako obywatel – mówi i zawiesza błękitny krawat na krześle. – But i Bush? Bardzo dobrze się stało. Ten facet zrobił to, co wszyscy chcielibyśmy zrobić. Szkoda, że nie trafił. Ja kupiłem taki but i czekam, aż nas odwiedzą urzędnicy z Unii. Dlaczego? Bo dążycie do wynarodowienia Turcji.

Mało się nie zachłysnąłem kawą.

– Proszę?

– Oczywiście! Wiecie, jakim jesteśmy silnym krajem. Że parę lat i będziemy mogli całej Europie spuścić łupnia. Więc przyjeżdżacie i promujecie: prezerwatywy, małżeństwa gejów, seks bez zobowiązań. Wszystko, żebyśmy mieli mniej dzieci.

– A może żeby nie było dzieci głodnych i niechcianych? I żeby każdy mógł żyć tak, jak chce?

– Mydlisz mi oczy, jak wszyscy z Zachodu. W Turcji żadne dziecko głodne nie chodzi. Islam każe nam dbać o biednych. I dbamy. A Unia promuje dewiacje. Zawsze jak w Stambule jest parada dewiantów, to niosą flagę Unii. Chyba jest jakiś powód. Nasz premier mówi: „Wejdźmy, dadzą nam dużo pieniędzy”. Ale jakim kosztem?! Do naszej gminy przyjechała delegacja: Francuzka, Belg i Luksemburczyk. I od razu z gębą: straszna u was biurokracja i na pewno jest korupcja. Będziemy z tą korupcją walczyć.

Szef ich przetrzymał tydzień na korytarzu. Mówił, że nie ma czasu się spotkać. Zanim przyjął, musieli wyjeżdżać. Pokazał, kto tu rządzi. Nasza biurokracja ma

pięćset lat tradycji.

Ciągłość od czasów osmańskich. I nie będzie nas Unia uczyć, co mamy robić!

Kiedyś, przyznaję, byłem zachłyśnięty Zachodem. Ale jak pomieszkałem rok w Hamburgu, uświadomiłem sobie, że nigdzie nie jest tak pięknie i tak bogato jak w Turcji. Zazdrościcie nam. Dlatego chcecie, byśmy weszli do Unii. A potem wy będziecie tu rządzić.

– Czy jest coś na Zachodzie, co ci się podoba?

Murat namyśla się głęboko.

– Obama mi się podobał. Na początku. Ale to już historia. Bo przyjechał do Stambułu i mówi: „Unio, przyjmij Turcję!". Hola, hola! To nie jego kraj i nie jego interes! On może powiedzieć, że mu się zabytki podobają. Albo że kuchnia smakuje. Ale o tym, czy i gdzie wejdziemy, to my będziemy decydować. Niedawno był w tej sprawie sondaż. Dzisiaj ponad sześćdziesiąt procent Turków wcale waszej Unii nie chce.

Kolejny kryzys was zabije

Halil i Rabya też są przeciw Unii.

– Uważam, że więcej byśmy na tym stracili, niż zyskali – mówi Halil. Mieszkają w Konyi. On z przystrzyżoną muzułmańską brodą. Ona w chuście. Przyjechali na zakupy, ojciec Halila prowadzi sklep odzieżowy. – Wasz czas się kończy! – dodaje Halil, a Rabya skromnie opuszcza oczy. – Busha już się skończył. Twój, Witold, też się kończy. Was wszystkich.

Są małżeństwem od pół roku. Nigdy nie byli na Zachodzie i nie są ciekawi. Halil był za to na pielgrzymce w Syrii.

– Na początku, jak zobaczyłem akcję z butem, byłem wściekły. Wy na nas, muzułmanów, posyłacie czołgi, bombowce, najlepsze wojska. A my was w odpowiedzi próbujemy pacnąć butem. Nawet Bush się z tego śmiał.

Ale jeden mądry mułła mi wyjaśnił: „Zachód się sam wybije". Dziesięć lat i nikt nie będzie pamiętał, że byliście potęgą.

Raz – bo nie chce wam się rodzić dzieci.

Dwa – bo macie za dobrze. Przysłowie mówi: najedzony lew zapomina, jak się poluje. Ten kryzys może jeszcze przetrwacie. Ale następnego – nie.

A trzy – bo jecie świnie. Możesz się śmiać. Ale Mahomet wiedział, co robi, jak nam zabraniał. Świnia jest brudna. Roznosi choroby. Każda kolejna świńska grypa może być waszą ostatnią.

– Z tą świnią może chłopak mieć rację – mówi imam Halil Yusuf, kiedy streszczam mu moje rozmowy. – Z upadkiem kultury... Może coś w tym jest... Na pewno muzułmanom się nie podoba, że wy zawsze macie rację. Wasza kultura, wasza demokracja, wasze pomysły są najlepsze. W kraju, który ma tak bogate tradycje jak nasz, to się nie może podobać. W Polsce jeszcze małpy skakały

po drzewach, jak nad Tygrysem i Eufratem była cywilizacja. Obie te rzeki płyną przez Turcję. Powinniście to szanować.

– Hodża, u nas nie było małp...

– Witold, drażnisz mnie. Idź już lepiej.

Mieszanka turecka

Doktor Hatice Öztürk, socjolożka: – Konstrukcja Turka jest przedziwną mieszanką dumy z przeszłości i współczesnych kompleksów – objaśnia. – Wszyscy jesteśmy dumni z tego, jak potężnym krajem byliśmy kiedyś. Dzisiaj powodów do dumy jest znacznie mniej. Owszem, wygraliśmy Eurowizję. W piłkę gramy nieźle. Ale czasy, gdy armia sułtana zapuszczała się aż pod Wiedeń, już nie wrócą.

Musi pan jednak mieć świadomość, że kupujący bajbajbusze to specyficzni ludzie. Dlatego trafiał pan na tylu religijnych. Dlatego tak ostro krytykowali Zachód. W Turcji setki tysięcy ludzi całkiem udanie żyją „po zachodniemu". Sama się za taką osobę uważam. Choć przyznaję, że jakby pan powiedział złe słowo na turecką kuchnię albo na Atatürka, obraziłabym się śmiertelnie.

Obama i morele

Trzy miesiące po wizycie Busha w Iraku, Stambuł odwiedził Barack Obama. Godzinę po jego odlocie w biurze mera miasta Malatya zadzwonił telefon.

– Ahmet, widziałeś wiadomości?

– Nie widziałem, a co?

– Obama zjadł morelę. Na bazarze sobie skubnął.

– I co z tego?

– Ahmet, na Allacha. To była TWOJA morela!

Malatya jest największym producentem moreli na świecie. Jeszcze tego samego dnia w biurze mera powstała specjalna komisja. Dwa dni później studenci przedstawili projekty plakatu. Po tygodniu w gazetach ukazało się zdjęcie Obamy w otoczeniu moreli z Malatyi. „On wie, co dobre" – głosiło naprędce wymyślone hasło.

– Z jednej strony was nienawidzimy. Z drugiej, wasze uznanie jest dla nas bezcenne – uśmiecha się doktor Öztürk.

To jest właśnie Turcja

Absolutnym hitem są ostatnio w Turcji stroje kąpielowe dla muzułmanek. Mają całkiem zakryte nogi i ręce, a na głowach urocze kapturki. Większość ma jeszcze w komplecie pelerynkę – żeby materiał się nie opinał i nie ujawniał zakamarków sylwetki.

– Nie jest idealny – mówi dziennikowi „Milliyet" Emina, matka trojga dzieci. – Wody mi się nalewa i tworzy się taki wielki balon. Ale wreszcie mogę pływać! Jeszcze niedawno patrzyłam tylko na swoją bawiącą się w wodzie rodzinkę jak kot na smażoną wątróbkę.

– Od kiedy wyszłam za mąż, nie mogłam iść ani na basen, ani na plażę – skarży się Fatma, gospodyni domowa ze wschodu Turcji. – Teraz muszę sobie od nowa przypominać, jak się pływa. Ale jestem bardzo zadowolona. Mała rzecz, a cieszy.

Kąpielówki dla mężczyzn mają dłuższe niż standardowo nogawki.

Mehmet Şahin, właściciel firmy Haşema i projektant pierwszych strojów: – Jak byłem studentem, bardzo się krępowałem chodzić na plażę. W klasycznych kąpielówkach czułem się, jakbym był nago. Wtedy wymyśliłem: to jest nisza na rynku! Kilka lat później zacząłem produkcję pierwszych strojów.

Muzułmańskie pływaczki wzbudziły w tureckich kurortach niemałe poruszenie. Doszło do kilku bójek między nowoczesnymi, prozachodnimi Turkami a religijnymi, którzy psuli tym pierwszym widok i zabawę.

Dziennik „Hürryiet" opublikował zaś zdjęcie dwóch kobiet, stojących obok siebie po pas w wodzie. Jedna była w muzułmańskim stroju, zakrywającym wszystko prócz oczu. Druga topless.

„To jest właśnie Turcja" – głosił redakcyjny komentarz.

Przypisy

[1] Ten i dwa kolejne cytaty znalazłem w broszurze profesora Marcina Kuli *Pod górkę do Europy. O Turcji lat trzydziestych ale też trochę o dzisiejszej Polsce*, Warszawa 1994.

[2] Wszystkie wiersze Nazıma Hikmeta w tłumaczeniu Małgorzaty Łabęckiej-Koecherowej, za tomikiem *Poezje*, wyd. PIW, Warszawa, 1968.

[3] Nikołaj Władimirowicz Ekk (1902–1976) zrealizował między innymi nagrodzony w Wenecji pierwszy radziecki film dźwiękowy *Bezdomni* (1931), a także pierwsze filmy barwne. Śmierć Stalina umożliwiła mu powrót do pracy i eksperymentów nad filmem trójwymiarowym.

[4] Cytuję za: E. Timmes, S. Göksu, *Romantic Communist. The Life and Work of Nazım Hikmet*, wyd. II, Londyn 2006.

[5] Opowieść rosyjskiego poety znów przytaczam za biografią *Romantic Communist*...

[6] Zakładanie coraz to nowych partii to dla islamistów i Kurdów chleb powszedni. Sądy nad Bosforem często delegalizują ich partie. Islamiści i Kurdowie zakładają więc ich często kilka. Jeżeli sąd zdelegalizuje tę, która aktualnie uważana jest za główną, członkowie szybko przepisują się do kolejnej.

[7] Tadeusz Różewicz, *Poezje wybrane*, Kraków 1991.

[8] Cytaty i informacje dotyczące działalności Sabbataja Cwi i Iwana Franka pochodzą z książki Jana Doktóra, *Śladami mesjasza-apostaty. Żydowskie ruchy mesjańskie w XVII i XVIII wieku a problem konwersji*, Wrocław 1998.

[9] Więcej na ten temat w: Rachel Elior, *Mistyczne źródła chasydyzmu*, Kraków-Budapeszt 2009. Książka opisuje również, jak ruch chasydzki inspirował się sabbataizmem i frankizmem, ruchem stworzonym przez ucznia Sabbataja Cwi Jakuba Franka.

[10] Film Cana Dündara nosi tytuł *Mustafa* i pokazuje Atatürka prywatnie, czym wzbudził w Turcji ogromne kontrowersje.